

Paweł Sękowski:
Skończmy z dyktatem
kultu Jana Pawła II**Bartosz Józefiak:**
Kierowcy z polskiej dżungli**Stephen Wertheim:**
NATO nie powinno
przyjmować Ukrainy**Niemiecka pacyfikacja**
Michniowa**MY...****NARÓD
MIGRANTÓW**

29

2023

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 1.07-26.08.2023



Warszawa, Rynek Starego Miasta, godz. 19.00
www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

JAZZ ART
FUNDACJA



Współorganizatorzy

Współorganizatorzy

BRAT

za'ks

COOPERATION

ARTS

SDK70

Partners

Partners Media

Partners

Partners

Partners

Partners

Partners



Więcej prawdy nie zaszkodzi

Urlopy, a zwłaszcza miejsca, gdzie je spędzamy, więcej mówią o Polakach niż badania preferencji politycznych. Większości nie żyje się tak dobrze, jak próbuje to opisać władza, bo inflacja to bardzo realny problem. Za wydawane w czasie wakacji zaskórniaki możemy kupić o wiele mniej niż rok temu. A to żadnej władzy dobrze nie robi. Piszę o kłopotach większości, czyli tych od klasy średniej w dół. Tam o urlopach rozstrzyga głębokość kieszeni. Bilans większości rodzin kręci się wokół stanu ledwo ledwo.

Niestety, od ponad 30 lat nie udało się stworzyć systemu wakacyjnej oferty dla dzieci i młodzieży. Tak, by wakacje miały dla nich urok przygody. By były mądrym wypoczynkiem, nauką pozaszkolnych umiejętności i szansą na poznanie kraju. A nawet sąsiadów z Unii.

Skąd ta refleksja? Ano z widoku, który mamy za oknami redakcji na warszawskiej Pradze. Młodzież wędruje dla zabicia czasu po podwórkach i ulicach. Wiem, że samorządy próbują organizować dzieciom zajęcia na miejscu. Ale na wyjazdy nie mają środków. I tak przyszłość narodu, o której tyle się mówi, widzi, że czegoś jak czegoś, ale równego startu to państwo jej dziś nie gwarantuje. W przyszłości odegra się obojętnością. A może i wrogością wobec struktur państwa. Za dzisiejszą krótkowzroczność, egoizm, a pewnie i głupotę elit będziemy płacić coraz głębszymi podziałami społecznymi.

W Polsce Ludowej, choć biednej, bo zrujnowanej po wojnie i tworzącej miliony miejsc pracy dla ludzi wędrujących ze wsi do miast, jakoś udało się organizować masowe kolonie, obozy i wczasy pracownicze. Udało się przede wszystkim

dlatego, że takie działania były wpisane w fundamentalne obowiązki państwa.

Powszechna amnezja dopadła media pisowskie i tzw. mainstreamowe. Napisanie czegoś pozytywnego o PRL przekracza ich możliwości. Pal licho brak elementarnej uczciwości, ale skąd ta pogarda wobec czytelników czy widzów, którzy wiedzą, jakie były plusy i minusy minionego ustroju? Ciekawi mnie, jak się tym mediom żyje w świecie bredni, które z uporem powtarzają? W świecie Jacka Kurskiego i jego dewizy, że ciemny lud wszystko kupi.

Znalezienie beneficjentów minionego systemu nie jest trudne. Często wystarczy się rozejrzeć po własnej rodzinie. Łatwo też można trafić na kogoś z milionów ludzi, których wtedy tak porządnie wykształcono, że dobrze sobie radzą w nowym ustroju. W przeciwieństwie do tych, którzy dziś słono płacą za dyplomy wyższych szkół niczego.

A ile wtedy Polacy czytali! Najwybitniejsze dzieła literatury światowej i polskiej drukowano w setkach tysięcy egzemplarzy. I kupowano je, stojąc w kolejkach. Podobnie jak paletę pism poświęconych tylko kulturze. Oświata, edukacja, kultura – to te obszary życia PRL, które dzisiaj możemy tylko dobrze wspominać. Kto uczciwy, docenia ten dorobek.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



e-prenumerata PRZEGLĄDU

Cały sierpień za 10 zł!

Czeka na Ciebie 5 e-wydań tygodnika

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Kup miesięczną e-prenumeratę, nim skończy się promocja. Tylko do 1 września 2023 r.

Oferta ważna od nr. 31/2023

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prędkość zabija najczęściej**
– rozmowa z Bartoszem Józefakiem
- 11 Patriotyzm konsumencki**
– z czym się go je
Niepolskie polskie marki
- 14 Wilk w owczej skórze**
Jak prawica oszukuje w sprawie Unii
- 16 Walka o pomnik dłuta Dunikowskiego**
Zburzyć czy zrobić muzeum
- 18 My, naród migrantów**
Miliony Polaków też ruszały w świat

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 24 NATO nie powinno przyjmować Ukrainy**
– rozmowa ze Stephenem Wertheimem

HISTORIA

- 28 Symbol martyrologii wsi**
Zagłada Michniowa w 1943 r.
- 32 Kulisy wyboru Jaruzelskiego**
Bush chciał go na prezydenta RP

OPINIE

- 31 Jan Dutko**
Rady prezydenckiego doradcy
- 34 Paweł Sękowski**
Na czym polega problem z tym,
że Jan Paweł II wiedział

KSIĄŻKA

- 38 Wiedział, z kim się żeni**
Koniec małżeństwa Andrycz
i Cyrankiewiczza

KULTURA

- 42 Kino po swojemu**
– rozmowa z Nataszą Parzymies
- 45 Kulturalia**
- 66 Basquiat x Warhol**
Painting 4 Hands

PSYCHOLOGIA

- 46 Hejt? Nie czytaj komentarzy**
– rozmowa z Katarzyną Kucewicz

ZAGRANICA

- 50 Mafia, seks i honor**
Zemsta żon mafijnych bossów
- 53 Bacalhau – symbol Portugalii**
Wszyscy jedzą suszonego dorsza

OBSERWACJE

- 56 Świdermajer**
Unikat potrzebujący dbałości
- 58 Arterra – jak żyć razem**
Socjokracja w ekowioskach

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Wielej prawdy nie zaszkodzi
- 23 Jan Widacki**
Rozważania o końcu wojny
- 27 Roman Kurkiewicz**
Zakazany śmiercionośny złom – ale „nasz”
- 41 Tomasz Jastrun**
Pożeracz sierot
- 49 Wojciech Kuczok**
Dobra robota

38

KSIĄŻKA



WIEDZIAŁ, Z KIM SIĘ ŻENI

Koniec małżeństwa Andrycz i Cyrankiewiczza



46

PSYCHOLOGIA

HEJT? NIE CZYTAJ KOMENTARZY

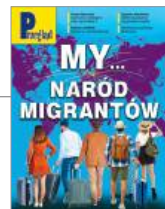
– rozmowa
z Katarzyną Kucewicz

56

OBSERWACJE

ŚWIDERMAJER

Unikat
potrzebujący
dbałości



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl de64e5ab44



✉ Drugie życie Polski Ludowej

Artykuł red. Roberta Walenciaka opisuje głu potę – bo inaczej tego nazwać nie można – znacznej większości postsolidarnościowej „elity”. Była też postsolidarnościowa mniejszość, jak związani z Unią Pracy prof. Karol Modzelewski czy Aleksander Małachowski. Im ideały, za które walczyli i siedzieli, w tym prawa człowieka, faktycznie były bliskie. Dobrą puentą tego artykułu byłyby słowa właśnie prof. Modzelewskiego: „Ja nie walczyłem o kapitalizm. Przesiedziałem osiem i pół roku, ale za kapitalizm nie zgodziłbym się siedzieć ani jednego dnia”. Jednak tego młodzieży w szkołach raczej nie przekażą...

Piotr Robecki

W artykule „Drugie życie Polski Ludowej” zabrakło mi wyraźnego odniesienia do problemu władzy. PRL była państwem totalitarnym, rządzonym w zasadzie przez jedną partię, PZPR, przy udziale dwóch w praktyce niemających wiele do powiedzenia partyjek – Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Oficjalna opozycja nie istniała. Taki model sprawowania władzy usiłuje lansować właśnie Prawo i Sprawiedliwość. Czołową postacią w partiach komunistycznych był I sekretarz, który praktycznie o wszystkim decydował, ale nie ponosił za nic odpowiedzialności. Ten wzorzec odpowiada dość dokładnie roli prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Myślę, że w przypadku wygrania wyborów przez Zjednoczoną Prawicę takich i bardziej jaskrawych analogii będzie więcej. PiS już w tej chwili jawnie lansuje leninowską zasadę: władzy raz zdobytej oddać nie wolno.

Stanisław Kotelko

✉ Dryfowanie polskiej nauki

W 28. numerze PRZEBIEGU prof. Jan Widacki zadał pytanie o stan polskiej nauki i jej miejsce w świecie oraz powody, dla których znajduje się ona w tym miejscu. Nie jestem pracownikiem uczelni, ale myślę, że bez problemu mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Powodem, dla którego nauka w Polsce wygląda tak, jak wygląda, jest po pierwsze fakt, że w naszym kraju nie ma zainteresowania „ludzką myślą”. Nie powstają u nas żadne wynalazki, a co za tym idzie nie ma patentów lub licencji. Nie ma ich, ponieważ nie ma ich kto wymyślać, a nawet jeśli coś udaje się ulepszyć (np. metoda wytwarzania grafenu), sprzedaje się to za bezcen. I nie ma czemu się dziwić. W kraju, w którym na Polską Akademię Nauk przeznaczają się skromne 110,9 mln zł, a Kościół katolicki otrzymuje rocznie, bagatela, 20 mld zł (zgodnie z wyliczeniami zespołu dr. Andrzeja Polackiewicza), nie mogą zaistnieć warunki do rozwoju nauki.

Po drugie, brak rodzimego przemysłu sprawia, że nie ma potrzeby kształcić inżynierów, bo gdzie oni będą pracować? Inne kraje, które mają dobrze rozwinięty przemysł, mają zapotrzebowanie na kadry, które ten przemysł usprawnią lub rozwiną. Natomiast kraj, który nie ma przemysłu, nie potrzebuje dobrze wyedukowanych kadr. A mrzonki o tym, jak to nasi studenci mieli wyjeżdżać za granicę, tam się kształcić i robić kariery, się nie sprawdziły i nie sprawdzają. Nie po to Niemcy czy Francuzi kształcą inżynierów, żeby zatrudniać Polaków.

K. Opic



ZDJĘCIE TYGODNIA



Lato rekordowych upałów. Strażniczki z Parku Narodowego Doliny Śmierci w Kalifornii pracują w ekstremalnych warunkach. 16 lipca 2023 r.

2,6 mld ludzi na świecie zmagają się z problemem otyłości lub nadwagi (raport Światowej Federacji Otyłości).

Za zorganizowaniem przed wyborami debaty liderów partii, które mają szansę znaleźć się w parlamencie, opowiada się **81% badanych** przez IBRIŚ dla „Rzeczpospolitej”.

18 czerwca 1923 r. urodził się **Szymon Szurmiej**, reżyser, aktor, twórca teatralny. Legendarny dyrektor Teatru Żydowskiego w Warszawie. Mąż Gołdy Tencer zmarł 16 lipca 2014 r., ale pamięć o nim jest ciągle żywa.

Ambasador RP w Gruzji został wezwany do tamtejszego MSZ, po tym jak w czasie badania byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego jeden z polskich lekarzy ukrył w bucie próbkę krwi. Gruzini ostro zareagowali na oskarżenie o trucie Saakaszwilego, skandalisty z zarzutami kryminalnymi. Materiał wideo z butem polskiego lekarza wysłanego przez premiera Morawieckiego robi w Gruzji furorę.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie, będąca pod szczególną opieką Zbigniewa Ziobry, odmówiła wszczęcia dochodzenia w sprawie wycofania ze sprzedaży tygodnika „Nie” w placówkach Poczty Polskiej i na stacjach Orlenu. Poczta Polska, która jest monopolistą w sprawie prenumeraty, wypowiedziała tygodnikowi tę możliwość. Kuriozalne restrykcje Poczty Polskiej również wobec PRZEGLĄDU zgłaszają nam czytelnicy z całego kraju.

Kolporter umocnił swoją pozycję lidera dystrybucji prasy w Polsce. Ma obecnie 58,74% udziałów w rynku i wyprzedza Ruch, który ma 13,72% udziałów (spadek o 7,8% w ciągu roku).

W 2021 r. **Lasy Państwowe** zatrudniały 25,5 tys. osób, z czego 93% na stanowiskach nierobotniczych. Urzędników na 1 tys. ha jest tam ponad dwa razy więcej niż średnio w Unii Europejskiej.

Katarzyna Kozłowska po czterech latach przestała kierować Springerowskim „Faktem”. Nakład tabloidu cały czas spada, bo coraz mniej jest chętnych na toporną nawałankę, która często kończy się procesami sądowymi. Pierwszym szefem „Faktu” był Grzegorz Janowski, prowadzący dziś ultraprawicowy program w Polsce.

Kolejna **wtopa ministra Adamczyka** to opóźnienie w rozbudowie drogi krajowej nr 61, czyli wylotówki z Warszawy na Mazury. Rozbudowa 4,5 km drogi od Legionowa do Zegrza przerosła możliwości organizacyjne pisowskiego wojewody oraz Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad.

Prezydent Sopotu nałożył na właściciela działki budowlanej **karę** w wysokości 214 tys. zł za celowe uszkodzenie na niej 39 drzew. Decyzja jest prawomocna.

Najwięcej książek wypożyczają mieszkańcy miast w województwach świętokrzyskim i wielkopolskim oraz wsi na Podlasiu i Podkarpaciu.

PRZEBŁYSKI

Tak to widzi Zwarycz

Marnuje się Wasyl Zwarycz na posadzie ambasadora Ukrainy w Polsce. Mógłby zrobić światową karierę, jeżdżąc z wykładami „Jak coś powiedzieć, ale tak, by nic nie powiedzieć”. Jako rekomendację może rozesłać swój tekst spłodzony na 80. rocznicę ludobójstwa OUN-UPA na Polakach z Wołynia i Małopolski Wschodniej: „11 lipca solidarnie z narodem polskim dziś oddaję hołd wszystkim cywilnym ofiarom – obywatelom II RP, pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach w latach II wojny światowej. Składam wyrazy współczucia wszystkim krewnym i bliskim ofiar”.

Może ten kuriozalny wpis Zwarycza ma zmobilizować Polaków do jeszcze większej pomocy finansowej i militarnej Ukrainie?



Piłka w objęciach PiS

Od przejęcia PZPN przez ludzi dojrzałej zmiany afera goni aferę. Ale czy ktoś słyszał, by głos zabrali Cezary Kulesza? Prezes PZPN nie jest mowny. Wiedza nie była mu potrzebna do handlowania płytami disco polo. A najlepiej czuje się w gronie ludzi z problemami. Tomasz Hajto jako zawodnik miał kłopoty z prawem. Czesław Michniewicz to legendarny (ponad 700 razy) rozmówca „Fryzjera”. Mirosław Stasiak – działacz skazany za korupcję, który poleciał z reprezentacją czarterem do Mołdawii. Do tego dochodzi ochroniarz kadry z białostockiego gangu. I tak dalej. A co prezes na to? Ani be, ani me, ani kukuryku. Takiego desantu PZPN w swojej przeszłości 100-letniej historii jeszcze nie doświadczył.

Jak długo Kulesza się utrzyma? Przecież pisowski parasol nie będzie wieczny. I nawet obecność szefa „Gazety Polskiej” Tomasza Sakiewicza w Komisji Medialnej PZPN mu nie pomoże.

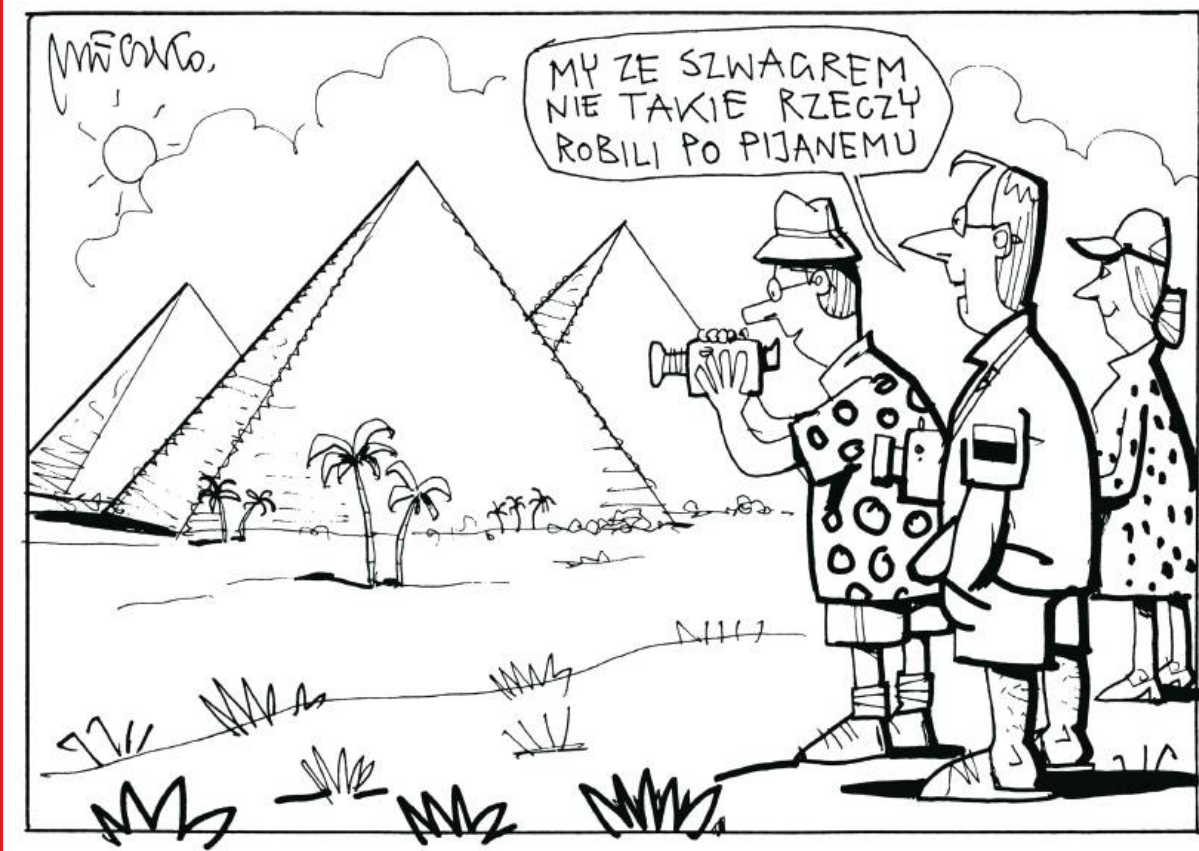
Krynica-Zdrój z czarnym flamastrem

Podróże po Polsce dostarczają naszym czytelnikom mnóstwa niespodziewanych wrażeń, a oni dzielą się obserwacjami z naszą redakcją. Dostaliśmy zdjęcia z Krynicy-Zdroju. W tym pięknym kurorcie żyją ludzie oszczędni i nieufni. Do tego stopnia, że nie są jeszcze pewni, czy zmiana ustroju po 1989 r. jest trwała. Na wszelki wypadek koronę orla na godle domalowano czarnym flamastrem. W razie czego wystarczy wacik z rozpuszczalnikiem, by bezkosztowo wrócić do przeszłości.



Mastalerek tu i tam

Od pięciu lat Marcin Mastalerek jest wiceprezesem zarządu piłkarskiej spółki Ekstraklasa SA. Tłuste koty PiS są z nim w tej samej rodzinie. Na piłce zarabia się dobrze pod jednym warunkiem: trzeba mieć dojścia do władzy. A Mastalerek, który ma stały dostęp do ucha prezydenta Dudy, jest użyteczny. Jako były poseł PiS i dyrektor w Orleniu otwiera klubom piłkarskim drzwi do władzy. Interesy kwitną. Poziom naszej piłeczki – odwrotnie. Człowiek kluby są mile widziane w Europie. Chcą z nami grać w pucharach, bo przy Polakach nie trzeba się bardzo spocić. Mastalerek odpowiada za „komunikację w zakresie public affairs oraz komunikację społeczno-wizerunkową”, czyli za nic konkretnego. Ma więc dużo czasu na knucie w Pałacu Prezydenckim. I opowiadanie megalomańskich dykterek o swoim znaczeniu. Choć na tle innych doradców Dudy, choćby Andrzeja Dery, może uchodzić za człowieka myślącego. Zwłaszcza o swoim luksusowym życiu.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego tak lubimy czytać kryminały?

MARTA ZDANOWSKA,

literaturoznawczyni, Dom Literatury w Łodzi

Popularność kryminałów wynika przede wszystkim ze struktury narracyjnej. Czytelnik lubi mieć historię, w której są tajemnica, strach, zły i dobry bohater. Idealny bohater pozytywny nie powinien być jednak superbohaterem, lepiej, by miał jakieś słabości. Dlatego wielu śledczych w tych opowieściach, w tym coraz więcej kobiet, ma problemy z alkoholizmem, jest w spektrum autyzmu albo ma jakieś kłopoty rodzinne. Dosyć istotne jest to, że zazwyczaj kryminał prowadzi nas do konkretnego rozwiązania. Często pozytywnego. Mamy tajemnicę, mamy poszukiwanie jej rozwiązania, a wreszcie sukces, czyli rozwiązanie zagadki i fakt, że zło zostaje ukarane. A вина i kara to też dosyć istotny element w powieści kryminalnej. Kryminał jest baśnią à rebours dzisiejszych czasów.

JAN BIŃCZYCKI,

Tłusty Druk

W świecie pełnym entropii, niepokojących koincydencji oraz lęku i krzywd utworów, które pozwalają myśleć o nim jako o logicznej całości, stanowią pożądane dobro. Czytając kryminały, można na moment uwierzyć, że świat rządzi się żelaznymi, choć brutalnymi zasadami, a prawda i sprawiedliwość triumfuje. Na dodatek dają one przyjemność zaglądania za podszewkę świata, przeświadczenia ludzkich namiętności i motywacji. Kryminały

pozwalają też przeżywać i rozstrzygać dylematy etyczne przedstawione w atrakcyjnej, sensacyjnej formie. Dobrze skrojona powieść kryminalna potrafi również być wartościowym komentarzem do problemów społecznych czy zapisem ciekawych detali codzienności. I chyba każde z nas czuje więź z prowadzącymi śledztwo detektywami lub policjantkami. Protagonisci kryminałów są charyzmatyczni, a przy tym niepozbowieni wad – podziwiamy ich, a jednocześnie możemy się z nimi utożsamiać.

MONIKA FRĄCZAK-PAWLAK I KRZYSZTOF KILIJANEK,
wydawcy „Detektywa”

W miesięczniku „Detektyw” już od 36 lat publikujemy prawdziwe historie kryminalne, więc popularność tej tematyki nie jest dla nas zaskoczeniem. Dzięki kryminałom – szczególnie opartym na faktach – czytelnicy mogą zajrzeć w głąb umysłu przestępców. Im bardziej brutalny zbrodniarz, tym większa fascynacja nim. Tym bardziej że można go „poznać” z bezpiecznej odległości, siedząc w fotelu, wiedząc, że nie zrobi nam nic złego. A może w obsesji na punkcie przestępczości jest coś w rodzaju *schadenfreude* – czerpania przyjemności z kłopotów, jakich doświadczają inni ludzie? Bo w sumie to dobrze, że zło dotknęło kogoś innego, a nie nas. I, co najważniejsze, zło w kryminałach przegrywa z dobrem. Przestępcę zatrzymano, poniesie karę, tym samym zostało zaspokojone nasze poczucie sprawiedliwości.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Prędkość zabija najczęściej

Politycy z właściwie wszystkich ugrupowań pilnowali, aby kierowców nikt nie ruszał

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Mam wrażenie, że Polską rządzi partia kierowców.

– Na szczęście ta partia jest już trochę w odwrocie. Masz jednak rację. Politycy z właściwie wszystkich ugrupowań pilnowali, aby kierowców nikt nie ruszał. Weźmy prawo, które miało chronić pieszych na pasach. To nie jest nowy pomysł. Pierwszy taki projekt powstał już w 2014 r., czyli u schyłku rządów Platformy Obywatelskiej. Przygotowała go posłanka Beata Bublewicz z PO, która była przewodniczącą Zespołu Parlamentarnego ds. Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego. Pani posłanka musiała być bardzo zdziwiona, kiedy projekt uwalił jej kolega z partii, senator Aleksander Pocię, który twierdził, że pierwszeństwo pieszych na pasach zakorkuje Warszawę do reszty. Ustawa wróciła potem do Sejmu, gdzie pogrzebali ją do reszty zarówno koalicjanci, czyli politycy PSL i PO, jak i prawie cały SLD oraz PiS (w zasadzie niemal cały parlament).

Bo z kierowcami nie warto zadzierać?

– Będąc politykiem, warto z nimi dobrze żyć. Platforma w 2015 r. skasowała samorządowe fotoradary, aby zyskać więcej punktów przed wyborami. Również PiS przez pierwszą kadencję nie przejmowało się bezpieczeństwem na drogach. Zajęło się nim dopiero niedawno, uchwalając kolejne przepisy. Inne partie też zaczęły o tym mówić. Platforma pokazała zresztą swoją hipokryzję, mówiąc, że od mandatów i karania skuteczniejsze będzie zapobieganie. A to ona dokonała rzezi fotoradarów, które w tej prewencji skutecznie pomagają.

Skąd ta zmiana o 180 stopni u polityków?

– Do partii dotarło, że dziś nie zbiją kapitału politycznego na popieraniu szybkiej i nieodwolonej jazdy. Jedyłą partią, która nadal identyfikuje się z interesami kierowców, jest Konfederacja. Myślę, że masa krytyczna rosla w społeczeństwie już jakiś czas, jednak momentem przełomowym był wypadek na ulicy Sokratesa w Warszawie. W Polsce jesteśmy bardzo skupieni na dużych miastach, prawdopodobnie przez to, że tam są większe media i politycy. To skupienie widać dobrze na



BARTOSZ JÓZEFIAK

– absolwent Polskiej Szkoły Reportażu. Współpracuje m.in. z „Dużym Formatem”. Nominowany do Nagrody Grand Press i Nagrody „Newsweeka” im. Teresy Torańskiej. Autor książki „Wszyscy tak jeżdżą”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Czarne.

przykładzie wypadku w Krakowie. Zginęły cztery osoby i o tym się mówi. O wypadku pod Sztumem, gdzie zginęły trzy osoby, nie wspomina prawie nikt, a było to w ten sam weekend.

Skoro wspominałeś o Krakowie – żółte renault było przerobione pod wysięgi. Czy policja weźmie się wreszcie za nielegalne rajdy na ulicach miast?

– Oczywiście, że teraz się weźmie. Ale to będzie taka polska klasyka. Przez dwa tygodnie będzie ostro. Akcje, którymi policjanci uwielbiają się chwalić. Nazwą te działania jakoś medialnie, typu „stop piratom drogowym”. Ale mogę się z tobą założyć, że za najdalej trzy-cztery tygodnie nikt nie będzie pamiętał, ani w mediach, ani w policji, że ktoś wypowiadał piratom drogowym jakąś wojnę, i wszystko wróci do normy.

Dlaczego tak trudno działać sensownie?

– Znajduję dwa wyjaśnienia. Jedno jest takie, że trudno ukarać nocnych rajdowców. Zauważ, że kiedy robią takie spotkanie, to w wyścigu biorą udział dwa auta. Reszta, powiedzmy kilkadziesiąt aut, po prostu stoi za parkowana. Oni de facto nie łamią prawa, więc jak zorganizujesz obławę, to złapiesz góra cztery samochody. Reszcie może wystawisz trochę mandatów za drobiazgi. Z drugiej strony masa tych samochodów jest tak przerobiona, że policja mogłaby spokojnie odbierać dowody rejestracyjne. To jednak wymagałoby od niej sporej logistyki i regularnego wysiłku. Drugie wytłumaczenie jest bardziej psychologiczne. Organizatorzy wyścigów mówili mi, że policjanci ścigają się u nich po cywilu. A z rozmów z policjantami i tego, jakie są ich działania, wyciągnąłem taki wniosek, że policjanci lubią obwiniać pieszych. Polska policja nieproporcjonalnie dużo energii poświęca na edukowanie pieszych, a nieproporcjonalnie mało na edukowanie kierowców, co pokazał raport Najwyższej Izby Kontroli. Tymczasem wypadków spowodowanych przez pieszych jest zaledwie kilka procent.

Słabo są zorganizowani.

– Uważam, że ogromnym marnotrawstwem sił jest ustawianie patroli

z tzw. suszarkami. Taką robotę powinni wykonywać fotoradary. Ale już ustaliliśmy, że w samorządach je skasowano. Te siły powinno się przenieść do grupy Speed, która z dużym poświęceniem próbuje powstrzymać codziennych piratów drogowych panoszących się na polskich drogach. To by było lepsze spożytkowanie zasobów ludzkich, których i tak w tej formacji brakuje.

To jak wszyscy jeżdżą? Jaki jest polski styl jazdy?

– Jest szybki. Badania pokazują, że 85% kierowców przekracza prędkość przed pasami. Widać to również po statystykach wypadków. Myślę też, że nad Wisłą ludzie jeżdżą dość agresywnie. Chociaż tutaj trudno powiedzieć, na ile wszyscy jeżdżą agresywnie, a na ile ta najbardziej bojowa grupa, która niejako narzuca taki styl jazdy reszcie. Polacy nie przestrzegają przepisów i nie ufają znakom.

Po lekturze twojej książki wydaje się, że najgorsi są kierowcy drogowych aut, którym wydaje się, że mogą więcej.

– Psychologowie transportu, z którymi rozmawiałem, opowiadali, że do ich gabinetów przeważnie trafiają mężczyźni w szczycie aktywności zawodowej, między 25. a 40. rokiem życia, którzy dużo podróżują służbowo,

naturalne. Problemem stało się to, że każdy, kto kończy w Polsce 18 lat, od razu robi prawo jazdy.

Tylko jak żyć w Polsce bez samochodu?

– Brak komunikacji jest tutaj kluczowym problemem. Gdyby autobusy i pociągi były bardziej dostępne, część młodych osób nie potrzebowałaby samochodu.

Szczególnie jest to problem na prowincji. Przez część małych miejscowości przejeżdżają np. dwa autobusy dziennie.

– Problemem jest dziś nawet dojazd spod dużego miasta. W młodości mieszkałem w Pabianicach, to zaledwie 15 km pod Łodzią. Dojazd na studia PKS-em był traumatycznym doświadczeniem. Autobus albo nie przyjeżdżał, albo się psuł. W najlepszym wypadku się spóźniał. Po takiej szkole życia natychmiast zrobiłem prawo jazdy.

Najgorzej jest mieszkać w średnim mieście. Tam bez auta niczego nie załatwisz, bo jest za mało na sprawną komunikację i za duże, żeby przemieszczać się po nim na piechotę.

– Jest w tym sporo prawdy. Chociaż są wyjątki, jak Jaworzno, które opisuję w książce. Jest ono doskonałym przykładem, że możesz w mającym ok. 100 tys. mieszkańców

Wychowaliśmy się w drogowej dzungli i tak jeździmy.

są na prowizjach i działają w ciągłym pośpiechu. Ten stres wpływa na ich technikę jazdy. Z drugiej strony wiemy ze statystyk policyjnych, że bardzo niebezpieczni są młodzi kierowcy w wieku 18-25 lat. Tutaj rocznik i moc auta się nie liczą, chociaż zdarza się, że te tanie auta mają pod maską coś fajnego, bo młodzi sobie te auta sami przerabiają. Do tego dochodzi chęć zaimponowania rówieśnikom.

Na myśl przychodzi słowo brawura.

– Niestety, to jest taki wiek, że im głępszą rzecz zrobisz, tym fantastyczniejszy się sobie wydajesz. Każdy miał takiego kolegę, który opowiadał, jak to się ostatnio upiło. Analogicznie jest z samochodem: ale szybko pojechałem! To wiek, w którym robi się różne głupoty i jest to zupełnie

mieście zorganizować dobrą komunikację publiczną. To kwestia pewnych priorytetów. Transport miejski jest generalnie drogą sprawą. Jednak w Polsce skupiono się na wyznacznikach luksusu w komunikacji zamiast na praktyczności. Zobacz, że wszędzie są biletomaty i elektroniczne tablice z rozkładem. Autobus zaś jeździ, owszem, najnowszy, ale dwa razy na godzinę. A mogłoby jeździć kilka starszych, ale co 10 minut. I miałbyś sprawną komunikację, a to byłby sukces. Tylko trudno, żeby w Polsce było inaczej, skoro od lat priorytetem jest budowa i poszerzanie dróg.

We „Wszyscy tak jeżdżą” opisujesz sporo drastycznych wypadków. Czy twój styl jazdy zmienił się podczas pisania książki?

– Tak. Szczególnie mój styl jazdy po mieście bardzo się zmienił. Po prostu jeżdżę 50 km/godz. i naprawdę nie czuję cię na potrzeby tej rozmowy. Kiedy rozmawiasz z matką, której dziecko zginęło na przejściu dla pieszych, zmienia ci się perspektywa. Odbylem prawie 10 takich rozmów. Nie wszystkie weszły do książki. Ci ludzie już nigdy się nie pozbierają. O godz. 15.00 zapraszasz kogoś na obiad, a o 15.03 dzwonią, żebyś przyjechał odebrać zwłoki, bo był wypadek.

A jazda w trasie?

– Na drogach ekspresowych czy autostradach zdarza mi się nieznacznie przekraczać prędkość.

85% kierowców przekracza prędkość przed pasami.

Pytam o to z premedytacją, bo na własnej skórze doświadczyłem, że kiedy jedziesz bardzo przepisowo, zaczynasz padać ofiarą dziwnych, często agresywnych zachowań drogowych. Po prostu jak nie jedziesz minimum 10 km ponad dozwoloną prędkość, to jesteś frajer i trzeba ci to pokazać. I zaczynasz jechać szybciej, żeby nie oberwać.

– Psychologowie transportu tłumaczą to tym, że – po pierwsze – nie chcesz odstawać na drodze od reszty. Po drugie, nie chcesz stwarzać zagrożenia dla siebie czy dla innych. W skrócie: dostosowujemy się do kultury jazdy otoczenia. Pamiętam, jak jeździłem po Rumunii i nawet ciężarówki mnie wyprzedzały, bo tam jest jeszcze gorzej niż w Polsce. Kierowcy z Zachodu przeżywają zaśszok u nas. Nie są przyzwyczajeni do tak agresywnej jazdy, która dla nas jest oczywista, bo wychowaliśmy się w tej drogowej dżungli i tak jeździmy.

À propos dżungli – co na polskich drogach zabija najczęściej?

– Prędkość i jej konsekwencje. Po tem są potrącenia na pasach, które i tak są konsekwencją nadmiernej prędkości.

A dużo jest pijanych kierowców?

– Niedużo. Pijani kierowcy powodują 7% wszystkich wypadków i 9% wypadków śmiertelnych. Wydaje się, że nieproporcjonalnie dużo uwagi poświęca się pijanym kierowcom

w mediach. Głównie przez głośne przypadki zatrzymań pijanych celebrytów za kółkiem buduje się przekłamany obraz, że mamy na drogach dużo pijanych kierowców. Tym, co cieszy, jest fakt, że dziś nie ma już przyzwolenia społecznego na jazdę pod wpływem alkoholu.

Czy zmiana przepisów coś dała?

Uważam, że taryfikator powinien być uzależniony od zarobków, bo nadal nie jest dostatecznie dobrym straszakiem dla piratów.

– Co do zasady mógłbym z tobą się zgodzić. To logiczne rozwiązanie. Zapominasz jednak, że w Polsce jest wiele pomysłów na ukrywanie dochodów. Widać to chociażby

po alimenciarzach czy branżach działających w szarej strefie. W wielu miejscach nadal płaci się pod stołem i zarabia na czarno. Dlatego lepsza wydaje się z góry ustalona wysokość mandatów.

A co sprawi, że Polacy zdejmą nogę z gazu?

– Na pewno nie fiksowałbym się na wysokości mandatów. Można wlepić kary i po 1 mln zł, ale co to nam daje? Kiedy ostatnio miałeś kontrolę drogową?

Jakieś pięć lat temu.

– A ja dwa. I tu już widać, że nie mamy żadnej prewencji. Póki nie będziemy mieli więcej fotoradarów i nie zmienimy systemu, będziemy mieć problem. Niestety, historie o tym, że jak się będzie odpowiednio długo unikało odebrania mandatu, który przyszedł pocztą, to on wreszcie się przedawni, są prawdziwe. Główny Inspektorat Transportu Drogowego, który odpowiada dzisiaj za fotoradary, nie jest w stanie przerabiać nawet tej nikłej liczby mandatów, która do nich obecnie przychodzi. Tam po prostu pracuje za mało ludzi. Mamy tutaj zapaść w systemie polskiego państwa. Jest jak ze wszystkim w tym kraju – ochrona zdrowia nie działa, edukacja prawie się rozpada. I tak samo jest z bezpieczeństwem na drogach. Polska musi zacząć płać więcej urzędnikom i więcej ich zatrudniać. Zdaje sobie sprawę, że to

nie są popularne postulaty, ale innej drogi nie ma.

A co z edukacją? Może praca na rzecz ofiar wypadków?

– Nie wierzę w pokazywanie ludziom drastycznych scen z wypadków. Zresztą nie widziałem u moich rozmówców refleksji nad faktem, że kogoś zabili. Częściej płakali nad własnym losem niż nad swoimi ofiarami. Praca na rzecz ofiar nie dotknie też wszystkich, tylko tych, którzy już jakoś zawinili. To działanie post factum. Potrzeba nam rozwiązań infrastrukturalnych, które są w gruncie rzeczy proste i skuteczne. W mieście mowa o zwężaniu pasów, bo to zmusza do zwalniania, i o tzw. wyniesionych skrzyżowaniach oraz przejściach, na których siłą rzeczy trzeba zwolnić. Poza miastem to niezbyt popularne w Polsce pasy dwa plus jeden. W Szwecji są nawet specjalne linki między pasami ruchu, tak że nawet gdyby kierowca chciał, i tak nie wyprzedzi. Ale to wymagałoby przebudowania kilku tysięcy kilometrów dróg.

Politykom pewnie to się nie opłaca, bo gdy zlecą remont, dopiero kolejna ekipa go odbierze.

– To prawda, że w naszym kraju politycy nie działają perspektywicznie, aby zostawić coś swoim następcom. Z jednym wyjątkiem. Chodzi właśnie o budowę dróg. Zwróć uwagę, że najsprawniej działającą organizacją w Polsce jest Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Kolejarzom nigdy nie udało się zbudować tak sprawnej instytucji. Kolejne ekipy przejmują nawet zatwierdzone przez wcześniejszą władzę projekty. Dlatego mogą nie być pewny, czy powstanie kiedyś Centralny Port Komunikacyjny, ale wiem, że będą budowane kolejne ekspresówki.

I tutaj koło się zamyka. Więcej dróg to więcej samochodów.

– Tak. To się ciągnie od 50 lat. Już Gierek wiedział, że potrzebujemy lepszych dróg i że w warstwie symbolicznej to będzie dla Polaków Zachód. I to myślenie nie zmieniło się do dzisiaj. Chcemy więcej dróg, bo nadal chcemy być bardziej zachodni. Szkoda, że chcemy to wyrażać akurat tylko w drogach.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Patriotyzm konsumencki

– z czym się go je

Znane polskie marki, Wyborowa, Żywiec, Pudliszki, Winiary, Wedel, Krakus, od dawna są w obcych rękach

Marek Czarkowski

Powiedzenie *I'd rather have a sister in a whorehouse than a brother on a Honda* (Wolę mieć siostrę w burdelu niż brata na hondzie) stało się modne w latach 70. XX w. wśród członków amerykańskich gangów motocyklowych, dla których prawdziwy twardeł mógł posiadać jedynie wyprodukowanego w USA harleya-davidsona. Do dziś w internecie można kupić T-shirty z tym napisem.

Był to skrajny przykład patriotyzmu konsumeneckiego, bardziej elegancko zwanego etnocentryzmem konsumenckim. Chodzi o preferowanie przy zakupach rodzimych produktów, będące wynikiem imperatywu moralnego. Najsilniej ta postawa występuje w krajach o wysokim stopniu rozwoju – Stanach Zjednoczonych, Japonii, Korei Południowej i Chinach.

Podkreślanie „narodowości” w budowaniu marki produktu jest powszechną praktyką.

Panuje przekonanie, że w Europie największymi patriotami konsumeneckimi są Niemcy i Francuzi. Co nie jest prawdą. Fanami rodzimych towarów są także Polacy, Hiszpanie, Włosi, Holendrzy, Duńczycy oraz przedstawiciele innych nacji zamieszkujących nasz kontynent. W badaniach



zrealizowanych przez ARC Rynek i Opinia dla Katedry Badań Zachowań Konsumentów SGH w 2020 r. aż 59% ankietowanych rodaków przyznało, że chętniej wybiera produkty krajowe niż z importu.

Zjawisko nie jest nowe. Na początku I wojny światowej stateczni Brytyjczycy urządzili w Londynie pogrom sklepów należących do Niemców. W tym czasie w Rosji mieszkający tam od wieków Niemcy, którzy wiernie służyli kolejnym cesarzom jako generałowie, gubernatorzy,

urzędnicy i przemysłowcy, zaczęli masowo zmieniać nazwiska na rosyjskie. Gdzieś bowiem patriotycznie pobudzony tłum rozbijał należące do Niemców sklepy i magazyny. O kupowaniu towarów pochodzących z wojujących ze sobą krajów nie było mowy.

Hasło „Nie kupuj u Żyda” miało się dobrze w latach 30. XX w. nie tylko w Berlinie, ale też w Paryżu i Warszawie.

Po II wojnie światowej patriotyzm konsumencki przybrał łagodniejsze formy. W 1987 r. zajmujący się marketingiem amerykańscy badacze Subhash Sharma i Terence A. Shimp wprowadzili pojęcie etnocentryzmu konsumenckiego, które zaczęło wypierać wcześniejszy termin. Dziś zjawisko rezygnacji z kupowania zagranicznych produktów odgrywa znaczącą rolę w działaniach marketingowych.

Dobre, bo polskie?

To nie przypadek, że w reklamie jednego z popularnych w naszym kraju olejów rzepakowych hoże dziewczyny w regionalnych strojach tłoczą na zimno ów szlachetny produkt z ziaren dostarczanych przez dorodnych parobasów. Przesłanie jest proste: oto olej najwyższej jakości, produkowany z polskiego surowca według tradycyjnych technologii przez Polaków i dla Polaków. Podkreślanie „narodowości” w budowaniu marki produktu to powszechna praktyka. Najbardziej

▶ znanym przykładem jest historia spółki Atlas, największego polskiego producenta materiałów chemii budowlanej (głównie klejów do glazury, ociepleń ścian zewnętrznych, spoiw gipsowych, gładzi szpachlowych itp.). Budowanie marki na wartościach narodowych i patriotycznych rozpoczęło się w roku 1993, gdy spółka otrzymała znak promocyjny „Teraz Polska”. Zaczęła wówczas używać na opakowaniach biało-czerwonych barw. Pojawiły się też flaga oraz bocian – jako symbol polskości. Sukces był pełny. W ciągu kilku lat produkty ze znakiem Atlas stały się jednymi z najchętniej kupowanych przez budowlanców i glazurników, a motyw przewodni

Spirytusowy w roku 1926. Była produkowana z żyta z wykorzystaniem najnowocześniejszej wówczas, trzostopniowej destylacji. W 1939 r. eksportowano ją do 23 państw. Podobno Pablo Picasso powiedział, że „największe osiągnięcia ostatniego półwiecza to: blues, kubizm i polska wódka”. Dziś Wyborowa jest jedną z najchętniej kupowanych wódek w Chinach, a to ogromny rynek. Niestety, ten cud rodzimej destylacji i filtracji należy do koncernu Pernod Ricard. Pamiętamy więc, że wznosząc toast „Zdrowie wasze w gardła nasze”, wspieramy francuskiego producenta, do którego należą też marki Luksusowa i Pan Tadeusz.

Nasz etnocentryzm konsumencki odnosi się głównie do artykułów spożywczych. Gorzej sytuacja wygląda w odniesieniu do producentów sprzętu AGD.

marki „Kocham Polskę” był rozpoznawalny w całym kraju.

Na mniejszą skalę sukces ten powtórzyła Fundacja Red is Bad, właściciel marki odzieży patriotycznej. Koszule, bluzy, a nawet spodnie dresowe oznaczone dyskretną kotwicą – znakiem Polski Walczącej, biało-czerwoną flagą lub napisem „Red is bad” (Czerwony jest zły) zyskały sporą popularność wśród dobrze umiędziowanych głosicieli idei narodowej oraz w środowiskach kibicowskich. Znanie jest zdjęcie prezydenta Andrzeja Dudy w bluzie tej marki.

Zdaniem badaczy rozwój patriotyzmu konsumenckiego w Polsce można łączyć z bogaceniem się społeczeństwa i zmianą mentalności. Nadal liczy się dla nas cena towaru, lecz coraz większego znaczenia nabiera jakość oraz kraj pochodzenia towaru. Ten aspekt działa także w odniesieniu do towarów produkowanych w kraju, lecz przez firmy należące do dużych, międzynarodowych koncernów... pod warunkiem że nie wiemy, kto w rzeczywistości jest właścicielem marki.

Pouczająca jest historia najbardziej znanej czystej polskiej wódki – Wyborowej. Recepturę tego trunku opracował Państwowy Monopol

Trzeba przyznać, że haniebnie potraktowaliśmy nasze klejnoty rodowe. Marka wódki Belvedere, produkowanej wyłącznie przez zakład w Żyrardowie, należy nie do nas, lecz do francuskiego koncernu LVMH (Louis Vuitton Moët Hennessey) – jednego z największych w świecie producentów dóbr luksusowych, w tym alkoholi, perfum i galanterii skórzanej. Głównym udziałowcem LVMH jest Bernard Arnault, którego majątek oszacowano na ponad 200 mld dol.

W 2012 r. reklama wódki Belvedere wywołała skandal. Przedstawiała mężczyznę z lubieżnym uśmiechem łapiącego od tyłu przerażoną kobietę. Angielski tekst głosił: „W przeciwieństwie do niektórych ludzi Belvedere dobrze wchodzi”. Reklama miała wyraźną konotację seksualną. Gdy wybuchła burza w internecie, została natychmiast wycofana. W roku 2022 w dwuminitowym klipie reklamującym wódkę Belvedere wystąpił zaś aktor Daniel Craig, odtwórca roli Jamesa Bonda. Tym razem obyło się bez kontrowersji.

Mało kto wie, że 25 lutego 2022 r., dzień po ataku Rosji na Ukrainę, Grupa Maspeks z siedzibą w Wadowicach sfinalizowała umowę kupna spółki

CEDC (Central European Distribution Corporation) należącej do rosyjskiego koncernu Roust Corporation, który w Polsce był właścicielem m.in. takich marek jak Żubrówka czy Soplica. W ten sposób historyczne napitki wróciły na ojczyzny łono. Konsumenci patrioci ocenili to jako sukces.

Z pełną odpowiedzialnością należy stwierdzić, że jeśli ktoś chce dziś mieć gwarancję obcowania z rdzeniem polskim wyrobem spirytusowym, winien szukać produktów kolekcjonerskich, chłopskiej destylacji, takich jak słynna 60-procentowa nalewka Kopnięcie Łosia wytwarzana nocą gdzieś na biebrzańskich bagnach. W ostatnich latach produkowane metodą chałupniczą przez drobnych producentów i sprzedawane bez akcyzy destylaty owocowe zyskały uznanie patriotycznie nastrojonych smakoszy.

Warto podkreślić, że nasz etnocentryzm konsumencki odnosi się głównie do artykułów spożywczych. Takie spółdzielnie jak Mlekoop i Mlekovita czy zdobywająca ostatnio popularność dzięki wysokiej jakości wyrobów Spółdzielnia Mleczarska Udziałowców w Strzałkowie są z pewnością w polskich rękach. I śmiało konkurują z największymi europejskimi producentami nabiału. Inne popularne polskie marki już dawno przeszły w obce ręce: Browar Żywiec należy do Heinekena, Pudliszki do amerykańskiego koncernu The Kraft Heinz Company, Winia ry do szwajcarskiego Nestlé, Wedel do japońsko-koreańskiego koncernu Lotte Group, Hortex do funduszu MidEuropa Partners z siedzibą w Londynie. Głównym akcjonariuszem producenta słodczy Wawel jest szwajcarska spółka Hosta International AG z siedzibą w Münchenstein. Animex, właściciel słynnej marki wędlin Krakus, w 1999 r. został przejęty przez amerykański koncern Smithfield Foods, który 14 lat później został wchłonięty przez światowego giganta branży wieprzowej, chiński koncern WH Group. W polskich rękach pozostały zakłady cukiernicze Jutrzenka w Bydgoszczy, Goplana w Poznaniu oraz producent słynnej śliwki nałęczowskiej, lubelska Firma

Cukiernicza Solidarność, wchodzące w skład holdingu Colian należącego do Jana Kolańskiego.

Podobnie wygląda sytuacja w odniesieniu do producentów sprzętu gospodarstwa domowego. Rodzimą marką pozostaje tylko Amica – producent pralek, lodówek, kuchenek i wielu innych urządzeń – której akcje notowane są na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Cenione niegdyś ze względu na wysoką jakość produktów przedsiębiorstwo Zelmer z Rzeszowa w 2017 r. zostało ostatecznie wyrejestrowane z KRS przez właściciela, niemiecki koncern BSH Bosch und Siemens Hausgeräte GmbH. Markę produktów Zelmer w 2020 r. przejęła hiszpańska firma B&B Trends. Jeśli gdzieś w sklepie trafimy na drobne urządzenia AGD ze znaną ongiś polską nazwą, jest wysoce prawdopodobne, że będą one wyprodukowane w Chinach.

Jak to robią Niemcy i inni

W Niemczech porządny obywatel trzyma oszczędności w niemieckim banku, jeździ samochodem marki Mercedes, Volkswagen lub Audi, w kuchni ma pralkę, lodówkę, suszarkę i inne drobne utensylia wyłącznie takich marek jak Siemens i Bosch. A jeśli pije piwo, to wyłącznie z lokalnego browaru. Co czasem prowadzi do zabawnych sytuacji.

W Polsce mało kto wie, jak silne bywają wewnątrzniemieckie lokalne animozje. Gdy w 1945 r. Nadrenia i Westfalia znalazły się w brytyjskiej strefie okupacyjnej, by ułatwić administrowanie, połączono je w jeden większy land – Nadrenię Północną-Westfalię. Efekt był taki, jakby w Polsce połączono w jedno województwo śląskie i małopolskie.

Ponieważ Kolonia leżała w gruzach, stolicę nowego landu ulokowano w Düsseldorfie. Dla czwartego pod względem wielkości miasta w Niemczech, założonego przez Rzymian w I w. n.e., było to wręcz kosmiczną zniewagą. Zwłaszcza że nazwa Düsseldorf oznacza „wieś nad potokiem Düssel” i nie ma w niej nic dostojnego. Wojna między miastami trwa od roku 1946 i przyjmuje czasem dziwne formy. Jeśli

ktos w Kolonii zamówi w restauracji piwo Alt (produkowane i podawane tylko w Düsseldorfie), może czekać do dnia sądu ostatecznego. Lokalni konsumenci patrioci mu go nie podadzą. Identyczna sytuacja będzie miała miejsce w Düsseldorfie, gdy ktoś zamówi produkowane wyłącznie w Kolonii piwo Kölsch.

Z doświadczeń polskich przedsiębiorców starających się podbić niemiecki rynek wynika, że nie ma sensu bawić się w eksport produktów z naszego kraju. Metka *Made in Poland* nadal nad Renem znaczy mniej niż metka *Made in Germany*. Dlatego najlepiej jest zarejestrować firmę w Berlinie i jako niemiecki podmiot korzystać z pełni praw i przywilejów.

Te przykłady to jednak nic wobec oporu, do którego zdolni są japońscy wyznawcy etnocentryzmu konsumenckiego. W latach 70. i 80. XX w. administracja amerykańska domagała się od Tokio ułatwień w dostępie amerykańskich produktów rolnych

– członkowie tradycyjnych japońskich grup przestępczych Yakuza. A kto chciałby uchodzić wśród sąsiadów za gangstera, ostentacyjnie wozącego się limuzyną marki Lincoln, Pontiac lub Cadillac i wcinającego steki z amerykańskiej wołowiny? Jak łatwo się domyślić, amerykańscy producenci mięsa i samochodów nie odnieśli w Japonii sukcesu.

Jeszcze trudniej robić interesy w Korei Południowej. Każdy Koreańczyk wie, że należy kupować wyłącznie produkty wytworzone na miejscu. O czym boleśnie w latach 90. XX w. przekonał się Mercedes. Otworzył w Seulu salon i przez rok udało się w nim sprzedawać... jeden samochód. Który i tak szybko wrócił do naprawy porysowany i poobijany. Okazało się, że kupno przez obywatela Korei Południowej pojazdu wyprodukowanego w innym kraju jest czynem niepatriotycznym, godnym nie tyle potępienia, ile zdecydowanego działania ze strony obywateli. Tak też się stało.

W Niemczech porządny obywatel trzyma oszczędności w niemieckim banku, jeździ mercedesem, volkswagenem lub audi, w kuchni ma sprzęt Siemens i Boscha.

do tamtejszego rynku. Chodziło zwłaszcza o mięso wołowe. Potężne japońskie lobby rolnicze przez lata skutecznie dbało, by w Kraju Kwitnącej Wiśni nie pojawiły się steki z Teksasu. Gdy w końcu rząd ustąpił, w tamtejszych mediach pojawiły się liczne publikacje powołujące się na opinie utytułowanych lekarzy i dietetyków, którzy w subtelnej formie wyjaśniali, że amerykańska wołowina może zaszkodzić konsumentom, gdyż żołądki i przewody pokarmowe Japończyków nie są przystosowane do trawienia mięsa pochodzącego z USA!

Po identyczny patent sięgnęli Japończycy w odniesieniu do wyrobów amerykańskich koncernów motoryzacyjnych. Gdy przyszło zgodzić się z żądaniami Waszyngtonu i wpuścić na rynek amerykańskie samochody, media zalała fala publikacji o tym, że duże bryki zza oceanu upodobał sobie gangsterzy

Jesteśmy świadkami ciekawych zjawisk. Z jednej strony, świat się globalizuje. Korzystamy ze smartfonów zaprojektowanych w USA, a wyprodukowanych w Chinach. Ubrania sprzedawane w sklepach należących do takich marek jak Zara, Reserved czy Pimco szyte są w Bangladeszu. Dostępne w Europie telewizory Samsunga, LG czy Sony produkowane są w Polsce. Jednocześnie rośnie świadomość konsumentów, którzy szukają towarów produkowanych w ich krajach. I to dobrze. Pod warunkiem że wiemy, co kupujemy. Bo jeśli nie wiemy, ryzykujemy, że w patriotycznym uniesieniu kupimy nie – jak nam się wydaje – szlachetną swoją wódkę, ale siwuchę produkowaną przez obcy koncern w Albanii ze sfermentowanego dżemu.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Wilk w owczej skórze

Wrogowie Unii oszukują Polaków



Robert Walenciak

Marsz suwerenności zorganizowany przez Konfederację, stowarzyszenie Marsz Niepodległości i Młodzież Wszechpolską 1 maja 2019 r. Szli w nim m.in. Janusz Korwin-Mikke i Krzysztof Bosak.

Jak to wytłumaczyć? Partie, które wołają, że są przeciwko Brukseli i Unii Europejskiej, czyli Prawo i Sprawiedliwość oraz Konfederacja, mają poparcie połowy wyborców. A jednocześnie zdecydowana większość Polaków jest za Unią Europejską. Nie chce, żebyśmy z niej wychodzili, o żadnym polexicie nie ma mowy. Gdzie tu jest błąd?

W sondażach? Raczej nie, PiS ma w nich 33-36%, Konfederacja 13-15%. Razem to ok. 50% głosujących. Opozycja, czyli Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica, zbiera sporo poniżej 50%. Z sondażu CBOS, dotyczącego naszego stosunku do Unii, wynika, że 85% Polaków jest za naszym członkostwem w UE, a tylko 10% za jej opuszczeniem. Badania Eurobarometru wskazują natomiast, że aż 82% Polaków uważa, iż korzystamy na obecności w Unii. Jak więc to pojąć – euroentuzjaści chcą głosować na eurowrogów?

A może PiS i Konfederacja nie są eurowrogami i to tylko gęba

doklejona im przez przeciwników? Albo Polacy nie biorą polityków poważnie? Może ich eurofobia jest traktowana z przymrużeniem oka?

Zacznijmy od punktu pierwszego – czy politycy prawicy są eurowrogami? Gdy się ich słucha, trudno mieć wątpliwości. „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej” – to słowa Sławomira Mentzena, jeszcze z kampanii w roku 2019. „UE jako eurokołchoz i dzieło szatana” – to z kolei Grzegorz Braun, który głośno przy tym się zastanawia: „Czym ma być Unia Europejska? Czy przede wszystkim i po prostu narzędziem realizacji niemieckiej racji stanu w Europie i świecie? Czy jest to raczej odpowiedź na zapotrzebowanie imperium amerykańskiego, które tu w Europie po prostu chciałoby mieć jednego rozmówcę?”.

Nie ma też żadnych wątpliwości, co sądzi Janusz Korwin-Mikke. Wielokrotnie bowiem mówił, że jest „zdecydowanym zwolennikiem wyjścia Polski z Unii Europejskiej”.

Jednoznacznie wroga wobec Unii jest również Suwerenna Polska. Dwa lata temu Patryk Jaki prezentował z wielkim przytupem raport, który miał dowodzić, że Polska do Unii dopłaca. Potem się okazało, że raport był stekiem głupot, ale to już inna sprawa. Sama nazwa partii Zbigniewa Ziobry mówi o zamiarach jej liderów, zostały one zapisane w programie ugrupowania. To żądanie renegotjacji umowy z Unią, tak „by eurokraci nie mogli decydować o życiu Polaków”.

Politycy PiS również uważają Unię za twór obcy i nieprzyjazny. Jarosław Kaczyński kilka lat temu sformułował tezę, że zagrożenia dla Polski płyną ze wschodu i z zachodu. „Mamy także duży kłopot na zachodzie – mówił 11 listopada 2021 r. – Wiadomo, chodzi o uznanie naszej podmiotowości, wyrok Trybunału, o nasze prawo do organizowania polskich spraw”. Natomiast w wywiadzie dla „Gazety Polskiej Codziennie” tłumaczył, że Unia jest gorsza od komunizmu. „Nawet

w warunkach komunizmu pewne sfery ludzkiej wolności, możliwość wyboru, były do obronienia. (...) A dziś instytucje Unii Europejskiej (...) żądają od nas, byśmy zweryfikowali całą naszą kulturę, odrzucili wszystko, co dla nas arcyważne”.

Oto wróg. Wojennego języka używają zatem podwładni prezesa. Marek Suski mówi o Unii tak: „Swego czasu Stalin pisał nam konstytucję, teraz Bruksela próbuje nam pisać regulamin Sejmu, Senatu, Rady Ministrów. Zachowują się jak Stalin. Chcą zlikwidować państwo polskie. Realizacja tego wszystkiego to tak naprawdę likwidacja suwerenności polskiej”.

Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu, podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu w 2021 r. komentował spory z Brukselą o praworządność w ten sposób: „Jeżeli pójdzie tak, jak się zanoszą, że pójdzie, to musimy szukać rozwiązań drastycznych. Brytyjczycy pokazali, że dyktatura brukselskiej biurokracji im nie odpowiada, i się odwrócili, i wyszli”. Gdy po tych słowach rozległ się szum, szybko się zmytygował: „My nie chcemy wychodzić, u nas poparcie dla Unii jest bardzo silne, dla uczestnictwa w Unii, ale nie możemy dać się zapędzić w coś, co ograniczy naszą wolność i co ograniczy nasz rozwój”.

W imię tej „naszej wolności” (czyli ich wolności) Polska nie dostanie z Brukseli 158 mld zł należnych nam w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Już nawet o to nie walczy. Co więcej, odebrane nam zostanie 556 mln euro, czyli 2,5 mld zł, z powodu kar za sprzeczne z unijnym prawem zmiany w sądownictwie. Taki jest wyrok Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

Ale te pieniądze nikogo nie boją. Marek Suski powiedział wyraźnie, że nie chce pieniędzy z Unii, z KPO, bo na chleb to ma.

Dla polskiej prawicy Unia Europejska jest ciałem obcym i wrogiem. Po pierwsze, niesie ze sobą liberalny model życia – państwo świeckie, które gwarantuje prawa kobiet i prawa mniejszości. Na takie państwo prawica się nie godzi. Po drugie, Unia jest wrogiem, gdyż pilnuje kształtu instytucji politycznych i prawnych. Przykładem może być spór o sędziów

– czy mają być niezależni, czy podlegli partii rządzącej. Albo spór o media. Politycy PiS wołają więc, że to „likwiduje suwerenność Polski”. Co jest kłamstwem – upór instytucji unijnych ogranicza nie Polskę, tylko ich – pisowców. I pomysły Kaczyńskiego.

Jedni zatem nie znoszą Unii, bo jest „bez Boga”, „z aborcją i LGBT” i „z wysokimi podatkami”. Drudzy – bo patrzy im na ręce. Ale i jedni, i drudzy wiedzą, że muszą tę Unię znosić. Nie dlatego, że daje pieniądze. Po prostu Unii chcą Polacy. Jak skonstatował to Ryszard Terlecki, poparcie dla Unii jest w Polsce bardzo silne.

Jak więc pogodzić niechęć do Unii z polityczną potrzebą? Bardzo łatwo – i Kaczyński, i konfederaci mówią praktycznie jednym głosem: jesteśmy za Europą, za Unią, tylko nie taką, jaka jest. To jest ten myk! Nieważne, że zmienić Unii w pojedynek nie sposób. Zwłaszcza tak, jak chciałby to przeprowadzić Kaczyński – na huk, w sojuszu z europejską skrajną prawicą. Ważne, że pokazuje, że ma plan.

Dlaczego Polacy dają się nabrać na pokrętne argumenty prawicy? Przede wszystkim przemawia do nich hasło: „Bruksela za bardzo się wtrąca”.

Gdy więc Tusk mówił: „Jeśli Konfederacja i PiS będą w Polsce rządzić po następnych wyborach, to znaczy, że to są ostatnie lata obecności Polski w Unii Europejskiej”, ripostował mu Krzysztof Bosak: „Tusk kłamał, twierdząc, że chcemy wyprowadzić Polskę z UE. Nigdy takiego celu nie postawiliśmy. Wybory rozstrzygną nie kwestię członkostwa w UE, ale tego, czy w UE Polskę reprezentować będą eurokapitulanci (jak Tusk, Kopacz, Kaczyński i Morawiecki), czy ludzie zdolni wetować głupoty”.

PiS mówi to trochę innymi słowami. W tej narracji Tusk i politycy PO (i Lewicy) to ludzie ulegli wobec niemieckiej Unii (ewentualnie zdracy). Natomiast PiS broni polskich interesów, no i jest za „Europą ojczyzn”. Nawiasem mówiąc, nigdy nie wyjaśnia, co to oznacza. Ewentualnie dodaje, że jest za Unią, która szanuje państwa narodowe i stawia je wyżej niż brukselskich urzędników. Czyli

w rzeczywistości za strefą wolnego handlu. Czymś, co nie jest żadną unią i nie prowadzi wspólnej polityki.

Aż się prosi w tym miejscu zapytać, dlaczego Polacy na takie pokrętne argumenty dają się nabrać. Przede wszystkim dlatego, że przemawia do nich hasło: „Bruksela za bardzo się wtrąca”. I żeby była jasność – to jest pusty argument, mało kto potrafi powiedzieć, na czym to wtrącanie się Brukseli polega. Ale nie chcemy, by ktoś z zewnątrz mieszał się w nasze sprawy, ta postawa to nasz kod kulturowy, więc kiwamy głowami: o, tu coś jest na rzeczy. Nie dziwny się temu – politykę śledzi może 5% Polaków. Nasze opinie są zatem kształtowane nie przez głębszą analizę, tylko pod wpływem odruchów. Patrzymy na debaty polityczne jak na serial telewizyjny, w którym politycy grają swoje role. Nie ufamy im. W sondażach poziom nieufności do polityków waha się w granicach 75-80%. Czyli przynajmniej trzy czwarte z nas nie wierzy w to, co oni mówią. Oni coś

opisują, a my dorabiamy sobie do tego własne wyobrażenia.

Także takie, że w pewnych kwestiach nic się nie zmienia. Wyobrażenia Polaków jest selektywna. Jedne rzeczy wyobrażamy sobie z przesadą, drugich nie widzimy. Możemy więc bać się naporu imigrantów. A wyjścia z Unii? To wariant dla większości niewyobrażalny, po co zatem bać się czegoś, czego nie będzie? Tak samo jak nikt w Polsce nie boi się, że zostanie odebrane 500+ (800+ od nowego roku), mało kto się obawia, że PiS wyrwie nas z unijnych struktur. Na wsi nikt sobie nie wyobraża, że mogą zniknąć unijne dopłaty.

I PiS to wie. Dlatego działa miętko. Unię nam zohydza, opowiada, że rządzą nią Niemcy, że źle działa, że to ciało obce, nowa niewola itd. Nie może w sprawie Unii iść na całość, żeby wyborców nie wystraszyć, wobec tego sący truciznę powoli. Kap, kap...

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Książek

Mimo że skazany przez wojewodę na zburzenie, pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej ciągle stoi na placu Xawerego Dunikowskiego, autora monumentu. Grupka prawicowców, z byłym postem Prawa i Sprawiedliwości Jerzym Szmitem na czele, czując wsparcie aktualnej władzy, nasiliła ofensywę na rzecz usunięcia dwóch 13-metrowych pylonów, zwanych potocznie a pejoratywnie „szubienicami”. Postawiono je jako pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej prawie 70 lat temu, jeszcze za wojewody olsztyńskiego Mieczysława Mościzy, i mieszkańcy przyzwyczaili się do ich widoku, bo dobrze wkomponowały się w krajobraz miasta. W 2010 r. monument wpisano do rejestru zabytków. Jednak Instytut Pamięci Narodowej uznał, że pomnik z postacią radzieckiego żołnierza na jednym pylonie, a do tego z sierpem i młotem, jest symbolem komunizmu i sowieckiej dominacji, co w praktyce oznaczało, że dzieło Dunikowskiego ma zniknąć z centrum miasta – pisaliśmy o tym w artykule „Olsztyńskie »szubienice« skazane na zburzenie” (PRZEGLĄD nr 8/2023).

Podkładka prezydenta

W ubiegłym roku, zaraz po agresji Rosji na Ukrainę, pomnik usunięto z rejestru zabytków na wniosek... prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza. Ten ruch prezydenta wywołał prawicowe wzmożenie wokół pomnika, a do rozgrywki politycznej włączyli się kolejni, mało merytoryczni gracze. Za usunięciem pomnika opowiadał się sam minister kultury Piotr Gliński, który nawet przyjechał do Olsztyna, by wygłosić swoje zdanie na ten temat, w nurt burzycieli wpisała się także wiceminister Olga Semeniuk-Patkowska, szykowana jako spadochroniarka na listę wyborczą PiS w okręgu olsztyńskim. Wreszcie, pod koniec stycznia br., wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki (były dyrektor biura byłego pośła Jerzego Szmita) nakazał

Walka o pomnik dłuta Dunikowskiego

W centrum Olsztyna wciąż stoi pomnik, którego zburzenia domaga się prawica. Miejscowi intelektualiści chcą tu urządzić muzeum pokoju



Inicjatorem „Projektu dla Pokoju” jest prof. Robert Traba.

natychmiastową rozbiórkę pomnika. Tej decyzji nie chciał jednak uznać prezydent Grzymowicz, podpierając się sondażem IBRiS, który wykazał, że za przeniesieniem monumentu poza Olsztyn opowiada się 30% badanych, za pozostawieniem, ale z uzupełnioną informacją historyczną na temat roli żołnierzy radzieckich po zdobyciu miasta – 24%, za pozostawieniem, lecz jako pomnik ofiar totalitaryzmu – 16%, za przeniesieniem na cmentarz wojskowy – 13%, a za pozostawieniem bez żadnych zmian – 6%. Nie miało zdania w tej sprawie 11% pytanych.

Mając taką podkładkę, Grzymowicz odwołał się do ministra kultury, lecz Piotr Gliński – czego można było się spodziewać – jego argumenty odrzucił. W tej sytuacji prezydent miasta złożył wniosek o wstrzymanie decyzji wojewody w wojewódzkim

sądzie apelacyjnym, i to w Warszawie, ale młyny sprawiedliwości miały powoli i nie wiadomo, jak sprawa się zakończy. A tak na marginesie: wojewoda z poręki PiS urzęduje w pobliskim okazałym gmachu zbudowanym „za głębokiej komuny”, ale jakoś mu to nie przeszkadza.

Profesor w roli obrońcy

Tymczasem ataki na monument wyzwoliły w ostatnich miesiącach reakcję intelektualistów z Olsztyna i z kraju, a także mieszkańców miasta, którzy od 20 czerwca podpisują się pod apelem o zostawienie dzieła Dunikowskiego w spokoju. Inicjatorami petycji są nauczycielka Elżbieta Traba i jej mąż prof. Robert Traba, historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN, współzałożyciel Wspólnoty Kulturowej Borussia,



Uczestnicy konferencji przed pomnikiem autorstwa Dunikowskiego.

wieloletni dyrektor Centrum Badań Historycznych w Berlinie. Wśród sygnatariuszy apelu są literaci, architekci, naukowcy, ludzie teatru, społecznicy. „Nie chcemy tzw. relokacji, co w efekcie oznacza likwidację pomnika Xawerego Dunikowskiego. Dzieł sztuki, nawet jeżeli są trudnym dziedzictwem minionej epoki, nie powinniśmy niszczyć”, napisali, dodając, że pragną, aby wokół założenia pomnikowego powstał artystyczno-muzealny „Projekt dla pokoju”. Ich zdaniem „zdemilitaryzuje on pierwotne przesłanie pomnika oraz stworzy kulturową przestrzeń dla mieszkańców Olsztyna. Mieszkańcom i turystom opowiadał będzie trudną historię XX w. na Warmii i Mazurach”.

Choć projekt z miejsca został zaatakowany przez prawicę (na Facebooku pod adresem inicjatorów posypały się wyzwiska typu „pomioty stalinowskie”), prof. Traba się nie ugiął, zwłaszcza gdy w ciągu trzech tygodni apel podpisało prawie 600 osób, w tym połowa z regionu, a z kraju takie postacie kultury jak Anda Rottenberg, Dorota Nieznańska, Andrzej Mencwel czy Krzysztof Wodiczko, mieszkający w USA artysta, którego „prace wiążą się z wykorzystaniem przestrzeni publicznej do projekcji poruszających tematykę

społeczną i polityczną”. Miał on nawet przyjechać 12 lipca br. do Olsztyna, by wziąć udział w konferencji na ten temat zorganizowanej przez Roberta Trabę w Domu Ericha Mendelsohna, czyli żydowskim domu przedpogrzebowym wybudowanym w 1913 r. przez tego urodzonego w Olsztynie architekta światowej sławy. Wodiczko ma już 80 lat, więc jego podróż z Nowego Jorku okazała się za trudna, ale przesłał list, w którym podkreślił, że sprawa bardzo leży mu na sercu. Jednocześnie poparł ideę utworzenia muzeum pokoju bądź pamięci na placu Dunikowskiego.

Idea na ośmiu filarach

Według projektu pomysłodawców muzeum ma powstać na ośmiu filarach, które pozwolą opisać trudne dzieje regionu. Są to: zwycięstwo Niemców nad Rosjanami w bitwie pod Tannenbergiem w 1914 r., przebrany przez Polaków w 1920 r. plebiscyt na Warmii i Mazurach, II wojna światowa, stalinizacja Polski do 1956 r., biografia wybitnego rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego, wcześniej więźnia Auschwitz-Birkenau, polskie spory o pamięć po 1956 r., okres po 1989 r. oraz Hyde

Park, który pozwalałby każdemu wyrażać swoje zdanie o historii i o muzeum. Robert Traba przekonuje, że muzea w Europie i na świecie wychodzą z zabytkowych budynków, nadają swoim kształtem nowy wyraz przestrzeniom miejskim, tak jak muzeum pomnik Pomordowanych Żydów Europy w Berlinie czy MuseumsQuartier w centrum zabytkowego Wiednia. Tak może być i w Olsztynie, w którym zagospodarowana przestrzeń wokół pomnika byłaby z jednej strony hołdem dla ofiar radzieckiego i nazistowskiego totalitaryzmu, a z drugiej – przestrzeganiem dla kolejnych pokoleń. I miejscem sporów, które są podstawą dialogu.

Petycję z tym przesłaniem przekazano prezydentowi miasta, a uczestnicy konferencji zebrali się pod pomnikiem, z którego niedawno skuto symbole ZSRR. Manifestację zakłóciło jednak kilka osób ze środowiska prawicowego, wywieszając transparent, na którym sierp i młot zrównano z hitlerowską swastyką (dodając literę Z, choć wyszło, pewnie z pośpiechu, N). Zareagował na to Robert Traba, zgłaszając policji propagowanie symboli totalitaryzmu. Policja odmówiła jednak ścigania, twierdząc, że sprawcy są nieznani.

MY... NARÓD MIGRANTÓW

W ciągu ostatniego stulecia miliony Polaków wyruszyły w świat w poszukiwaniu lepszego życia. Dlaczego dziś o tym nie pamiętamy?

Mateusz Mazzini

Przed wszystkim bieda, a zaraz po niej strach. Ledwo co odzyskana państwowość znów była zagrożona, wojna jeszcze na dobre nie opuściła domów i gospodarstw, a już pukająca do drzwi. Niektórzy zresztą z lękiem o przyszłość własnego narodu się oswoili, bo w nim wzrastali, spędzili całe życie. Te ziemie były areną mniejszych lub większych konfliktów od stuleci, a bezpośrednia przeszłość to życie pod butem obcych mocarstw. Zginąć można było w każdej chwili, w dodatku często walcząc w nieswojej armii. I to ubóstwo, które nieustannie zaglądało w oczy razem z głodem. Nawet wykształceni, lepiej sytuowani nie mieli tu czego szukać, brakowało szans rozwoju. Mieli plany, ambicje, chcieli je realizować w krajach wolnych, otwartych – te jednak często zamykały przed nimi granice. A nawet jak już wpuściły, stawiały bolesne ograniczenia: religijne, rasowe, etniczne. Z biurokratycznego punktu widzenia najłatwiej było uciec tam, gdzie sam z siebie jechać nie chciał prawie nikt, bo klimat niesprzyjający, a gospodarka słabo rozwinięta. Wielu zresztą tej podróży nie przeżyło albo ostatecznie osiedlili się nie tam, gdzie planowali. Mimo wszystko decyzji o opuszczeniu ojczyzny żałowali rzadko. Również dlatego, że nie mieli innego wyboru niż emigracja.

Powyższy opis celowo jest pozbawiony szczegółów – przez to

uniwersalizuje doświadczenie migracyjne. Mógłby dotyczyć Afgańczyków, Irakijczyków albo Banglijczyków próbujących przedostać się do Europy w ciągu ostatnich kilku czy kilkunastu lat. Mógłby opisywać losy gwatemalskich bądź nikaraguańskich matek, próbujących dotrzeć do krewnych mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Mógłby też opowiadać o Polakach, których z ojczyzny ododzyskania niepodległości wyjechało co najmniej kilkanaście milionów. W różnych momentach, w różnych warunkach, w różne miejsca, ale prawie zawsze z tych samych przyczyn.

Wraca państwowość, nie wracają emigranci

Polacy jeszcze przed powrotem swojego państwa na mapę Europy stanowili znaczące odsetki społeczeństw, do których wyjeżdżali. Już pod koniec XIX w., jak wynika z danych Biblioteki Kongresu USA, za oceanem mieszkało 1,5 mln naszych rodaków. Ta emigracja miała dość specyficzny charakter. Jak zauważa prof. Wioleta Danilewicz z Uniwersytetu w Białymstoku, do Stanów Zjednoczonych wyjeżdżano głównie z powodów ekonomicznych i najczęściej pojedynczo. Docelowo większość Polaków myślała o sprowadzeniu rodzin, rzadziej – o zarobieniu odpowiedniej kwoty i powrocie do kraju, ale początkowa fala emigracyjna miała zdecydowanie bardziej pionierski charakter. Liczby te rosły w kolejnych latach – jak pisze

Dariusz Terlecki w książce „Po dolary i wolność. Śladami Polonii w Ameryce”, do 1910 r. za ocean wyjechało już 3,5 mln Polaków, mniej więcej po równo z trzech zaborów, trudno więc doszukiwać się politycznych pobudek różnicujących stosunek do obcych mocarstw. Potwierdza to raczej tezę, że jechali w świat, bo nigdzie nie czuli się u siebie, a Stany oferowały szanse, których w domu próżno było szukać, i przede wszystkim tytułową u Terleckiego wolność.

Potem przyszła niepodległość, ale exodus nie ustał. W kulturze popularnej opisującej tamte czasy dominują obrazy powrotów do ojczyzny, połączonych na nowo rodzin, ludzi wracających budować szklane domy nad Wisłą. Rzeczywistość była zgoła odmienna, bo jak wyliczyła w 1981 r. Halina Janowska, powołując się na dane zebrane w Roczniku Statystyki RP i Statystyki Pracy, bilans migracyjny Polski w 20-lecie międzywojennym był mocno ujemny. Z kraju wyjechało wtedy 2 mln osób, z czego 1,25 mln do Europy Zachodniej. Niecałe 800 tys. trafiło do USA, co może zastanawiać, zwłaszcza w zestawieniu ze znacznie wyższymi liczbami migrantów w poprzednich dekadach. Należy jednak w tym miejscu wspomnieć o zupełnie innym już, powojennym kontekście międzynarodowym. Stany Zjednoczone wprowadzają nową, znacznie bardziej restrykcyjną politykę migracyjną – jej ofiarami są szczególnie Azjaci, ale Europejczykom, zwłaszcza Słowianom, też trudniej o legalny pobyt.



Polska rodzina przy pracach polowych w amerykańskim Baltimore, Maryland 1906 r.

Ustawy antymigracyjne zza oceanu przywędrują zresztą niedługo później do Europy. Mocno inspirował się nimi Adolf Hitler, kreśląc plany segregacji rasowej w III Rzeszy, co skrupulatnie w „Czarnej ziemi” opisał amerykański historyk dziejów Europy Środkowej prof. Timothy Snyder.

Na powrót staje się ona tematem już w Polsce Ludowej. Wizja życia po drugiej stronie żelaznej kurtyny, na demokratycznym, kapitalistycznym Zachodzie była najczęstszym magnesem, aczkolwiek wielu wyjeżdżało, bo zwyczajnie musiało. Do tej drugiej kategorii należy chociażby

w ten sposób do Polaków żydowskiego pochodzenia mordowanych przez Sowietów. Wprowadzenie tej sztucznej kategorii narodowościowej ma na celu podkreślenie w zawołany sposób tego, co jest podstawą polityki historycznej polskiej prawicy – że nie da się być Polakiem i Żydem jednocześnie, dlatego takie osoby trzeba wepchnąć w inne, niezwiązane z polską wspólnotą narodową ramy.

Ludzi tych zmuszono do emigracji z PRL, ich kraju, i jest to fakt, a nie opinia. Ilu ich było dokładnie – tutaj dane są bardzo różne, wręcz niespójne. Encyklopedia PWN podaje liczbę „1,5 mln Polaków i Żydów”, którzy wrócili do kraju w latach 1944-1948, plus 200 tys. osób w latach 1955-1957. Natomiast w okresie od przemian 1956 r. aż do powstania Solidarności według tego samego źródła PRL opuściło 800 tys. obywateli. Stowarzyszenie Wspólnota Polska mówi z kolei o 1 mln polskich emigrantów w latach 1950-1989. Ta liczba wydaje się jednak mocno zaniżona, bo według dr Magdaleny Wnuk z Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk tylko w latach 1981-1989 z kraju wyjechało 1,3 mln osób (niektórzy mówią nawet o 2 mln).

Już pod koniec XIX w. w USA mieszkało 1,5 mln naszych rodaków. Wyjeżdżano głównie z powodów ekonomicznych i najczęściej pojejdynczo.

Powrotów było sporo, ale mniej niż wyjazdów. Z innych krajów Starego Kontynentu do Rzeczypospolitej wróciło mniej więcej 1 mln osób, z USA – 48 tys., ocenia Halina Janowska. Krótko mówiąc, chociaż Polska zyskała państwowość, straciła 1 mln swoich obywateli.

Emigracja roku '68 i lat 70.

II wojna światowa to okres przymusowych przesiedleń, wywózek i innych form prześladowań wymuszających zmianę miejsca pobytu, dlatego o dobrowolnej migracji trudno w tym kontekście mówić.

15 tys. Polaków żydowskiego pochodzenia, którzy wyjechali z kraju w latach 1968-1971 w wyniku antysemickiej nagonki. To stwierdzenie budzić będzie kontrowersje, bo dla wielu polityków, historyków i socjologów, szczególnie będących w służbie obecnego rządu Zjednoczonej Prawicy, ludzi tych nie powinno się klasyfikować jako Polaków. Dość wspomnieć, że w 2018 r., podczas wykładu na Uniwersytecie Warszawskim z okazji 50. rocznicy wydarzeń Marca '68, ówczesny wicepremier, dziś szef rządu Mateusz Morawiecki użył sformułowania „przedstawiciele narodu Żydów Polskich”. Odniósł się

► Z precyzyjnymi ustaleniami są spore problemy, bo – zupełnie jak po I wojnie światowej – w czasach zimnej wojny radykalnie zmieniał się krajobraz polityczny. Trudno np. dokładnie wskazać, ilu Polaków wyjechało z PRL do Niemiec. Szacunki mówią o 250 tys., niektóre nawet o 560 tys. O właściwą liczbę niełatwo, ponieważ wiele osób miało niemieckie paszporty i za granicę wyjeżdżało nie tylko legalnie, ale też wielokrotnie – a nawet jeśli ostatecznie decydowało się pozostać na Zachodzie, nie wymeldowywało się ze swojego polskiego adresu.

Pierwsze dekady to wyjazdy motywowane raczej ideologicznie, napędzane rozczarowaniem po przejęciu władzy przez PZPR. Im później, tym więcej wyjazdów w celach zarobkowych. Widać to zwłaszcza po 1970 r.,

Niemiec, pomiędzy stanem wojennym a Okrągłym Stołem udał się tam prawie co drugi emigrujący Polak (42% według wyników badań dr Małgorzaty Krywult-Albańskiej z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie).

Stracona dekada

Wyjeżdżali przede wszystkim młodzi. Jak analizuje dr Magdalena Wnuk, około jednej trzeciej emigrantów z lat 80. stanowili ludzie w wieku 25-34 lata, a więc tacy, którzy albo nie mieli jeszcze własnej rodziny, albo dopiero co ją założyli. Nie dziwi też, że aż 40% wszystkich migrujących z Polski stanowili w tym czasie wykwalifikowani pracownicy, czyli osoby z wykształceniem średnim lub wyższym. Takim na Zachodzie

około coraz częstsze wyjazdy bez powrotów. Rodakom na Zachodzie nie było łatwo – istniała wprawdzie całkiem prężna sieć organizacji polonijnych, lecz, co podkreśla dr Wnuk, działały one głównie w największych europejskich stolicach. Lokalne inicjatywy na rzecz polskich migrantów miały natomiast głównie charakter polityczny, wynikały bowiem z poparcia dla Solidarności. Przychylnie do sprawy polskiej podchodziły zwłaszcza związki zawodowe we Francji i Włoszech, Półwysep Apeniński był zresztą jednym z najpopularniejszych kierunków migracyjnych, co odnotowano nawet na łamach paryskiej „Kultury”. Przy czym trudno jednoznacznie odróżnić tych, którzy wyjeżdżali w tamtych latach z powodów ekonomicznych od migrantów ściśle politycznych – również dlatego, że w wielu przypadkach powody te się pokrywały.

Niektórych już poza granicami kraju zastał stan wojenny i zdecydowali się nie wracać, inni otrzymali ultimatum od władz PRL lub zwyczajnie bali się prześladowań i represji. Byli też tacy, którzy w zmianę ustroju po prostu nie wierzyli, w związku z tym emigrację planowali od dawna i była dla nich jedynie kwestią czasu.

Przełom niczego nie zmienił

Aż nastąpił przełom ustrojowy, który jednak w kwestii migracji żadnym przełomem się nie okazał. Jak zauważa socjolog prof. Władysław Masiarz, po 1989 r. zmieniła się właściwie tylko przyczyna migracji. Zanikła zupełnie migracja polityczna, nasiliła się natomiast migracja ekonomiczna. W pierwszych latach III RP nie była ona jeszcze zjawiskiem masowym, ale już po wejściu do Unii Europejskiej zyskała właśnie taki charakter. Według danych przytaczanych przez prof. Andrzeja Chodubskiego z Uniwersytetu Gdańskiego od 1989 r. do momentu akcesji z kraju wyjechało na stałe 250 tys. osób – stosunkowo niewiele w porównaniu chociażby z ostatnią dekadą PRL. Równie ważne było jednak zjawisko braku masowych powrotów, które

1,3 mln osób opuściło kraj w latach 1981-1989. Aż 40% wyjeżdżających miało wykształcenie średnie lub wyższe.

kiedy Władysław Gomułka na czele partii zastąpił Edward Gierek. Łatwiej było wówczas o paszport, kraj potrzebował zresztą migrantów stałych i tymczasowych, obie kategorie zapewniały bowiem napływ dewiz do ojczyzny. Silny był wtedy również dolar, więc sporo osób wyjeżdżało za ocean, a nawet do bardziej egzotycznych krajów. Przykładem tego ostatniego zjawiska – mało chlubnym, ale w jakimś stopniu definiującym polską emigrację tamtych czasów – jest Janusz Waluś. Już w połowie lat 70. do RPA wyemigrowali jego ojciec i brat, Janusz dołączył do nich via Wiedeń tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 r. Co ciekawe, w Austrii trafił do tymczasowego obozu dla polskich uchodźców, co w tamtym okresie było na Zachodzie rozwiązaniem powszechnym – przybyszów z krajów niedemokratycznych wpuszczano bez zastanowienia i pozwalano przynajmniej złożyć wniosek o azyl.

Generalnie, jeśli chodzi o kierunki emigracji, dominowała Europa, zaraz za nią kraje anglosaskie: USA, Kanada, Australia. Zdecydowanym liderem była Republika Federalna

najłatwiej było się odnaleźć, był na nich także największy popyt. Dotyczyło to zarówno wyjazdów stałych, jak i tymczasowych, a ten drenaż mózgów widoczny był zwłaszcza w województwach zachodnich. W historycznych źródłach na temat Solidarności, jak również w relacjach przywódców ruchu, takich jak Józef Pińor czy Zbigniew Bujak, mnóstwo jest opowieści o tym, jak pod koniec lat 80. jeździli oni zwłaszcza do dużych zakładów przemysłowych na Pomorzu Zachodnim, próbując mobilizować robotników do kolejnych strajków. Ci jednak albo nie byli tym zainteresowani, albo zastrzegali, że owszem, w protestach wezmą udział, ale nie mogą one się odbyć w lipcu i sierpniu – mieli już wówczas zakontraktowane miejsca tymczasowej pracy w Hamburgu i innych ośrodkach przemysłowych Niemiec Zachodnich.

Ostatnie 10 lat PRL nazywane jest straconą dekadą. W kraju panował ogromny kryzys gospodarczy, a coraz słabsza władza nie starała się już nawet udawać, że jest w stanie zapewnić Polkom i Polakom godne życie w ojczyźnie – przymykała więc



Polscy emigranci w obozie Traiskirchen w Austrii, 31 grudnia 1981 r.

po raz kolejny w historii Polski okazały się myśleniem życzeniowym. Podobnie jak w międzywojniu nowa Rzeczpospolita nie była wystarczającym magnesem, by rodaków ściągnąć z powrotem nad Wisłę. Było raczej odwrotnie – znaczenia w statystykach nabrało zjawisko polskich migrantów drugiej generacji, czyli Polaków urodzonych już w innych krajach. Oni też nie chcieli wracać do ojczyzny rodziców, co akurat jest bardziej zrozumiałe z uwagi na prawdopodobne zakorzenienie w innej kulturze, języku, systemie edukacyjnym. Widać to było np. w wynikach Ankiety Migracyjnej – badania przeprowadzonego wśród polskich migrantów krajowych i zagranicznych w 2002 r. przez Główny Urząd Statystyczny. Co prawda, o wyjeździe do innego kraju opowiedziało badaczom wtedy zaledwie 81 tys. osób, ale wśród nich prawie jedna trzecia (30%) przebywała za granicą 15 lat lub dłużej – co znaczy, że albo wywodzili się z rodzin mieszkających poza Polską od dawna, albo sami je tam założyli.

Przez całe lata 90., jak wynika z danych GUS, trendy migracyjne były w miarę stabilne. Dopiero

pod koniec dekady nasiliły się nieco powroty – w tym okresie liczba osób wracających do Polski po tzw. migracji długookresowej, trwającej 8-12 lat lub więcej, zaczęła się zbliżać do 6 tys. obywateli rocznie. Potwierdza to tezę, że osoby, które Polskę opuściły w latach 80., robiły to głównie z powodów finansowych, a nie politycznych. Sama zmiana

wizowe, zmniejszyła się liczba osób pracujących na czarno. Do tego powstała całkowicie nowa kategoria migrantów – młodzi Polacy wyjeżdżający na studia zagranicę. Tutaj z pomocą przyszło głównie unijne prawo, zakazujące dyskryminacji obywateli innych państw przez kraje członkowskie na gruncie finansowym. W praktyce oznaczało to,

W pierwszym pięcioleciu polskiego członkostwa w Unii z Polski wyjechało aż 3 mln osób.

ustroju nie spowodowała, że wrócili. Migracja długookresowa pozwoliła im natomiast na zebranie odpowiedniego kapitału, czekali też na odbicie gospodarcze w kraju po zapaści początku lat 90. i terapii szokowej Balcerowicza.

Otwarta Europa

Potem jednak Polska weszła do Unii Europejskiej i w kwestii migracji zaczęła się całkowicie nowa era. Mogliśmy wyjeżdżać prawie wszędzie w Europie, całkowicie legalnie i bez ograniczeń. Zniknęły problemy

że wszędzie tam, gdzie studia były płatne, Polacy musieli być traktowani na równi z lokalnymi studentami – co zapewniało niższe czesne i dostęp do pożyczek studenckich czy bezzwrotnych grantów. Różnicę widać było zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, gdzie niektóre władze regionalne (w Walii i Szkocji) oferowały możliwość studiowania bez czesnego lub za ułamek wymaganej kwoty.

W ujęciu ogólnospołecznym był to dla Polski exodus – w użyciu tego słowa nie ma przesady. Przy czym jak zawsze – trzeba uważać z dokładnymi liczbami. Jak w 2010 r. ▶

► pisał prof. Chodubski, w pierwszym pięcioleciu polskiego członkostwa w Unii z kraju wyjechało aż 3 mln osób. Co trzeci emigrant kierował się na Wyspy Brytyjskie, 800 tys. wyjechało do Niemiec, 350 tys. do Irlandii, po 100 tys. do Włoch, Holandii i Hiszpanii. Kierunek brytyjski łatwo zrozumieć – w pierwszej dekadzie XXI w. funt kosztował momentami ponad 6 zł, wyjazd zarobkowy opłacał się więc pod każdym względem. W dodatku Polacy stanowili relatywnie dobrze wykwalifikowaną siłę roboczą i nie mieli problemów z językiem, szybko zatem znajdowali pracę. Tylko w pierwszym roku po akcesji wyjechało 800 tys.

Hiszpania i Włochy przyciągnęły sporo polskich lekarzy, podobnie kraje skandynawskie, zwłaszcza Norwegia. Niestety, temat migracji, a zwłaszcza powrotów z innych krajów europejskich, łatwo zmienić w polityczną broń, bo trudno tu jednoznacznie coś zweryfikować. Jak wspomniałem wcześniej, przyczyną chaosu w danych są meldunki – zdecydowana większość Polaków, którzy wyjechali na Zachód po wejściu do Unii, nigdy się nie wymeldowała. Dlatego choć osoby opuszczające kraj trzeba liczyć w milionach bądź setkach tysięcy, w oficjalnych statystykach znaleźć można raczej liczby o rząd wielkości mniejsze.

na stałe, większość mieściła się w tej kategorii tymczasowo. Nie ma jednak wątpliwości, że wyjazd za granicę zmienił ich mentalność, zachęcił do kulturowej otwartości. Nie bez przyczyny popularne na korytarzach brukselskich instytucji jest stwierdzenie, że nic nie przyczyniło się bardziej do utrzymania pokoju w powojennej Europie niż właśnie Erasmus.

W poszukiwaniu szczęścia

Polacy zawsze byli narodem migrującym – są takim zresztą i dzisiaj. W 2020 r. Jacek Frączyk z portalu Business Insider, powołując się na dane Eurostatu, ONZ i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, wyliczył, że poza Polską mieszkało wtedy 4,5 mln Polaków, czyli ponad 10% populacji naszej wspólnoty narodowej. W liczbach bezwzględnych to najwięcej w całej Unii Europejskiej, procentowo jesteśmy za Rumunią, Bułgarią, Irlandią, Portugalią i krajami bałtyckimi. Nie zmienia to jednak faktu, że nadal szukamy lepszego życia w innych krajach. Nie mamy już nad sobą brutalnego okupanta, nikt nie grozi nam – przynajmniej na razie – zbombardowaniem domu czy odebraniem suwerenności. Jesteśmy też krajem znacznie bogatszym niż choćby dwie dekady temu. Mimo

Rekordowo ujemny pod względem salda migracyjnego był okres pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości.

osób, w latach 2005-2007 – kolejne 1,2 mln, czyli mniej więcej tyle samo, ile przez całe lata 80.

Te liczby są ważne, bo powróciły jako temat w bieżącej kampanii wyborczej. Zjednoczona Prawica ponownie postanowiła kolportować niepotwierdzone dane o „2 mln Polaków, którzy wyjechali za rządów Tuska”. Tymczasem rekordowo ujemny pod względem salda migracyjnego był okres pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości, co szybko udowodnił w mediach społecznościowych dziennikarz portalu Onet Michał Protaziuk.

Jak podaje Danuta Pawłowska z portalu BiqData prowadzonego przez „Gazetę Wyborczą”, saldo migracyjne dla Polski zaczęło przyjmować wartości dodatnie dopiero w 2016 r. Przyczynił się do tego brexit, który spowodował, że część Polaków wróciła z Wysp, także mniej osób – w tym młodych, udających się na studia – zdecydowało się tam wyjechać, właśnie z powodu utraty przywilejów na uczelniach, wynikającej z wyjścia Londynu z Unii.

W 2020 r. poza Polską mieszkało 4,5 mln Polaków, czyli ponad 10% populacji naszej wspólnoty narodowej.

Pokolenie Erasmusa

Motywy wyjazdu z kraju były w większości ekonomiczne, choć zmienił się nieco profil tych, którzy wyjeżdżali. Jedna trzecia migrantów miała mniej niż 40 lat, ale konkretne kierunki przyciągały konkretne specjalizacje zawodowe. Jak wyliczał prof. Chodubski, do Wielkiej Brytanii najwięcej wyjechało kierowców, inżynierów, robotników produkcyjnych, ale też lekarzy, osób pracujących w zawodach pielęgniarstwa, opiekunów seniorów. Niemcy to głównie prace sezonowe, hotelarstwo, gastronomia i remonty, a Irlandia – informatycy, farmaceuci.

Polscy licealiści przeorientowali się na uczelnie kontynentalne, głównie w Holandii, Hiszpanii, Belgii i Niemczech. Osobnym zjawiskiem jest pojawienie się tzw. pokolenia Erasmusa – studentów z krajowych uczelni, którzy uczestniczyli w programach wymian uniwersyteckich i po ich zakończeniu wrócili do Polski, odebrali dyplom i ponownie wyjechali za granicę. Brakuje dokładnych danych co do zasięgu tego zjawiska, ale szacuje się, że w ramach Erasmusa po Europie przemieściło się 200 tys. młodych Polaków i Polek. Nie wszyscy zostali migrantami

to wciąż chcemy znaleźć szczęście gdzieś indziej. Dajemy sobie do tego prawo, uważamy je wręcz za święte i bardzo się denerwujemy, gdy ktoś, kto rządzi w innym kraju, chce nam to prawo odebrać. Pamiętajmy o tej prostej prawdzie, ale także o całym kontekście historycznym, kiedy będziemy znów spierać się o prawa migrantów w Polsce. I przede wszystkim – kiedy będziemy głosować w jesiennych wyborach parlamentarnych.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Rozważania o końcu wojny

Wojna na Ukrainie trwa już ponad 500 dni i jej końca wciąż nie widać. Chyba wszyscy się pomylili i żadne prognozy się nie sprawdziły. Pomylił się Putin, który sądził, że po kilku dniach najazdu co najmniej rosyjskojęzyczna część mieszkańców Ukrainy przejdzie na stronę Rosji. Wygląda na to, że takie przewidywania oparte były na danych wywiadowczych i ich analizach sprzed kilkunastu lat. Wtedy tak pewnie by było. Putin i jego analitycy nie wzięli pod uwagę, że w dorosłe życie weszło całe pokolenie, które urodziło się już w niepodległym kraju i za upadłym Związkiem Radzieckim nie tęskni. Co więcej, w międzyczasie setki tysięcy Ukraińców miały kontakt z Zachodem, bądź jako pracownicy, bądź jako turyści. Zachód zaimponował im nie tyle demokracją, ochroną praw człowieka, ile poziomem życia. Rosja nie była w stanie zaimponować niczym. Stosunkowo łatwe zarówno z militarnego, jak i politycznego punktu widzenia zajęcie Krymu zachęciło Rosję do zrobienia drugiego kroku – rozpoczęcia „operacji specjalnej”, jak propaganda rosyjska nazwała pełnoskalową wojnę.

Bieg wydarzeń zaskoczył chyba wszystkich. Po zajęciu przez Rosję Krymu polityka Zachodu znalazła się w impasie. Rozwiązania były teoretycznie trzy. Rozpocząć wojnę z Rosją, negocjować z Rosją nowe granice, przyjmując, że stare, te powstałe po rozpadzie ZSRR, są dla niej krzywdzące, albo trochę na Rosję się poboczyć, postraszyć ją mało dotkliwymi sankcjami i udawać, że w gruncie rzeczy nic się nie stało. Nolens volens wybrano to ostatnie rozwiązanie. Pierwsze było nierealne. Jakkolwiek patrzeć, Rosja jest mocarstwem nuklearnym i wojna z nią mogłaby się skończyć zagładą ludzkości. Ale nawet niezależnie od tego nikt w Waszyngtonie, Berlinie, Londynie czy Paryżu nie myślał umierać za Krym. Konferencja zmieniająca granice w Europie Wschodniej, a być może i w Środkowej, tak by choć trochę ustąpić żądaniom rosyjskim, była politycznie nie do przyjęcia. Zbyt wyraźnie przypominałaby układ monachijski z 1938 r., poza tym wywołałaby niedającą się do końca przewidzieć lawinę żądań i roszczeń różnych innych państw tego regionu wobec sąsiadów. Zapewne Węgry chciałyby korekty granic kosztem Ukrainy i Rumunii, Rumunia kosztem Bułgarii, na nowo zagotowałby się niedawno uspokojony kocioł bałkański. To rozwiązanie też nie wchodziło w grę, jako zbyt ryzykowne. I stało się to, co się stało. Może błąd został popełniony wcześniej. Może trzeba było nie angażować się aż tak mocno w „drugi Majdan”, nie dawać Ukraińcom utudy, że „Europa na nich czeka” (co

najgłośniejszy wykrzykiwali, zdaje się, nasi politycy, którzy akurat w Europie sami się zmarginalizowali i nie mają wiele do powiedzenia). Może trzeba było pozwolić Janukowyczowi dalej manewrować między Rosją a Unią Europejską, powoli, krok za krokiem, gospodarczo, kulturalnie i na wszelkie inne sposoby wiązać Ukrainę z Zachodem?

Ale to już było i tego się nie zmieni. Na razie mamy ponad 500 dni wojny, setki tysięcy ofiar, ogromne zniszczenia infrastruktury, gigantyczne straty materialne. Początkowo państwa NATO dawały Ukrainie tylko „broń defensywną” (choć ostre rozróżnienie ofensywnej od defensywnej nie jest możliwe). Niemcy zaczęły od przysłania 5 tys. hełmów. Były wątpliwości, czy można Ukraińcom dać czołgi (w końcu dano). Czy można dać samoloty MiG-29 (w końcu dano, i to nie tylko poradzieckie migi). Ostatnio USA zdecydowały się dać Ukrainie broń kasetową, zakazaną przez konwencję z 2008 r. w większości państw w Europie. Rosja straszy użyciem taktycznej broni jądrowej. Spodziewane

Nie wiem, czy w stolicach najważniejszych państw NATO wierzą w możliwość odbicia Krymu przez wojska ukraińskie.

kontrofensywy ukraińskiej wciąż nie widać. Nadzieje, że Rosja się rozpadnie, nie spełniły się. Putin nie został obalony (może na szczęście, bo nic nie wskazuje na to, by mógł go na rosyjskim tronie zastąpić jakiś demokrat, następca zapewne byłby jeszcze gorszy), nie umarł ani obłożnie nie zachorował, co wieszczili domorośli eksperci od mowy ciała lub telewizyjnej diagnostyki na odległość. Konflikt trwa, ofiar przybywa. Nie wiem, czy w stolicach najważniejszych państw NATO wierzą w możliwość odbicia Krymu przez wojska ukraińskie. Prezydent Zełenski tyle razy zapewniał, że o pokoju może rozmawiać dopiero po odzyskaniu granic sprzed 2014 r., że teraz nie bardzo mógłby siadać do pokojowych rozmów.

Co zatem dalej? Krok po kroku będzie eskalowany konflikt? Do którego momentu? Czy zbliżamy się, centymetr po centymetrze, do wojny jądrowej? Do którego momentu NATO będzie pomagać Ukrainie? Czarne scenariusze są dwa. Konflikt dojrzeje do użycia przez Rosję broni jądrowej. To pierwszy. A drugi: NATO (de facto USA) ograniczy pomoc wojskową dla Ukrainy, zmusi prezydenta Zełenskiego do zawarcia pokoju. Ukraińcy uznają Zełenskiego za zdrajcę i obalą go. Na Ukrainie rozpocznie się walka o władzę. Zapewne jest też jakiś trzeci, optymistyczny scenariusz, ale w tej chwili jakoś trudno mi go sobie wyobrazić. ■

NATO nie powinno przyjmować Ukrainy

Europa musi się uniezależnić od USA i dać Ukrainie bardziej wiarygodne gwarancje niż sen o członkostwie

Rozmawia Jakub Dymek

Opublikował pan niedawno w „New York Timesie” esej, który przekонуje, że przyjmowanie Ukrainy do NATO to zły pomysł. Pozwolę sobie zapytać od razu i bez zbędnego wstępu: dlaczego?

– Wielu zwolenników członkostwa Ukrainy w NATO widzi Sojusz jako ostateczną gwarancję bezpieczeństwa. Najpewniejszą metodą odstraszania (*surest deterrent*), jaka istnieje. I ja doskonale rozumiem, dlaczego tak twierdzą. Dla wielu państw NATO od momentu powołania rzeczywiście było najskuteczniejszą formą gwarancji bezpieczeństwa. Problem z przyjęciem do Sojuszu Ukrainy wynika jednak z przyczyn związanych z samą Ukrainą.

To znaczy?

– O gwarancjach bezpieczeństwa można myśleć w kategoriach pewnego rachunku. Po jednej stronie tego rachunku znajdują się czynniki odstraszania i obrony, po drugiej – ryzyka. I można zapytać, która strona tego rachunku przeważa. Jeśli chodzi o odstraszanie, to z jednej strony doskonale rozumiem, że Władimir Putin czy dowolny jego następca musiałby dwa razy się zastanowić przed uderzeniem na Ukrainę, gdyby wiedział, że państwa NATO zobowiązały się walczyć w jej obronie. Z drugiej jednak strony każdy rosyjski przywódca będzie miał też powody, żeby wątpić w wiarygodność takich gwarancji bezpieczeństwa.

Dlaczego?

– Bo żaden kraj NATO nie zdecydował po 2014 r., że jego kluczowy interes każe pójść na konfrontację z Rosją o Ukrainę. I ta sytuacja ciągnie się od prawie 10 lat. Rosja zaś udowodniła, że jest gotowa się bić i wykrwawiać w imię tego, co uważa za swój interes w Ukrainie. Z punktu widzenia Moskwy to dalece

wątpliwe, że w przyszłości NATO naprawdę będzie gotowe pójść na wojnę po przyjęciu Ukrainy, skoro od 2014 r. do dziś nie było w stanie tego zrobić. To zaś stanowi dla Rosji pokusę, by takie gwarancje bezpieczeństwa poddać próbie i zobaczyć, co naprawdę się stanie. Czy w razie jakiejś kolejnej agresji NATO rzeczywiście pójdzie walczyć o Ukrainę, czy przeciwnie. Być może dopiero wtedy się podzieli – na co Rosja liczyła już teraz i co na szczęście jej się nie powiodło. Jednak po przyjęciu Ukrainy do NATO chęć udowodnienia przez Rosję, że art. 5 jest martwy – a z pewnością martwy w odniesieniu do Ukrainy – będzie wielka. Bo jeśli uda się w ten sposób podważyć gwarancje wynikające z art. 5, to znaczy, że da się podważyć cały sens NATO. A wtedy najbardziej ucierpią akurat te państwa, które sąsiadują z Rosją.

Polacy, Estończycy czy Litwini powiedzą panu, że widzą ten dylemat dokładnie odwrotnie.

– I zaraz do tego wrócę, tylko dokończę temat rachunku odstraszania i ryzyka. W jaki sposób NATO może uwiarygodnić swoje gwarancje? W trakcie zimnej wojny, jak wiemy, w RFN rozmieszczono tysiące głowic jądrowych i całą armię amerykańskich żołnierzy. A jednak nawet wówczas najwybitniejsze umysły Sojuszu zastanawiały się, czy kiedy dojdzie do wojny, USA zdecydują się zaryzykować Boston, by ocalić Bonn. Ta sytuacja pokazuje, że art. 5 i odstraszanie nie mają magicznej mocy zaklęć. Fakt,



STEPHEN WERTHEIM

Stephen Wertheim – badacz związany z Carnegie Endowment for International Peace, gościnnie wyklada na Yale University i waszyngtońskim Catholic University. Jest autorem książki „Tomorrow, the World: The Birth of U.S. Global Supremacy” (Jutro cały świat. Narodziny amerykańskiej globalnej supremacji).

że zobowiązania i gwarancje bezpieczeństwa istnieją, nie oznacza automatycznie, że są one poparte gotowością pójścia na wojnę przez Stany Zjednoczone i inne kraje Sojuszu. I teraz ostatnia kwestia. Gdy trwa wojna, pytanie, czy Rosja będzie gotowa zaatakować Ukrainę ponownie,

zimnej wojny, a teraz – nawet gdy Ukraina spełni wymogi – Kijów usłyszy „nie”. Zgadza się, myślę, że to nieuczciwe! Ale koniec końców NATO robi to, co będzie w najlepszym interesie samych sojuszników. Dlatego mam pretensje do administracji Bidena, gdy sugeruje, że przy-

decyzją polityczną i wyrzucić do kosza?

W słynnym wywiadzie dla magazynu „The Atlantic” prezydent Barack Obama stwierdził, że bezpieczeństwo Ukrainy nie jest i nie będzie dla Stanów Zjednoczonych kluczowym interesem, natomiast dla Rosji – tak. Czy dziś administracja Bidena kontynuuje ten tok myślenia, czy z nim zrywa?

– Świetne pytanie. Powiedziałbym, że rachunek, który przedstawił wtedy Obama, jest aktualny. Oczywiście po 24 lutego 2022 r. Stany podjęły duże ryzyko, by przyjąć Ukrainie z pomocą. I to jest coś, co rzeczywiście mogło za czasów Obamy się nie wydarzyć, gdyby prezydent był wtedy w podobnej sytuacji. Teraz Waszyngton też jasno komunikuje, że to my jesteśmy w stanie przeczekać i wyrzucić na Putina większą presję niż on na nas. Zarazem jednak uważam, że prezydent Biden jest całkowicie szczerzy, kiedy mówi, że celem numer jeden jest uniknięcie bezpośredniej wojny z Rosją. I nawet jeśli Białe Dobre nie mówi tego aż tak wprost, uważam, że do tego dalej sprowadza się przekaz.

Myślę, że prezydent Biden także mówił to wprost.

– Mówił, że nie ma mowy o wysłaniu amerykańskich żołnierzy

Fakt, że zobowiązania i gwarancje bezpieczeństwa istnieją, nie oznacza automatycznie, że są one poparte gotowością pójścia na wojnę przez USA i inne kraje Sojuszu.

by powstrzymać jej przystąpienie do NATO, wydaje się bezzasadne. Wojnę już mamy. Ale tak naprawdę to jest istotne pytanie. Czy, jeśli nawet ta wojna się zakończy, rozpoczęcie procesu akcesji nie da Moskwie wymówki, by natychmiast zacząć kolejną? Jeśli tak, to czy przyjęcie Ukrainy do NATO daje mocniejsze gwarancje bezpieczeństwa Europy, wschodniej flanki, samej Ukrainy – czy odwrotnie?

Ale czy to, co pan proponuje, nie daje Rosji de facto prawa weta wobec rozszerzania NATO? Jeśli jakieś państwo chce dołączyć do Sojuszu, to nawet jeśli spełniło wymogi, Moskwa zawsze może akcesję powstrzymać, mówiąc, że się na nią nie zgadza.

– Nie powiedziałbym tak. Nie parzę na Sojusz Północnoatlantycki jako na liberalną utopię, do której może się zapisać każdy po spełnieniu obiektywnych kryteriów wejścia. Ten sojusz wymaga zgody członków i podzielanego przez wszystkich przekonania, że rozszerzenie leży w interesie wspólnego bezpieczeństwa i wzmacnia Sojusz jako całość. A nawet ten dość nieszczęsny komunikat po szczycie NATO w Wilnie daje jasno do zrozumienia, że Sojusz będzie gotowy na przyjęcie Ukrainy, dopiero gdy zostaną spełnione warunki i gdy będzie – tu cytuję – „zgoda sojuszników”.

Czyli, jak mówimy w Polsce, „do tanga trzeba dwojga”?

– Tak, ale w wypadku NATO trzeba dużo więcej niż dwojga partnerów. Są ludzie, którzy mówią, że to nie fair wobec Ukrainy, że NATO mogło tak daleko się rozszerzyć po zakończeniu

jęcie Ukrainy do NATO jest wyłącznie kwestią wymogów i spełnienia warunków formalnych. Przeciwnie, sama postawa Waszyngtonu w tej wojnie pokazuje, że prezydent Biden dąży do uniknięcia bezpośredniej konfrontacji NATO i USA z Rosją.

A czy główną przeszkodą nie jest to, że część Ukrainy pozostaje pod okupacją i nie można przyjąć kraju, który jest w trakcie wojny i nie sprawuje kontroli nad dużą częścią swojego uznanego międzynarodowo terytorium?

– Po zakończeniu zimnej wojny NATO nie przyjęło żadnego nowego członka, który stał przed poważnym ryzykiem inwazji z zewnątrz w nieodległej przyszłości. W tym sensie przypadek Ukrainy jest czymś zupełnie innym. Ale prawdziwe

Koniec końców NATO robi to, co będzie w najlepszym interesie samych sojuszników.

pytanie brzmi inaczej: czy kryteria przyjęcia są naprawdę obiektywne i niezmiennie, czy uznaniowe? Wdzieliśmy to już teraz w przypadku Finlandii i Szwecji, które nie musiały przechodzić przez proces przygotowywania do członkostwa – *membership action plan*, MAP. Ukraina niby też nie ma MAP, ale będzie musiała przejść przez coś, co tak naprawdę bardzo MAP przypomina. A decyzyja i tak będzie decyzją polityczną: czy członkowie uważają, że akcesja Ukrainy wzmacnia, czy osłabia bezpieczeństwo Sojuszu. A więc istnieją nienaruszalne przesłanki do przyjęcia, czy jednak można je unieważnić

i wchodzeniu w wojnę z Rosją, nie mówił, że jego priorytetem numer jeden – ważniejszym niż wszystko inne – jest niewchodzenie w wojnę. Dyskusja dotyczy tak naprawdę tego, czy dalej uważamy, że Rosja widzi więcej powodów, by walczyć, zabijać i poświęcać swoich ludzi w Ukrainie, niż my ich widzimy. I duża część Waszyngtonu, większość członków Kongresu w tym aspekcie dalej zgadza się ze stanowiskiem Obamy, tak samo jak zgadza się z tym przeważająca część amerykańskiego społeczeństwa.

Ale dopóki Ukrainie można pomagać przez dostarczanie uzbrojenia ▶

► **i nowe kontrakty zbrojeniowe, pomoc humanitarną i finansową oraz zwiększenie kosztów wojny dla Rosji, dopóty żadne czerwone linie nie zostaną przekroczone i Waszyngton jest jak najbardziej za?**

– Dokładnie tak: pomóc Ukrainie się obronić, a nie pomagać, broniąc Ukrainy. Oczywiście też nie wierzę w teorie spiskowe, że USA same dążyły do wojny, że administracji Bidena zależało na jej wybuchu. Oni nie uważają, że Stany Zjednoczone czerpią z tego korzyści, i woleli, jak sądzę, mieć stabilne i przewidywalne relacje z Rosją. Woleli odłożyć sprawę Rosji na bok i skupić się na rywalizacji z Chinami – nie można powiedzieć, że inwazja Putina jako szczególnie im w tym pomogła.

Nie zyskują na wojnie? Amerykański sektor zbrojeniowy czy energetyczny? Są politycy, np. komisarz UE Thierry Breton czy prezydent Francji Emmanuel Macron, którzy mniej lub bardziej otwarcie zarzucają USA prowadzenie drugiej, równoległej wojny handlowej z Europą.

– W pretensjach europejskich polityków jest ziarno prawdy. Okazało się, że odchodzenie przez Europę od rosyjskiej energii całkiem nieźle służy amerykańskiemu interesowi. Gdy Europa zaczyna się zbliżać do stanowiska Waszyngtonu w sprawie Chin, to także z punktu widzenia Ameryki korzyść. Dlatego USA dążą do zminimalizowania kosztów i ryzyka dla siebie przy jednoczesnym wspieraniu tak dużych sukcesów militarnych Ukrainy, jak tylko jest to możliwe. W tym procesie uzależnienie Europy się pogłębia, Ameryka zaś czerpie ze swojego podejścia profity i jest to problem. Choć zaznaczyć: problem, ale nie spisek.



Dlaczego problem?

– Bo Europa dla własnego dobra powinna być zdolna odstraszać rosyjskie zagrożenie i w razie czego przed nim się obronić. Niezależnie od tego, jaką postawę USA przyjmą w razie kolejnego kryzysu. Następnym prezydentem USA może być Donald Trump. Szanse dziś wynoszą

Prezydent Biden jest całkowicie szczerzy, kiedy mówi, że celem numer jeden jest uniknięcie bezpośredniej wojny z Rosją.

nie mniej niż 30%. Ktoś może się upierać, że 40% albo nawet 50%. Gdybym więc ja był politykiem w Berlinie, Paryżu albo Warszawie, już planowałbym na trzy lata do przodu na okoliczność kolejnej prezydentury Trumpa. Zastanawiałbym się, co zrobić, aby ograniczyć uzależnienie Europy od USA, i jak wzmocnić bazę przemysłową oraz sektor obronny na kontynencie.

Być może rządzący w Warszawie jednak inaczej patrzą na perspektywę powrotu Trumpa niż pan. Ale zapytam: skoro w interesie USA jest wzmocnienie i usamodzielnienie się Europy, to czy Amerykanie nie powinni inwestować i wspierać rozwoju technologii w krajach naszego regionu, zamiast budować kolejne fabryki w Chinach?

– Całkowita zgoda. W interesie USA jest zniechęcenie państw Europy do kupowania amerykańskiej broni i zachęcenie do rozwinięcia własnej bazy przemysłowej na potrzeby obrony. Tak samo zresztą w wypadku Ukrainy po wojnie. Europa musi mieć polityczne motywacje do takiego działania. I nie uda się to bez Niemiec, które powinny nie tylko wywiązać się ze swoich zobowiązań, ale także rozwijać własny przemysł obronny i wziąć na siebie więcej zobowiązań związanych z odstraszeniem i obronnością.

Zanim skończymy, chciałem wrócić do pańskiego tekstu i zapytać: skoro nie NATO dla Ukrainy, to co?

– Po pierwsze, uważam, że nie musimy czekać do końca wojny, aby proponować rozwiązania w dziedzinie bezpieczeństwa na przyszłość. Oczywiście wiele zależy od tego, ile

terenu Ukraina odbije, ale niezależnie od sukcesów w tej dziedzinie jestem zwolennikiem wielostronnych gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy w stylu tych, o których dyskutowano na ostatnim szczycie G7. Nazywa się to modelem izraelskim, choć sądzę, że prędzej czy później ta nazwa zostanie porzucona, bo nie chodzi o to,

że Ukraina może i powinna naśladować Izrael w każdej dziedzinie.

I jak miałyby to wyglądać?

– W największym skrócie: Ukraina pokazała zaskakującą zdolność do obrony przed rosyjską inwazją, a jej zagraniczni partnerzy mogą jej pomóc w osiągnięciu jeszcze lepszej pozycji wyjściowej w przypadku podobnego zagrożenia w przyszłości. A także na wypadek, gdyby powstała sytuacja „zamrożonego konfliktu”. To podejście opiera się na pomocy w budowie potężnej bazy przemysłowej, zdolnej technologicznie i materiałowo zaopatrzyć silną i nowoczesną armię i dającej podstawy do szybkiego rozwoju gospodarczego. W tym mają pomóc inwestycje, wsparcie bilateralne i współpraca z koalicjantami. Elementem tego modelu byłoby także przyspieszenie wejścia do Unii Europejskiej – choć oczywiście Rosja będzie się sprzeciwiać – z osobnymi zobowiązaniami w dziedzinie bezpieczeństwa ze strony europejskich partnerów. Samo wzięcie na siebie przewodniej roli przez Europę będzie konieczne, bo opór Rosji przed wciąganiem Ukrainy w europejski system będzie zawsze mniejszy niż przed tym, co przez Moskwę jest odbierane jako wmontowywanie Ukrainy w system amerykański i okrażanie Rosji przez NATO. Ukraina potrzebuje wizji konkretnego zwycięstwa, aby wygrała swoją przyszłość, a nie tylko obietnicy wejścia do Sojuszu. To są trudne wyzwania i dylematy, które trzeba podejmować bez złudzeń, lecz z jasno określonymi celami.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

USA zdecydowały o wysłaniu do Ukrainy amunicji kasetowej. Jest wojna – potrzebna jest amunicja, o co chodzi? Co za pacyfistyczne międlenie?

Zapytajmy więc, czym są bomby kasetowe. To bomby mieszczące w sobie nawet kilkaset mniejszych głowic. Eksplodując nad celem, rozrzucają mniejsze bomby na olbrzymiej przestrzeni. Szacuje się, że jedna taka bomba może mieć pole rażenia wielkości stadionu piłkarskiego. Używano ich w wielu konfliktach wojennych. Po raz pierwszy w czasie II wojny światowej, potem m.in. w Wietnamie, Libanie, Libii, na Bałkanach, podczas inwazji na Irak, w Syrii, w Czeczenii, w konflikcie ukraińsko-rosyjskim od 2014 r.

Amunicja kasetowa nie jest w rozumieniu prawa międzynarodowego zwykłą amunicją. Podczas konferencji ONZ w Dublinie w maju 2008 r. 111 państw poparło zakaz używania bomb kasetowych i przyjęło Konwencję o zakazie użycia amunicji kasetowej. Umowa, otwarta do podpisu w Oslo w grudniu 2008 r., weszła w życie 1 sierpnia 2010 r.

i mordowania (sorry, prowadzenia operacji wojskowych albo policyjnych). Z niesłychaną precyzją opisuje ją Sven Lindqvist, szwedzki dziennikarz, w swojej książce, „Już nie żyjesz. Historia bombardowań”. Jej lektura powinna być powszechna. Autor przekłuwą tam balony hipokryzji, manipulacji i zwykłych kłamstw na temat bombardowań, których ofiarami padali (i padają) głównie cywile. I mówi to w kontekście zarówno brytyjskich dywanowych bombardowań Hamburga czy Drezna podczas II wojny światowej, jak i kłamliwych argumentów za zrzuconiem bomb atomowych na Hiroszimę czy Nagasaki. Przez całe lata dzięki cenzurze wojskowej Amerykanie zatajali rozmiar śmiertelnego rażenia tych eksplozji wobec cywilów. Atakowano „tylko” cele wojskowe. Precyzyjnie. Odpowiedzialnie. Chirurgicznie. Wręcz zatem ozdrowieńczo. Nawet 50 lat po Hiroszynie wielkie państwowe National Air and Space Museum w Waszyngtonie nie dało rady pokazać tego, co naprawdę wydarzyło się po zrzuconiu bomby Little Boy

Zakazany śmiertcionośny złom – ale „nasz”

Jej sygnatariuszami nie zostały m.in. Rosja, Chiny, USA i... Polska (ale także prawie 90 innych krajów). Polska jest również producentem tej „zakazanej” broni. Argumentem za niepodpisaniem konwencji był fakt, że Polska nie posiada broni nuklearnej i amunicja kasetowa jest jedynym środkiem bojowym o szerokim polu rażenia na wyposażeniu polskiego wojska. W tej kwestii podzielone jest też NATO, bo konwencję przyjęły Niemcy, Francja i Wielka Brytania, a odrzuciły oprócz Stanów Zjednoczonych i Polski Turcja, Estonia, Łotwa, Grecja czy Rumunia.

W interpelacji poselskiej nr 6918 posełka Izabella Sierakowska pytała premiera (wówczas Donalda Tuska): „Co było powodem odmowy złożenia przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej podpisu pod konwencją z Oslo? W jaki sposób rząd polski uzasadnia ten fakt w kontekście składanych deklaracji o działaniach na rzecz pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego? Dlaczego polskie siły zbrojne, w przeciwieństwie do większości państw Unii Europejskiej i NATO, mają mieć w swoim arsenale broń określaną mianem niehumanitarnej lub nadmiernie okrutnej?”. W interpelacji znalazły się informacje o skutkach użycia tej broni: „Bomby kasetowe to jedna z najbardziej perfidnych broni, której ofiarami jest przede wszystkim ludność cywilna, nie wyłączając dzieci. Ocenia się, że od 1965 r. w wyniku jej użycia zginęło ok. 100 tys. ludzi, w tym aż 98% to cywile, spośród których 27% to dzieci”.

Historia używania bomb kasetowych jest fragmentem liczącej ok. 100 lat historii nowej technologii zabijania

z bombowca Enola Gay w sierpniu 1945 r. – żadnych pytań, kontrowersji, wątpliwości, a nawet faktów. Pokazano tylko superfortecę B-29, bez słowa komentarza, co samolot uczynił setkom tysięcy cywilów w Hiroszynie. Duma i patriotyzm – te kłamstwa miały potężniejsze lobby niż próba uczciwego powiedzenia, co wówczas się wydarzyło.

Wracam do Ukrainy i jej uzbrojenia w bomby kasetowe. USA, mimo że nigdy nie ratyfikowały konwencji z Oslo, powoli, ale systematycznie wycofują ze swojego arsenału tę amunicję, której utylizacja kosztuje 6 mln dol. rocznie. Teraz podjęto decyzję o wysłaniu jej armii ukraińskiej. Po co złomować, skoro można bombardować? Ukraińcom brakuje właśnie amunicji (konwencjonalnej) do haubic 155 mm, a to z nich można będzie wystrzeliwać kasetowy dar. Koniecznym uzupełnieniem jest informacja, że ten typ bomb cechuje spora „niewybuchowość”, co oznacza, że są śmiertelnie groźne nawet wiele lat po zakończeniu konfliktu wojennego. Eksperci oceniają tę decyzję USA jako ostrzeżenie dla Moskwy, która zresztą używa bomb kasetowych od lat, również w Ukrainie.

Tym, co mnie zadziwia, niepokoi i budzi niezgodę, jest cisza nad tą sprawą w Polsce. W tym konflikcie Polska stoi za Ukrainą (przynajmniej od 24 lutego 2022 r.). Nie wolno udawać, że przesuwanie granic radykalizacji form prowadzenia wojny za naszą granicą nas nie dotyczy. I należy o tym rozmawiać dzisiaj, a nie kiedy ta radykalizacja (kasetowa, jądrowa) zacznie zbierać żniwo śmierci nad Wisłą.

Symbol martyrologii wsi

Zagłada Michniowa była punktem kulminacyjnym niemieckiego terroru na Kielecczyźnie w 1943 r.

Bohdan Piętka

Jedną z najtragiczniejszych kart okupacji niemieckiej na ziemiach polskich stanowiły pacyfikacje wsi. Były to działania mające na celu całkowite lub częściowe zniszczenie wsi połączone z wymordowaniem całości bądź części jej mieszkańców lub wysiedleniem całkowitym i częściowym, a także grabieżą mienia ofiar. Formalnym powodem podejmowania przez niemieckiego okupanta tak drastycznych kroków był odwet za polski opór podczas kampanii wrześniowej, a następnie za działalność partyzantki. Faktycznym zaś – polityka okupacyjna zmierzająca do wyludnienia okupowanych przez Niemcy hitlerowskie ziem Europy Środkowej i Wschodniej.

Dlatego chociaż pacyfikacje wsi miały też miejsce w okupowanej przez III Rzeszę Grecji i Jugosławii oraz w zajętej przez wojska niemieckie w 1943 r. części Włoch, to tylko na terenach Polski i ZSRR skala tych pacyfikacji świadczyła o ich ludobójczym charakterze. Pierwsza fala terroru dotknęła polskie wsie w 1939 r. Wehrmacht zniszczył wówczas od 434 do 476 wsi. W większości przypadków spalenie tych wiosek nie wynikało z bezpośrednich działań wojennych, ale było rezultatem akcji terrorystycznych z zastosowaniem zasady zbiorowej odpowiedzialności. Zbrodnie te uzasadniano odwetem za straty ponoszone przez Wehrmacht.

W czasie II wojny światowej niemieckie pacyfikacje, podczas których zamordowano od kilku do kilkuset mieszkańców, miały miejsce w co najmniej 817 miejscowościach znajdujących się w obecnych granicach Polski. Natomiast na okupowanych terenach ZSRR liczby te szły w tysiące. Na samej Białorusi w wyniku terrorystycznych operacji karnych

zniszczone wraz z ludnością co najmniej 628 miejscowości.

Operacje karne

Większość operacji, które policja niemiecka przeprowadziła przeciwko polskim wsiom, miała miejsce na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Tylko od wiosny 1942 r. do połowy 1944 r. w wyniku kilkuset akcji przeprowadzonych przez niemieckiego okupanta na obszarach wiejskich Generalnego Gubernatorstwa zamordowanych zostało ok. 17 tys. osób. Najbardziej terror ten dotknął dystrykty krakowski, radomski (Kielecczyzna) i lubelski GG oraz okręg białostocki (Podlasie), a więc tereny, gdzie silna była polska partyzantka.

Symbolem martyrologii wsi polskiej stał się Michniów na Kielecczyźnie, którego zagłada nastąpiła 12-13 lipca 1943 r. Poza Michniowem najbrutalniejsze akcje terrorystyczne

zagłada Oradour-sur-Glane 10 czerwca 1944 r., dokonana z rozkazu jednego z oficerów 2. Dywizji Pancernej Waffen-SS „Das Reich”, była jedynym takim przypadkiem we Francji.

Zagłada Michniowa stanowiła zaś punkt kulminacyjny terroru niemieckiego, który przetoczył się przez Kielecczyznę w 1943 r. Zapowiedzią tragedii były akcje represyjne w Skalce Polskiej (11 maja 1943 r.), Strużkach (3 czerwca 1943 r.) i Borze Kunowskim (4 lipca 1943 r.). Skalka Polska została spalona, a 91 ofiar (29 mężczyzn, 23 kobiety i 39 dzieci) rozstrzelano bądź spalono żywcem. Zbrodni tej dokonała żandarmeria niemiecka z Kielc przy współudziale volksdeutschów z Antonielowa (podczas okupacji – Skalki Niemieckiej). W Strużkach zastrzelono i spalono 74 ofiary (17 mężczyzn, 33 kobiety i 24 dzieci). Zbrodni tej dokonał 3. zmotoryzowany batalion żandarmerii. W Borze Kunowskim zamordowano 43 osoby

Podczas pacyfikacji Michniowa zamordowano 204 osoby, w tym 102 mężczyzn i młodocianych, 54 kobiety i 48 dzieci w wieku od 9 dni do 15 lat.

policji niemieckiej na Kielecczyźnie miały miejsce w 1943 r. w Bichniowie, Borze Kunowskim, Dębnie, Raszówce, Skalce Polskiej, Sobieniu, Strużkach, Skroninnie, Tczowie, Woli Szczygiełkowej i Żuchowicach.

Michniów jest także – obok czeskich Lidic, białoruskiego Chatynia czy francuskiego Oradour-sur-Glane – symbolem dokonanej przez Niemcy hitlerowskie zagłady całych miejscowości. Z tym zastrzeżeniem, że zagłada miejscowości Lidice i Ležáky (10 i 24 czerwca 1942 r.) w odwecie za zamach na Reinharda Heydricha była jedynym takim zdarzeniem w okupowanych Czechach. Podobnie jak

(27 mężczyzn, 7 kobiet i 9 dzieci). Kobiety, dzieci i 6 mężczyzn spalono żywcem, pozostałych 21 mężczyzn rozstrzelano. Sprawcy zbrodni w Borze Kunowskim pochodzili z 17. pułku policji ochronnej (Schutzpolizei), który potem brał udział w zagładzie Michniowa.

Pacyfikacja Michniowa została przygotowana przez gestapo, które dysponowało listą mieszkańców wsi podejrzewanych o współpracę ze zgrupowaniem partyzanckim AK Jana Piwnika „Ponurego”. Rozkaz przeprowadzenia akcji terrorystycznej przeciwko mieszkańcom Michniowa wydał najprawdopodobniej



Niemieccy policjanci w płonącym Michniowie. 12 lipca 1943 r.

kierownik placówki Policji Bezpieczeństwa w Kielcach, SS-Hauptsturmführer Karl Essig. Szczegóły ekspedycji karnej omówiono 8 lipca 1943 r. na specjalnej naradzie w Radomiu. Do jej przeprowadzenia wyznaczono różne pododdziały z 17. i 22. pułku policji ochronnej, żandarmerii niemiecką z terenowych komisariatów i posterunków oraz funkcjonariuszy gestapo z Kielc. Pododdziałami żandarmerii dowodził pochodzący z Austrii kpt. Gerulf Mayer – dowódca żandarmerii z Kielc, wcześniej kierujący zagładą Skalki Polskiej. Był on najbardziej aktywnym z wszystkich oficerów niemieckich działających podczas pacyfikacji Michniowa.

Pretekst do spalenia

Współpraca michniowian z konspiracją AK była jednak tylko pretekstem do spalenia wsi i wymordowania jej mieszkańców. Faktycznym powodem – wynikającym z niemieckiej polityki okupacyjnej – był zamiar sterroryzowania ludności polskiej i zmniejszenia jej liczebności na terenach, które po wygranej przez III Rzeszę wojnie miały być w myśl Generalnego Planu Wschodniego obszarem osadnictwa niemieckiego.

W niedzielę 11 lipca 1943 r. w okolicy Michniowa były widziane samochody, z których wysiadło kilku oficerów niemieckich. Dokonali oni rozpoznania terenu. Terrorystyczna akcja pacyfikacyjna rozpoczęła się w nocy z 11 na 12 lipca, kiedy Michniów został odcięty od świata podwójnym łańcuchem posterunków niemieckich. Siły pacyfikacyjne obsadziły również oba wloty drogi biegnącej przez Michniów z Suchedniowa do Bodzentyna. Wszyscy mieszkańcy, którzy wychodzili do pracy i próbowali dostać się na stację kolejową w Skarżysku-Kamiennej, byli zatrzymywani i zmuszani do położenia się twarzą do ziemi. Działo się to na skraju lasu przy szosie.

Po upływie mniej więcej godziny od zamknięcia pierścienia okrążenia policja i żandarmeria niemiecka wkroczyły do wsi i, chodząc od domu do domu, wypędzaly mężczyzn i chłopców, brutalnie ich bijąc. Bracia Jan i Antoni Gołębiowscy, którzy próbowali uciekać, zostali zastrzeleni na miejscu. Następnie siły pacyfikacyjne ustawiły w szeregu pod wiejską szkołą 18 mężczyzn, wybranych według listy sporządzonej przez gestapo. Strzałem w tył głowy zabito 17, jednego w ostatniej chwili wyłączono

z egzekucji. Drugą grupę mężczyzn i chłopców zgromadzono przy zakręcie drogi przebiegającej przez wieś. Tam powtórzono procedurę wywoływania nazwisk według listy. 18-letni Walerian Krogulec, który zdaniem niemieckiego oficera zbyt wolno reagował na jego polecenia, został zastrzelony. Pozostałych co najmniej 24 mężczyzn zgromadzono w czterech stodółach, które niemieccy policjanci ostrzelali i podpalili.

Później siły pacyfikacyjne podzieliły się na mniejsze grupy i bestialsko mordowały mieszkańców w różnych rejonach wsi oraz podpalaly zabudowania. Żonę gajowego Władysława Wikły rozstrzelano wraz pięciorgiem dzieci, właśnie dzieci zabijając w pierwszej kolejności. Ponadto niemieccy policjanci dopuszczali się grabieży mienia ofiar, zabierając odzież, pościel, meble, inwentarz żywy i martwy. Łupy te odwieźli ciężarówkami do Kielc.

Tego dnia Niemcy zamordowali w Michniowie 102 osoby, w tym 95 mężczyzn w wieku od 16 do 63 lat, 2 kobiety i 5 dzieci. 23 mężczyzn zostało rozstrzelanych, reszta spalona żywcem.

Opuszczając Michniów, siły pacyfikacyjne uprowadziły 28 osób, ▶

► w tym 18 młodych kobiet i dziewcząt, które wywieziono na roboty do Rzeszy. Pozostałe osoby – dziewięćka mieszkańców Michniowa i mieszkańiec Jędrów – zostały osadzone w więzieniu policyjnym w Kielcach i poddane brutalnemu śledztwu. Z zachowanych protokołów przesłuchań kieleckiego gestapo wynika, że wszyscy zatrzymani pomimo tortur nikogo nie wydali. Po śledztwie jedną osobę zwolniono, a resztę odesłano do KL Auschwitz 29 lipca 1943 r. w jednym z największych transportów Polaków z dystryktu radomskiego – było w nim 609 więźniów i 96 więźniarek politycznych. Do obozu zostali wywiezieni: Kazimierz Krogulec, Antoni, Bogdan, Jan Roman, Teofil i Zofia Materkowie, Piotr Charasymowicz oraz Feliks i Władysław Fagasińscy, małżeństwo zarejestrowane w obozie pod konspiracyjnym nazwiskiem Daniłowscy. Spośród nich wojnę przeżyli tylko 19-letni Kazimierz Krogulec, 16-letni Bogdan Materek i jego matka Zofia.

Na drugi dzień po pacyfikacji Michniowa w Skarżysku-Kamiennym został aresztowany Wiktor Wikło za to jedynie, że był mieszkańcem Michniowa. Podczas pacyfikacji wsi zginęło 20 osób z jego rodziny i dalszych krewnych, w tym dziewięcioro w wieku od 4 do 19 lat. Jednego z jego krewnych zamordowano kilka dni po pacyfikacji. Także Wiktor Wikło nie przeżył wojny (zginął prawdopodobnie w KL Buchenwald, gdzie został przeniesiony w 1944 r. z KL Auschwitz).

Po południu 12 lipca do Michniowa przybył z lasów siekierzyńskich oddział partyzancki AK pod dowództwem Jana Piwnika „Ponurego”. Wiadomość o pacyfikacji Michniowa zastała partyzantów „Ponurego”

w bazie na Wykusie. Ruszyli z odsieczą, jednak nie zdążyli przed opuszczeniem Michniowa przez niemiecką ekspedycję karną. Zobaczywszy spaloną w dużej mierze wieś, „Ponury” podjął decyzję o natychmiastowej akcji odwetowej. Partyzanci zajęli posterunek kolejowy w Podłaziu i początkowo próbowali zaatakować pociąg urlopowy wiozący żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego, jednak podłożony przez nich na torach ładunek wybuchowy okazał się wadliwy. W tej sytuacji 13 lipca około godz. 2.40 zatrzymali pod semaforem pociąg pośpieszny relacji Kraków-Warszawa i ostrzelali wagony „Nur für Deutsche”. Według jednego z meldunków niemieckich zabito 8 i raniono 14 pasażerów tych wagonów. Z kolei historyk Cezary Chlebowski oceniał, że podczas ataku na pociąg zginęło lub odniosło rany ok. 50 Niemców. Na ścianach rozbitych wagonów partyzanci wyrzili napisy: „Za Michniów”.

Odwet za odwet

Niemiecki odwet za odwet „Ponurego” był straszliwy. Rano 13 lipca wyjechała z Kielc w kierunku Michniowa kolumna samochodów z policją. Zatrzymała się we wsi Ostojów, po czym policjanci tyralierą ruszyli na Michniów. Po dojściu do najbliższego wzgórza otworzyli ogień do zabudowań wsi. W Michniowie pozostało jeszcze ok. 120 mieszkańców, którzy przeżyli pierwszy dzień pacyfikacji i nie opuścili wsi w nocy. Około

20 osób, zbudzonych strzałami, zdołało zbiec do lasu. Ci, którym to się nie udało, byli zabijani bez względu na wiek i płeć w swoich domach, na podwórzach, drogach i polach. Istniejące jeszcze budynki Niemcy podpalali, ograbiając je przedtem z mebli, pościeli i rzeczy wartościowych. Miały miejsce przypadki wrzucania żywcem ofiar do ognia. Najmłodszą ofiarą masakry był Stefan Dąbrowa, niemowlę mające 9 dni. 13 lipca zginęły 102 ofiary, w tym 7 mężczyzn, 52 kobiety i 43 dzieci.

Przed pacyfikacją Michniów zamieszkiwało ok. 500 osób. W wsi było ok. 80 gospodarstw (250 budynków), które zostały doszczętnie spalone. W rezultacie zbrodniczej operacji policji niemieckiej zamordowano 204 osoby, w tym 102 mężczyzn i młodocianych, 54 kobiety i 48 dzieci w wieku od 9 dni do 15 lat. Dwie ofiary nie były mieszkańcami tej wsi. Całkowicie wymordowane zostały wielopokoleniowe rodziny Dąbrowów, Imiołków i Materków. Zdaniem historyka Longina Kaczanowskiego liczba nierozpoznanych dotąd ofiar pacyfikacji Michniowa może sięgać 20 osób. Po wojnie do zrównanej z ziemią wsi powróciło ok. 140 mieszkańców.

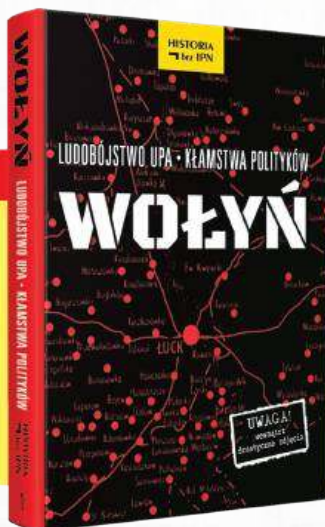
W 1969 r. austriacki sąd w Grazu skazał Gerulfa Mayera na 11 lat więzienia (karę następnie obniżono do 10 lat) za kierowanie pacyfikacją Skalki Polskiej. Mayer nie został natomiast uznany za winnego udziału w pacyfikacji Michniowa, ponieważ według austriackiego prawa należało udowodnić, że zabił konkretną osobę.

W 2017 r. Sejm ustanowił 12 lipca – dzień zagłady Michniowa – Dniem Walki i Męczeństwa Wsi Polskiej.

Bohdan Piętka

KSIAŻKA PRZEGLĄDU

**PRAWDZIWA DO BÓLU
– ZBRODNIENIE BANDEROWCÓW
OPISANE PRZEZ TYCH,
KTÓRYM UDAŁO SIĘ PRZEŻYĆ**



44 zł

Zamów książkę
na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Poczta Polska.

Rady prezydenckiego doradcy

Krew, krwi, krwią... Ta makabryczno-idiotyczna wizja odrodzenia narodu na szczęście w Polsce się nie ziściła

Jan Dutko

100-lecie urodzin gen. Wojciecha Jaruzelskiego „Gazeta Wyborcza” zaznaczyła okolicznościowym artykułem pióra Tomasza Nałęcz. Tekst zatytułowany „Jaruzelskiego pakt z diabłem” opisuje dzieje rodziny Jaruzelskich, ich zesłanie na Syberię, religijno-patriotyczne wychowanie Wojciecha i późniejszą jego naukę w szkole oficerskiej w Riazaniu.

Nałęcz oznajmia: „(...) po powrocie do kraju zawarł pakt z komunistycznym diabłem. W 1947 r. był już członkiem Polskiej Partii Robotniczej”.

Czy był to najważniejszy pakt Wojciecha Jaruzelskiego? Nie! Zdecydowanie ważniejszy, ba, przełomowy, to porozumienie z Solidarnością, Okrągły Stół, a w konsekwencji zmiana ustroju Polski. Ten długi, żmudny, rewolucyjny w swojej istocie proces był sukcesem obu stron! Nikt nie obalił „komuny”! Obie strony zawarły pakt, a Generał dotrzymał zobowiązań!

Nałęcz pisze: „13 grudnia 1981 r., aby zdusić wolnościowe dążenia 10-milionowej Solidarności, wprowadził stan wojenny, wypowiadając wojnę własnemu narodowi”.

Czy rzeczywiście Generał wypowiedział wojnę Polakom? Temat był wątkowany setki, tysiące razy. Przypomnę tylko, że pytanie nie brzmiało: wejść czy nie wejść? Oni tu byli! W 1981 r. Armia Radziecka demonstrowała Polsce i Zachodowi swoją militarną siłę, do Zatoki Gdańskiej wpłynęła radziecka flota wojenna, a na terenie całego kraju odbywały się ćwiczenia wojskowe Układu Warszawskiego, także te na ogromną skalę – Zapad-81.

Karol Modzelewski, działacz KOR i Solidarności, o stanie wojennym powiedział 20 lat później: „Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie uniknąć dramatycznego finału. Ale odpowiadamy

za ten finał, bośmy do tego wszystkiego przykładali rękę, po obu stronach. I nie w jedne piersi trzeba się uderzyć”.

Nałęcz brnie i się napina: „W obliczu rosyjskiego zagrożenia nie zachował się jak bohater narodowy gen. Tadeusz Kościuszko, który w 1794 r., mając za sobą o wiele słabsze niż Jaruzelski wojsko i o wiele mniej skonsolidowany naród, z bronią w ręku bronił wolności i suwerenności Polski. On zaś zniewolenie Polaków przez Sowietów zastąpił własnoręcznym założeniem narodowi kajdan”.

Przypomnijmy więc z historii: 24 marca 1794 r. na Rynku Głównym w Krakowie naczelnik Tadeusz Kościuszko złożył uroczystą przysięgę, ogłaszając tym samym akt powstania narodowego. Cel powstania: „Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic, wyłączenie wszelkiej przemocy i użycia tak obcej, jak i domowej, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego”.

Powstanie trwało od 24 marca do 16 listopada 1794 r. Wygrana bitwa pod Racławicami, przegrana pod Maciejowicami. Na początku listopada rzeź Pragi, poddanie Warszawy i upadek powstania. Skutek: likwidacja państwa polskiego. 1795 r. – III rozbiór Polski.

Mitowi założycielskiemu III RP wyraźnie brakuje ofiary krwi. Tak sądził m.in. Jarosław M. Rymkiewicz, autor „Wieszania” i „Kinderszenen”. Jego zdaniem, gdyby Polacy w trakcie powstania kościuszkowskiego zamordowali Stanisława Augusta, „naród ufundowany na tym morderstwie – stałby się przez ten czyn groźnym i dzikim narodem królobójców – i ten czyn dziki i straszny uczyniłby Polaków (...) narodem nowoczesnym”.

„Oczyszczająca siła przelanej krwi”, hekatomba powstania warszawskiego – mit założycielski polskiej niezłomności. „Krwawa łaźnia Powstania Warszawskiego była nieodzowna” – to kolejna teza Rymkiewicza.

Oriana Fallaci tak opisuje Mehdiiego Bazargana, premiera w Iranie rządzonego przez Chomeiniego: „Na swój sposób także on należał do wyśławianego, gloryfikowanego rodu Robespierre’ów, Saint-Justów, Dantonów, Leninów, Trockich, Mao Tse-tungów, Castrów i supermanów, dla których ofiara złożona z baranków jest uzasadniona, co więcej, konieczna. Jeżeli ołtarz nie spływa krwią, jeśli chaos nie niszczy także tego, co można by uratować, to ideały są do niczego, a przywódcy nie mają jaj”.

Krew, krwi, krwią... Ta makabryczno-idiotyczna wizja odrodzenia narodu, przedstawiana – zauważmy – przez starszych panów w wygodnych fotelach, na szczęście w Polsce się nie ziściła. Gen. Jaruzelski poszedł za radą Tadeusza Kościuszki, który pisał do członków tajnego sprzysiężenia: „Chwalebny cel wywyższenia Narodu z jarzma niewoli (...) powinien być dobrze zważony, nie w prędkości uczucia obywatelskiego, ale w zimnym rozsądku (...), aby nie pogryźć kraj w większą niewolę jeszcze ztraceniem nawet kiedyś nadziei odzyskania onej”.

I na zakończenie krótka notka biograficzna byłego doradcy byłego prezydenta: pakt z komunistycznym diabłem zawarł Tomasz Nałęcz w 1970 r. i wytrwał w nim 20 lat: przez stan wojenny, Okrągły Stół, aż do końca PZPR. Po drodze był I sekretarzem POP na Wydziale Historycznym UW i sekretarzem komitetu uczelnianego.

Jan Dutko był współtwórcą „poziomek” (struktur poziomych, reformatorskiego skrzydła w PZPR, zmierzających do demokratyzacji partii) w Poznaniu w latach 80.

Kulisy wyboru Jaruzelskiego

Jak Amerykanie przekonywali do kandydatury Generała na prezydenta

Władze amerykańskie odtajniły szereg dokumentów odśladujących naciski ambasady amerykańskiej w Polsce na opozycję w celu wybrania gen. Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta. Warto przypomnieć, że stało się to 19 lipca 1989 r., kiedy Zgromadzenie Narodowe – połączone obie izby polskiego parlamentu – zagłosowało na kandydaturę Generała. W głosowaniu wzięło udział 544 posłów i senatorów, a o wyborze zdecydował jeden głos. Jak później się okazało, wybór stał się możliwy dzięki akcji senatora Andrzeja Wielowieyskiego, który oddał nieważny głos wspólnie z Wiktorem Kulerskim, Andrzejem Miłkowskim, Aleksandrem Paszyńskim, Andrzejem Stelmachowskim, Stanisławem Stommą i Witoldem Trzeciakowskim, obniżając tym samym minimum umożliwiające wybór.

Informacja o naciskach amerykańskich nie jest sensacją. Pisał już o tym we wspomnieniach ówczesny prezydent USA George Bush, na ten temat wypowiadał się także ambasador John R. Davis w czasie konferencji naukowej zorganizowanej przez Instytut Nauk Politycznych w 1999 r. Amerykanie uważali, że gen. Jaruzelski jest gwarantem spokoju i stabilizacji kraju w trudnym okresie transformacji, i zrobili wszystko, by doszło do jego wyboru.

Poniżej publikujemy interesujący dokument, ukazujący ówczesne starania Amerykanów na rzecz gen. Jaruzelskiego. Dokument pochodzi ze zbiorów prywatnych.

Grzegorz Sottysiak

Notatka Wiesława Górnickiego z rozmowy z amerykańskim attaché wojskowym, płk. Monroe, Warszawa, 19 czerwca 1989 r.

(fragmenty)

Spotkałem się dziś na śniadaniu (na moje zaproszenie) z amerykańskim attaché wojskowym, płk. Monroe. Wraz ze mną uczestniczył w lunchu płk Moraczewski. Monroe bez wcześniejszej zapowiedzi przyprowadził ze sobą swego zastępcę, attaché lotniczego, płk. Snowgrassa.

Z dłuższej rozmowy wybieram kluczowe momenty.

1. Strona amerykańska zastanawia się, w jaki sposób najskuteczniej przekonać Polaków do poparcia kandydatury Tow. Generała na Prezydenta. Monroe uważa, że wystąpienie amb. Davisa w jakiegokolwiek formie „mogłoby raczej zaszkodzić, niż pomóc”.

Został upoważniony do stwierdzenia, że Bush wypowie się „bardzo ciepło” o Tow. Generale osobiście i przywiezie ze sobą zaproszenie do odwiedzenia USA. Jednakże gest taki może być spóźniony wobec przewidywanego wcześniej głosowania w Zgromadzeniu Narodowym.

Odparłem, że istnieją sposoby nieoficjalnego oddziaływania na opozycję. Monroe rozłożył ręce

i powiedział, że „nasze wpływy kończą się na ludziach w rodzaju Geremka, którzy sami są zatrwożeni możliwością kryzysu wokół kandydatury gen. Jaruzelskiego”. Z wyjątkową jak na wojskowego szczerością Monroe dał do zrozumienia, że Amerykanie nie kontrolują pewnej części nowo wybranych posłów i senatorów.

2. Monroe stwierdził, że w obecnej sytuacji jedynym autorytetem, który mógłby przeważać szalę na rzecz wyboru Tow. Generała w Zgromadzeniu Narodowym, jest Kościół. Kiedy skomentowałem to dość cierpko, Monroe odparł, że oficjalne czy półoficjalne poparcie kościelne ułatwiłoby stronie amerykańskiej argumentację na rzecz wyboru Tow. Generała.

3. Nowo wybrani senatorowie i posłowie z Poznania spotkali się przedwczoraj z amb. Davisem jako wystannikiem Busha na Targi Poznańskie. Podobno wszyscy jednomyślnie mieli powiedzieć, że znaleźli się „w potrzasku”. Uważają kandydaturę Tow. Generała za jedyną możliwą, ale boją się swego elektoratu i raczej nie będą głosować za wyborem w Zgromadzeniu Narodowym.

4. Monroe z gorzką ironią powiedział, że „ze wszystkimi w Polsce

może nawiązać kontakt” z wyjątkiem kół wojskowych. Nie przyjmują one jego zaproszeń, nie bywają nawet na amerykańskim przyjęciu z okazji święta narodowego. „Co właściwie mam przekazywać swoim zwierzchnikom?”. Monroe i Snowgrass powiedzieli, że o wycofaniu niektórych radzieckich [jednostek] z Polski dowiedzieli się dopiero z telewizji, choć jest obyczajem przyjętym, że informuje się o tym co najmniej o kilka dni wcześniej. W paradoksalny sposób podzielam tę pretensję, ponieważ nawet w rozmowie z tow. płk. Moraczewskim zastępcą szefa I Zarządu SG nie wiedział o wycofaniu tych jednostek.

5. Monroe z całym naciskiem powtórzył wypowiedź amb. Davisa z ub. tygodnia. Stabilizacja w Polsce ma znaczenie kluczowe dla amerykańskiej polityki w Europie i dla całej koncepcji strategicznej Busha. Podstawowym elementem tej stabilizacji jest wybór Tow. Generała na stanowisko Prezydenta PRL. Amerykanie gotowi są pójść w tej sprawie niezmiernie daleko, ale nie chcieliby zaszkodzić, gdyż zdają sobie sprawę z „oporu twardogłowych”. Poza „publiczną zmianą stanowiska w sprawie stanu wojennego właściwie wszystko jest możliwe”. (...)



George Bush i Wojciech Jaruzelski podczas obiadu w pałacu Rady Ministrów, 11 lipca 1989 r.

George Bush o spotkaniu z Wojciechem Jaruzelskim w lipcu 1989 r.

Nalegałem, żeby kandydował

Gdy jechaliśmy samochodem, aby złożyć Jaruzelskiemu jako głowie państwa zaplanowaną w protokole kurtuazyjną wizytę, wracałem myślą do mojej poprzedniej wizyty w 1987 r. Nasze ówczesne rozmowy wspominałem jako interesujące i rad byłem spotkać się z nim ponownie. Odniosłem wrażenie, że tym razem był bardziej wnikliwy i rzeczowy, niż sądziłem uprzednio. Wręcz uroczy, wykazujący duże poczucie humoru. Byłem szczególnie pod wrażeniem jego patriotyzmu. Oczywiście niepokoiła mnie świadomość jego dyktatorskich rządów oraz faktu, że uwięził tylu Polaków tylko dlatego, że opowiadali się za wolnością i demokracją. Niemniej jednak zobaczyłem człowieka uwikłanego w sprzeczność między miłością do swego kraju a realiami geopolitycznymi, które zmuszały do podporządkowania się Związkowi Radzieckiemu.

W czasie mej poprzedniej wizyty Jaruzelski powtarzał oficjalne stanowisko, że Solidarność jest faktycznie martwa. Chciał mnie przekonać, iż zmiany klimatu politycznego nie mogą być radykalne, nie mogą stwarzać wyzwania wobec uznawanego przez Moskwę porządku politycznego. Odniosłem jednak wrażenie, że uważał,

iż Stany Zjednoczone, opowiadając się tak wymownie po stronie zarówno Solidarności, jak i przemian w Polsce, w określony sposób nie doceniają tego, co już w Polsce się zmienia. Teraz, dwa lata później, Jaruzelski i ja prowadziliśmy otwartą, partnerską dyskusję. To, co miało być tylko 10-minutowym spotkaniem w Belwederze przy filiżance kawy, przerodziło się w trwającą dwie godziny konwersację. Jaruzelski otworzył swoje serce i zapytał mnie, co myślę, jaką rolę powinien teraz odegrać. Zwierzyl mi się ze swoich wahań w kwestii ubiegania się o prezydenturę i pragnienia uniknięcia politycznej bijatyki, której Polsce trzeba oszczędzić. Sądził, że Solidarność nie okaże mu wystarczającego poparcia w wyborach. Obawiał się poniżenia w wypadku przegranej. Powiedziałem mu, że jego odmowa ubiegania się (o wybór na prezydenta) będzie prowadziła w sposób nieunikniony do destabilizacji, i nalegałem, żeby rozważył swoją decyzję ponownie. Powstała sytuacja paradoksalna: prezydent USA usiłuje przekonać wyższego przywódcę komunistycznego, aby ubiegał się o urząd prezydenta swojego kraju. Ale sądziłem, że doświadczenie Jaruzelskiego stwarzało najlepsze warunki dla łagodnej transformacji systemu w Polsce.

Jaruzelski był przekonany, że Polsce potrzebny jest rząd koalicyjny

z komunistycznym premierem i opozycyjnym wicepremierem. Problemem było to, że każdy rząd byłby zmuszony przedsięwziąć twarde decyzje ekonomiczne, a to było szczególnie trudne dla Solidarności – związku zawodowego, a zarazem partii politycznej. W Stanach Zjednoczonych związki zawodowe kontrolują tylko 20% siły roboczej, a w Polsce – podkreślił Jaruzelski – 80%. Trudno jest w tych warunkach zorganizować konkurencyjność. – Wolna przedsiębiorczość i sektor prywatny są chore – powiedział. – Solidarność domaga się np., żeby rolnikom płacono trzy razy więcej za produkty mleczne, niż wynosi ich cena w sklepach. – Solidarność musi zdać sobie sprawę, że wszystko to trzeba zmienić – powiedziałem. – Liderzy związkowi wiedzą o tym, ale boją się utracić swój elektorat – odrzekł. – Zachód może pomóc, ponieważ w tym okresie, w którym Polska wymaga surowych decyzji, potrzebna jest presja z zewnątrz dla wdrożenia reform.

Zachód powinien pomóc zapobiec upadkowi gospodarki oraz wesprzeć wysiłki na rzecz jej ustabilizowania. Restrukturyzacja potrwa około 10 lat. Jaruzelski wystosował list do Grupy G7 (konferencja najbogatszych państw), w którym przedstawił polskie problemy, i ma nadzieję, że sprawa stanie na porządku dziennym spotkania w Paryżu. (...)

Przedłużeniem tego wyjątkowego spotkania stał się również interesujący lunch w rezydencji amerykańskiego ambasadora Johna R. Davisa. Zaklimatyzowany dyplomata cieszył się poważaniem politycznie bardzo zróżnicowanych gości obecnych na tym przyjęciu, zarówno komunistów, jak również liderów Solidarności i Kościoła. Był to dosłownie pierwszy raz, gdy przy stole siedzieli razem byli więźniowie i ci, którzy ich wzięli. Rzecznik Solidarności, Janusz Onyszkiewicz, trącając się kielichem szampa z Jaruzelskim, zauważył, że biorąc pod uwagę, iż jeszcze rok temu on (Onyszkiewicz) siedział w więzieniu, jest to dość znacząca zmiana.

Cyt. za: George Bush, Brent Scowcroft, *A World Transformed*

Tekst ukazał się w „Przeglądzie” 16 lipca 2001 r.

Na czym polega problem z tym, że Jan Paweł II wiedział

Pora zacząć traktować polskiego papieża jak zwykłą ważną postać historyczną. W pewnych aspektach wybitną, której działania można jednak oceniać, także krytycznie

Paweł Sękowski

Publikacja książki Ekke Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”, a także emisja reportażu Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3”, po raz pierwszy na antenie TVN 24 – oba wydarzenia miały miejsce w marcu br. – wzbudziły w Polsce burzliwą, ogólnonarodową dyskusję na temat tego, ile papież Jan Paweł II, a wcześniej arcybiskup metropolita krakowski Karol Wojtyła, wiedział na temat zjawiska pedofilii w Kościele katolickim oraz jakie działania podejmował z wiedzą, którą w tym zakresie uzyskiwał. Celem tego tekstu jest próba odpowiedzi na pytanie nie tyle o to, czy „Jan Paweł II wiedział” – bo w świetle przedstawionych faktów całkowicie bezspornym jest, że wiedział – ile na czym polega problem z tym, że kard. Karol Wojtyła, a następnie już papież Jan Paweł II wiedział o zjawisku pedofilii w Kościele.

Trzeba stwierdzić, że Ekke Overbeek, mieszkający w Polsce niderlandzki dziennikarz, wykonał kawał rzetelnej roboty. Przeprowadził kwerendę w zasobach archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej – oddziałów w Krakowie i w Katowicach oraz centralnego archiwum IPN (w pomocniczym zakresie także w zasobach oddziałów IPN we Wrocławiu, Bydgoszczy, Szczecinie, Poznaniu i Gdańsku). Dotarł do kilku żyjących księży, którzy molestowali nieletnie podopieczne lub nieletnich podopiecznych, a także do opisanych w materiałach archiwalnych, dzisiaj już bardzo dojrzałych wiekowo, ofiar księży pedofilów czy

też księży molestujących seksualnie nieletnich powyżej 15. roku życia (w tym do osób przesłuchiowanych jako osoby nieletnie przez organy ścigania na okoliczność pojawiających się wówczas oskarżeń). Jego ustalenia potwierdza reportaż Marcina Gutowskiego, który również bazował na materiałach IPN, wspomnieniach ofiar i komentarzach duchownych oraz świeckich ekspertów i dziennikarzy.

Oczywiście w książce Overbeeka i w reportażu Gutowskiego znajdują się opinie i wątki, których nie można uznać za twarde przesłanki potwierdzające tezę, że „Jan Paweł II wiedział”. Pozostawiam na boku subiektywne opinie Overbeeka na temat tego, jak poglądy Jana Pawła II

kard. Karol Wojtyła wiedział lub świadomie zaniechał działań niezbędnych do ukrócenia przestępczych procederów seksualnych drapieżców w sutannach. Z punktu widzenia twardych danych i naszej wiedzy na dzień dzisiejszy nie można też jednoznacznie odnieść się do pojawiających się zarówno u Overbeeka, jak i u Gutowskiego sugestii co do ewentualnego molestowania seksualnego kleryków przez abp. Adama Stefana Sapięhę. Dlatego wątek ten w niniejszym tekście pomijam, a tym samym konsekwentnie nie będę odnosić się do hipotetycznej konstrukcji na temat wpływu ewentualnych dwuznacznych bądź jednoznacznie seksualnych zachowań kard. Sapięhy

Dziś dyskusja dotyczy tego, czy Jan Paweł II, a wcześniej kard. Wojtyła, z całą stanowczością zwalczał patologiczne zjawiska wśród podległego sobie duchowieństwa, czy też nie uczynił w tej sprawie tyle, ile mógł uczynić.

na sprawy takie jak antykoncepcja i aborcja, homoseksualizm, celibat i kapłaństwo kobiet mogły wpłynąć na wzrost skali patologii seksualnych pośród duchowieństwa (skutek tłumienia naturalnych potrzeb seksualnych oraz stawiania niemożliwych do spełnienia dla zwykłych śmiertelników wymagań moralnych, co może prowadzić do hipokryzji i zakłamania wielu przedstawicieli kleru). Należy ponadto stwierdzić, że niektóre konstrukcje myślowe Overbeeka i Gutowskiego – choć wewnętrznie spójne i niekiedy mocno przekonujące – nie dowodzą bezspornie, że

na późniejszy stosunek kard. Wojtyły i papieża Jana Pawła II do zjawiska molestowania seksualnego przez duchownych.

Jest jednak w książce Overbeeka i w reportażu Gutowskiego wystarczająco wiele przykładów, które jednoznacznie potwierdzają postawioną w podtytule pracy niderlandzkiego dziennikarza tezę: „Jan Paweł II wiedział”, a właściwie, że już kardynał metropolita krakowski Karol Wojtyła wiedział o zjawisku pedofilii i molestowania seksualnego przez księży, których ofiarą padały dzieci i młodzież.



Metropolita krakowski abp Karol Wojtyła podczas uroczystości milenijnych na Skalce. 1966 r.

Zasługą publikacji Overbeeka i reportażu Gutowskiego jest to, że dzisiaj właściwie nie rozmawiamy już o tym, czy polski papież o pedofilii i innych patologiach seksualnych duchowieństwa katolickiego wiedział – wiemy, że wiedział. Nie spieramy się też o to, czy te zjawiska miały miejsce w polskim Kościele – wiemy, że miały miejsce. Jeszcze niedawno to na ten temat spierała się podzielona opinia publiczna w Polsce. Punkt ciężkości debaty publicznej przesunął się: dziś dyskusja dotyczy tego, czy Jan Paweł II, a wcześniej kard. Wojtyła, z całą stanowczością zwalczał patologiczne zjawiska wśród podległego sobie duchowieństwa, czy też nie uczynił w tej sprawie tyle, ile mógł uczynić.

Rzecz jasna, odpowiedź na tak postawione pytanie zawsze będzie subiektywna, jak subiektywne są stwierdzenia w rodzaju: „z całą stanowczością” czy „tyle, ile mógł uczynić”. Mimo to postaram się odpowiedzieć na to pytanie, odwołując się tylko i wyłącznie do opisywanych w ostatnich miesiącach faktów, o których kard. Wojtyła, a potem papież Jan Paweł II bezsprzecznie wiedział. Wreszcie postaram się odpowiedzieć na pytanie, na czym polega problem z tym, że Jan Paweł II wiedział.

Zaznaczę przy tym, że w moich rozważaniach nie będę wnikać w szczegóły przestępstw seksualnych i formułowanych oskarżeń. Nie będę też analizować czynów i zaniechań wysokich funkcjonariuszy Kościoła katolickiego innych niż sam Karol Wojtyła. Zainteresowanych tymi tematami odsyłam do książki Ekke Overbeeka, reportażu Marcina Gutowskiego i wielu innych dostępnych publikacji. Szczegółowo omawiać będę reakcje samego kard. Karola Wojtyły, a następnie Jana Pawła II, na te informacje, które bez wątpienia do niego dotarły.

Co wiedział na pewno kard. Karol Wojtyła?

Dzięki publikacji Overbeeka i reportażowi Gutowskiego **wiemy o przypadkach czterech duchownych podległych metropolii krakowskiemu kard. Karolowi Wojtył, którzy dopuścili się czynów pedofilskich, względnie molestowania seksualnego, o których arcybiskup krakowski na pewno wiedział.** Można powiedzieć, że to bardzo niewiele przypadków jak na 14 lat pełnienia funkcji metropolity przez Karola Wojtyłę (między 1964 a 1978 r.). Z drugiej strony mówimy tylko o tych

wypadkach, co do których mamy pewność, że dowiedział się o nich osobiście kard. Wojtyła. Najważniejszą jednak kwestią jest to, że w latach 1989-1990 ogromna większość materiałów tajnej policji w Polsce Ludowej dotyczących inwigilacji duchowieństwa została celowo zniszczona przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w ostatnich miesiącach jej funkcjonowania. W zasobach IPN znajdują się zatem wybrakowane, można nawet powiedzieć wybiórcze materiały na ten temat. (...)

Z powyższych czterech przypadków: księży Lenarta, Loranca, Surgenta i Sadusia, jakkolwiek czyni im przypisywane nie są w każdym przypadku tej samej wagi („najcięższego kalibru” są sprawy skazanych na więzienie wyrokami sądów świeckich Loranca i Surgenta, najbardziej niejednoznaczna jest natomiast sprawa ks. dr. Sadusia), możemy wyciągnąć pewne wnioski na temat tego, co wiedział kard. Karol Wojtyła o problematyce pedofilii i molestowania seksualnego przez duchownych w podległej mu archidiecezji.

1. Bez wątpienia kard. Wojtyła o istnieniu tych problemów wiedział. Wiedział, że pośród polskich księży w zdominowanej przez PZPR i podległej jej strukturze Polsce Ludowej zdarzają się przestępcy seksualni.

2. Nie wydaje się, by kard. Karol Wojtyła celowo chronił księży – przestępców seksualnych, natomiast bez wątpienia bagatelizował dewiacyjne skłonności, postrzegając je raczej w kategorii możliwego do odpokutowania grzechu. Wykazywał się przy tym stosunkowo dużym, choć nie bezgranicznym, zaufaniem wobec swoich księży i nadzieją na ich powrót na właściwą drogę. W bezsprzecznie znanych sobie przypadkach przestępstw seksualnych kard. Wojtyła na swój sposób i w zgodzie z ówczesnymi praktykami i uregulowaniami Kościoła katolickiego reagował. Zwykle bardzo szybko „wybacał” przestępcy i dawał mu drugą szansę. W przypadkach, które uznawał za bardziej błahе, przenosił księdza do innej parafii, tak by rozwiązać sprawę, którą postrzegał chyba w kategoriach konfliktu personalnego lub wewnętrznego podziału pośród parafian. ▶

► Powyższy wniosek może oczywiście ulec zmianie, gdyby pojawiło się jakieś nowe, nieznane dzisiaj źródło.

3. Kard. Karol Wojtyła dużo większą wagę przykładał do „szkód” zadanych Kościołowi i wspólnocie kapłanów, a także do zagrożenia „zgorzeniem” społeczności wierzących katolików spowodowanego przestępstwami seksualnymi duchownych aniżeli do bólu ofiar. Przez cały okres kierowania przez Wojtyłę archidiecezją krakowską nigdy nikt z kurii, ani w imieniu metropolity, nie kontaktował się z ofiarami czy ich rodzicami, aby otoczyć poszkodowanych opieką i wsparciem.

Nie wydaje się, by kard. Wojtyła celowo chronił księży – przestępców seksualnych, natomiast bez wątpienia bagatelizował dewiacyjne skłonności, postrzegając je w kategorii możliwego do odpokutowania grzechu.

4. Bardzo istotną cechą działania kard. Wojtyły i całej kurii krakowskiej w sprawach zarzutów o pedofilię i molestowanie seksualne nieletnich była dbałość o zachowanie wszelkich tego typu wypadków w tajemnicy. Oczywiście w odpowiedzi na ten wniosek można z pewnością łatwo usłyszeć argumenty o konieczności strzeżenia Kościoła, funkcjonującego w warunkach „bezbosznego reżimu”, przed fałszywymi atakami władzy na Kościół i księży, a także przed propagandową instrumentalizacją przez władzę rzeczywistych wypadków przestępstw seksualnych kleru. Są to argumenty pozornie przekonujące, jednak dwie okoliczności decydują o tym, że w moim przekonaniu są to argumenty nietrafne.

Po pierwsze, jak zostanie to wykazane dalej, **postawa kard. Wojtyły wobec skandali pedofilskich i dotyczących molestowania nieletnich przez duchownych nie zmieniła się wyraźnie przez dłuższy czas jego pontyfikatu już jako papieża Jana Pawła II.** Symptomy zmiany podejścia polskiego papieża do tych problemów widzimy dopiero w 2001 r. Tymczasem pojawiające się od 1985 r. oskarżenia o przestępstwa seksualne będą dotyczyły

duchownych działających w demokratycznych krajach Zachodu.

Po drugie, jak przekonująco wykazał w swojej książce Ekke Overbeek, władza ludowa i jej funkcjonariusze stosunkowo niechętnie zabierali się do ścigania przestępstw seksualnych duchownych. Nie jest znany ani jeden przypadek fałszywego, sfingowanego przez władze komunistyczne oskarżenia księdza o pedofilię czy molestowanie nieletnich – mówię o stanie wiedzy na dzień dzisiejszy. Znane i opisane przez Overbeeka są za to przykłady tworzenia przez księdza przestępcę seksualnego i jego zwolenników fałszywej aury ofiary repre-

sji politycznych wokół podejrzanego, podczas gdy duchowny rzeczywiście był pedofilem lub molestował nieletnich powyżej 15. roku życia.

Władza ludowa, owszem, czyniła użytek z informacji o rzeczywistych słabościach i przewinach duchownych, ale w pierwszej kolejności starała się o pozyskanie takich osób do tajnej współpracy. Co więcej, duchowni tajni współpracownicy, dopóki byli SB przydatni, cieszyli się w wielu sytuacjach jej parasolem ochronnym i poparciem. (...)

Co wiedział na pewno papież Jan Paweł II?

Wybór kard. Karola Wojtyły na papieża 16 października 1978 r. otwiera nowy rozdział interesującej nas historii. Papież Jan Paweł II nie może już być bezpośrednio odpowiedzialny za zaniedbania w karaniu przestępstw poszczególnych księży w tej czy innej diecezji czy archidiecezji. Głowa Kościoła jest za to odpowiedzialna za postępowanie Stolicy Apostolskiej wobec docierających do Watykanu informacji o przestępstwach biskupów i arcybiskupów oraz informacji o braku działań naprawczych w zakresie pedofilii i molestowania

seksualnego w Kościele katolickim ze strony lokalnych pasterzy. Oczywiście odpowiedzialność bezpośrednia dotyczy tylko tych wypadków, co do których można mieć pewność, że wiadomość o nich dotarła do Jana Pawła II. Dzisiaj wiemy, że takich wypadków nie brakowało.

(...) Można też przyjąć, że w wypadku zarzutów wobec Austriaka kard. Hansa Hermanna Groëra oraz Meksykanina ks. Marciała Maciela Degollada polski papież po prostu nigdy w oskarżenia wobec nich formułowane nie uwierzył. Nawet jednak pozostawiając na boku te dwa przypadki, wiemy dzisiaj – w świetle przytoczonych wcześniej (a ujawnionych przez Overbeeka i Gutowskiego) wypadków z Polski – że twierdzenie, jakoby Jan Paweł II uważał czyny pedofilskie i molestowanie seksualne nieletnich przez duchownych za zjawisko „anglosaskie”, jest całkowicie niedorzeczne. Kard. Karol Wojtyła sam borykał się jako pasterz Kościoła krakowskiego z wypadkami dewiacji seksualnych podległych sobie księży w archidiecezji krakowskiej. (...)

Refleksje końcowe

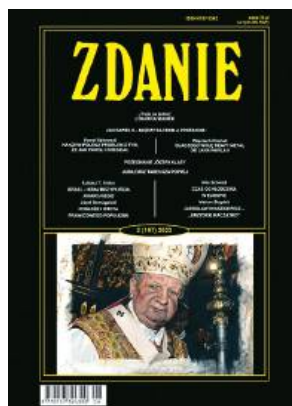
Z przedstawionej przez Overbeeka i Gutowskiego faktografii niezbiecie wynika, że kard. Karol Wojtyła, a następnie papież Jan Paweł II wiedział o zjawisku pedofilii wśród kleru oraz o molestowaniu seksualnym nieletnich przez księży. Nie jest prawdą, że papież o pedofilii w Kościele długo nie wiedział albo że uważał ją za zjawisko charakterystyczne wyłącznie dla kultury anglosaskiej. Nie jest również prawdziwe twierdzenie, że kard. Wojtyła miał jakiekolwiek podstawy, aby sądzić, że oskarżenia o przestępstwa seksualne duchownych są fabrykowane przez władze komunistyczne. Mógł za to metropolita krakowski obawiać się, że takie oskarżenia będą następnie instrumentalizowane przez władze i nagłaśniane na potrzeby konfrontacji z Kościołem.

Kard. Karol Wojtyła, a następnie Jan Paweł II, starał się zachowywać wszystkie oskarżenia o przestępstwa seksualne duchownych w tajemnicy przed światem świeckim, same zaś sprawy rozpatrywać możliwie bez

uszczerbku na wizerunku instytucji Kościoła. Nie wydaje się uzasadnione twierdzenie, jakoby kard. Wojtyła ze szczególną mocą zwalczał przestępstwa seksualne wśród kleru, podobnie jak nie ma przesłanek do sądu, że metropolita krakowski wyróżniał się w tym zakresie in minus. Można raczej stwierdzić, że kard. Wojtyła, a następnie papież Jan Paweł II, poruszał się z dość dużą ostrożnością w ramach obowiązujących wewnętrznych przepisów i praktyk Kościoła (które zresztą od 16 października 1978 r. sam definiował).

Polski papież, a wcześniej metropolita krakowski, bardzo długo – przynajmniej do 2001 r. – traktował przestępstwa seksualne duchownych przede wszystkim w kategorii grzechu, który należy odpokutować, a po odbyciu pokuty można odzyskać zaufanie swojego pasterza i powrócić do pracy duszpasterskiej. W tym podejściu papieża można dostrzec niesłychaną naiwność i nieznamość podstawowych mechanizmów dewiacji seksualnych, które jako zakorzenione tendencje nie ulegają usunięciu przez fakt kilkunastolecznej pokuty w klasztorze czy kilkunastomiesięcznego pobytu w świeckim więzieniu.

Najbardziej uderzającym problemem, z którym stykamy się, rozpatrując zagadnienie wiedzy kard. Wojtyły, a potem papieża Jana Pawła II, o przestępstwach seksualnych duchownych wobec nieletnich jest znikome skupienie na ofiarach, ich perspektywie i przeżyciach. Przez cały okres kierowania metropolią krakowską abp Wojtyła ani razu nie pofatygował się do ofiary pedofilii lub molestowania nieletnich powyżej 15. roku życia czy do członka rodziny ofiary. Nie zaprosił także ofiar lub ich rodziców do siebie do Krakowa. Nigdy nie został nawet wysłany przedstawiciel kurii krakowskiej dla poznania perspektywy ofiar i ich przeżyć, tym bardziej dla zaoferowania opieki i wsparcia. O ile można dostrzec, że Karol Wojtyła martwił się brukiem świętości kapłaństwa przez przestępców seksualnych w sutannach, martwił się cierpieniem niewinnych księży, których występki współbracia kapłanów wewnętrznie raniły, martwił się wreszcie ryzykiem publicznego



Fragmenty artykułu, który w całości można przeczytać w numerze 2/2023 „Zdania” – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

zgorszenia dzieci i młodzieży, a także ogółu świeckich, o tyle trudno dostrzec zmartwienie kardynała, a następnie papieża Jana Pawła II, bólem ofiar, skrzywdzonych przez tych, którzy mieli przybliżyć je do Boga i być jego przedstawicielami na ziemi. Prawdopodobnie Karol Wojtyła bagatelizował wpływ doświadczenia bycia nieletnią ofiarą molestowania seksualnego na całe późniejsze życie

Przez cały okres kierowania przez Wojtyłę archidiecezją krakowską nigdy nikt z kurii ani w imieniu metropolity nie kontaktował się z ofiarami czy ich rodzicami, aby otoczyć poszkodowanych opieką i wsparciem.

poszkodowanego. Przy czym prawdą jest, że w pełni empatyczna postawa wobec ofiar pedofilów i innych przestępców seksualnych (nie tylko duchownych) nie była kilkadziesiąt lat temu czymś standardowym.

(...) Czy papież Jan Paweł II służył zatem na nasze potępienie? W świetle znanych dzisiaj faktów **nie uważam, by potępienie było uzasadnione, nawet jeśli można wysnuć wniosek, że horyzont własnych doświadczeń kard. Wojtyły ograniczał potem papieża Jana Pawła II i uniemożliwiał mu zdecydowaną**

reakcję na narastającą falę skandali seksualnych w Kościele. Kard. Wojtyła, a potem polski papież, funkcjonował w określonym kontekście epoki i w tej perspektywie rzecz ujmując, wiele jego przekonań i decyzji można zrozumieć (co nie oznacza usprawiedliwić). Problem z tym, że Jan Paweł II wiedział, i z tym, co z tą wiedzą robił (lub czego nie robił), polega jednak na czym innym. Nie jest uzasadnione, aby człowiek, który miał swoje niewątpliwe zasługi, ale też popełniał błędy – w końcu był człowiekiem – być w sposób tak irracjonalny i rozdęty czczony, jak ma to miejsce dzisiaj w Polsce. Papież – najwybitniejszy Polak w historii... Jan Paweł II – główny pogromca komunizmu... Polski papież na lekcjach języka polskiego, historii i HiT. Papieskie kremówki w polskich pociągach na 18. rocznicę śmierci Karola Wojtyły. Uchwała polskiego Sejmu „w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II”.

Pora zacząć traktować polskiego papieża jak zwykłą ważną postać historyczną, człowieka z krwi i kości, w pewnych aspektach wybitnego, o którym można jednak dyskutować i oceniać różne aspekty jego działań, także krytycznie i bardzo krytycznie. Badania historyczne na temat życiorysu i szeroko pojętej spuścizny

Jana Pawła II – pozytywnej i negatywnej – należy kontynuować bez z góry ustalonej tezy. Ale należy skończyć z dyktatem kultu Jana Pawła II. Nadzieja w młodych, którzy naszych dzisiejszych emocji nie rozumieją. W przyszłości łatwiej im będzie podchodzić do osoby Karola Wojtyły – Jana Pawła II *sine ira et studio*.

Paweł Sękowski jest doktorem historii, adiunktem w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także prezesem Stowarzyszenia „Kuznica” i redaktorem naczelnym kwartalnika „Zdanie”

Wiedział, z kim się żeni

Towarzyski Cyrankiewicz robi, co i z kim chce, z powodzeniem organizuje sobie czas bez Niny, wiecznie skupionej na jednym

Liliana Śnieg-Czaplewska

Jak długo trwało ich małżeństwo? Oficjalnie od 21 lipca 1947 do 1 czerwca 1968 r, choć na etapie końcowym konało w konwulsjach. A mniej dramatycznie... Gaśto stopniowo, jak nieuchronnie dopalająca się świeca. Ten, kto kocha mocniej, cierpi bardziej – mówi ludowa mądrość. Ich małżeństwo trwało ponad 20 lat, a to w życiu każdego człowieka szmat czasu. Czemu aż tak długo, skoro nie okazało się godne trwania?

Po oświadczeniach jest trochę cegielni i droczenia się; Nina proponuje: „A może by tak bez ślubu”, on mówi, że kochanek miał wiele, teraz chce mieć żonę i dom, wtedy ona stawia sprawę uczciwie, bo przed, a nie po: „Pracuję zawodowo, oddzielne sypialnie, żadnych dzieci”.

**Ciemny, pusty dom? Dobrze sobie.
Gdzie aktorki teatralne są wieczorami? W teatrze.**

On zgadza się na wszystko. Co mu szkodzi? Oddzielną sypialnię, jak to z romansowymi mężami bywa, może nawet woli. A dzieci? Pewnie pomyślał: „Eee, takie tam babskie gadanie, przejdzie jej, życie ma swoje prawa”. Poza tym „kobieta zmienną jest”, jak mówi „nie”, myśli „być może”, jak mówi „być może”, myśli „zrobię, co akurat będę chciała”. Nie wie, że w tej kwestii Nina naprawdę mówi, co myśli i czuje. Jej „nie” znaczy nie. Cholernie serio. (...)

Od chwili, gdy wpadła mu w oko, Józefowi śpieszy się do ślubu, jak to zakochanemu. Poszło szybko – pobrali się 21 lipca 1947 r., w przededniu święta manifestu PKWN.

Następnego dnia premier przemieszczał się, ścisnął dłonie. Konieczność musiał mieć niezłą, bo był po nocy poślubnej.

Ślub bez Reginy i Maryny

Ślub był cywilny, w Ratuszu, a świadkami ich znajome szychy. Jej – Arnold Szyfman, dyrektor Teatru Polskiego, jego – Władysław Gomułka, który stawiał się z bukietem metrowych białych róż. Nie było żadnej mamusi. Ani Reginy, ani Maryny. Nie było też... fotografa, więc i zdjęć ze ślubu nie ma, co dziwi. Nina przepadała za uwiecznianiem się, a wyglądać musiała zjawiskowo. Smukła jak gazela, w pastelowej sukni w rozbielone kwiaty (tak mi ją opisywała) projektu Zofii Węgierkowej. On też przystojny, szczupły jak szczapa; z obozów wrócił z zapadniętymi policzkami, a takich ubytków nie nadrabia się w okamgnieniu. (...)

Przez kilka pierwszych lat małżeństwa on ją naprawdę kocha. Pisz uroczę liściki z czułymi słówkami, w pośpiechu, między obowiązkami. Słowa mężczyzny zakochanego, który dokądś wyrusza, ale chce mieć pewność, że ona wie, że o niej myśli. Tych liścików jest spora kupka, część na wielkich służbowych premierowskich wizytówkach, które Nina starannie przechowywała przez lata. Treściwe zapiski chwili, coś jak dzisiejsze esemesy. Są też listy dłuższe, niektóre zabawne. (...)

Ten związek miał słabe szanse na to, żeby przetrwać tak długo, ale na szczytach (władzy) widać więcej nieprzewidywalne wiatry. Nina ważne

zdarzenia zapisuje w kalendarzu, 10 października 1949 r. wpisała datę wprowadzki w aleję Róż 8: „Sabina jest z nami”. Sabcia jest ważna. Jeśli pani domu woda się przypała, bez gosposi nie ma życia.

Nina: „On chciał stabilizacji, dzieci chciał. A ja byłam przeważnie w Polskim, rano na próbach, wieczorem na spektaklu. Mawiał z żalem: »Teatr Polski to twój dom«. Dom pusty, a jak byłam, to zmęczona. Niech pani spróbuje zagrać Joannę d’Arc i się nie zmęczyć. Swojej kochance, jak się zaczęła dopytywać, jaka ja jestem, odpowiedział: »Taka, jaka ty nigdy nie będziesz«. Powiedziała mi to bardzo znana osoba, świadek sytuacji. Nie miałam do niego żalu”.

Chata za wsią w alei Róż

Jeśli ktoś uważa, że o trwałości udanego małżeństwa świadczy zamieszkiwanie pod wspólnym dachem, to już lata 50. nie przemawiają na korzyść tego stadła. Częściej go nie ma, niż jest, a jeszcze nieco później ma tu raczej rodzaj hotelowej bazy, nie dom.

Za to Nina przez ok. 54 lata ma ten sam adres. I to samo gigantyczne łóżko. Choć w alei Róż 8 dysponują supermetrażem i nie wchodzi sobie w drogę, premier organizuje sobie dwa piętra niżej lokatorski lokal, wydzielony z ogromnego przedwojennego mieszkania, ok. 70 m kw. Okna wychodzą na Dolinkę Szwajcarską, ale nie dało się ustalić, kiedy premier go zasiedlił, bo taki lokal w zasobach lokatorskich ZGN po prostu wtedy nie istniał! Wiem, bo sprawdzałam. Dopiero potem zamieszkała w nim żona prof. Zachwatowicza, architekta zasłużonego dla Warszawy, sama również architektka.

Gdy Małgosia Ważykówna, mieszkająca naprzeciwko Niny i Józefa



Nina uwielbiała się opalać, tu najprawdopodobniej w Sopocie, lata 50.

na czwartym piętrze z rodzicami i siostrą (jej ojciec to autor m.in. słynnego „Poematu dla dorosłych”, a siostra Kasia – w przyszłości znakomita malarka), zbiega co rano po schodach do szkoły, natyka się na klatce schodowej na premiera schodzącego z talerzem ciasteczek lub owoców i zawsze jest częstowana.

Adresów bliskich Józefowi jest oczywiście więcej (np. regularnie widuje się go w pobliżu ulicy Tuwima, gdy schodząc po schodach z mieszkania, uprzejmie kłania się sąsiadom, ale gdy się patrzy z boku na pierwsze kilkanaście lat małżeństwa z Niną, nic się nie zmienia. No, może tyle, że w pewnym momencie w sierpniu na Krym, gdzie będą również trzy pokolenia Gomułków, jedzie nie żona, ale konkubina z córką. W gazetach o prywatnym życiu ludzi ze świecznika niemal się nie pisze, tabloidów nie ma, za „salon towarzyski” służy ostatnia strona tygodnika „Kobieta i Życie”, kupowanego spod lady. Więc lud nie wie, ale się domyśla. W różnych instytucjach różni ludzie wiedzą, że w Instytucie Reumatologicznym pracuje „ta od Cyrankiewicza”, a w Modzie Polskiej pasierbica premiera, elegancka Magdalena Ignar, i dlatego Andrycz tam nie bywa.

Premier, uzależniony od ludzi i używek, ciężko pracuje, dużo pije, dużo pali, dużo podróżuje, dużo przemawia, ale że wybrał sobie na

żonę wziętą aktorkę teatralną, ich wielkie mieszkanie wieczorami bywa ciemne i puste.

Do 1966 r. ma jeden adres, z ochroną na parterze, ale tak naprawdę jest wolnym elektronem, za którym nie sposób nadążyć, którego sekretów nie da się zgłębić. O tym, że spotyka się z wybrankami serca także w gmachu URM po 18.00, z pewnością wiedzą wiadome służby, które po Październiku 1956 r. przekazały mu worki zapisów z podsłuchów, a on kazał je zniszczyć w swojej obecności. Może potem przestały zbierać, ale... wiedzą na pewno.

Towarzyski premier robi, co i z kim chce, z powodzeniem organizuje sobie czas bez Niny, wiecznie skupionej na jednym. Przypadkowe, krótkotrwałe zauroczenia niczym jej nie zagrażają, ale Nina ani się domyśla, że kandydatka z ambicjami na trzecią ślubną i trzema asami w rękawie zbliża się ruchem konika szachowego, z azymutem precyzyjnie określonym: aleja Róż, ulubiona ulica premiera.

Cierpliwością i pracą... Pani Krystyna w 1947 r. pracuje jeszcze w starogardzkiej Stomatologicznej. Przychodni Międzyszkolnej, w 1949 w przychodni przyfabrycznej w Żyrardowie, w 1950 r. już w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia. W kalendarzu Niny z marca 1953 r. znajdują wpis: „Józef wstawił sobie zęby”. Pani Krystyna protetyką się nie zajmuje, ale jak można sądzić po doskonałych

lokalizacjach kolejnych adresów, rokująca znajomość została zawarta. Dział Dentystyczny Lecznicy Rządowej przy Emilii Plater to raptem jeden długi korytarz z pokojami po obu stronach, nie sposób się nie spotkać. Adresy pani Krystyny w Warszawie są doskonałe: ul. Mostowa – grudzień 1952, aleja Wyzwolenia – styczeń 1957, ulica Chopina – styczeń 1962. Czwarty, już z premierem, to aleja Róż 7 – meldunek 11 listopada 1966 r., dzień urodzin Niny. Nawet numer mieszkań z Niną i Krystyną w alei Róż 7 i 8 jest taki sam: 12.

Sierpień na Krymie

Ostatni sierpień Niny na Krymie to rok 1960. Jak zwykle się opala, bo lubi, masuje, ile zapragnie, bo w nic tak nie wierzy, jak w masaż, a miejscowi są znakomici. Przy wspólnych posiłkach zrzędzi biednemu mężowi nad uchem i nie pozwala mu się objadać.

Małgorzata Spychalska, rocznik 1942, scenografka, jedyna wnuczka Mariana, architekta, marszałka Polski, szefa Sztabu Generalnego, przez blisko sześć lat więźnia politycznego w okresie stalinizmu: „Na Krymie byłem z rodzicami i rodzeństwem, a premier z Niną, która go wiecznie kontrolowała. Miała pretensję o łakomstwo, a on jadł z apetytem, smakowicie, głośno, zmysłowo (...). Po paru dniach poprosił mnie o pomoc, z każdej kolacji miałam mu wynosić na talerzu coś smakowitego, przykrywać drugim, mówił mi, co mam wziąć z baru, butelkę koniaku, whisky albo wina, i to wszystko wstać do szafki nocnej w jego sypialni. Strasznie go lubiłam, był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. I całkowicie rozumiałam, przecież nie mógł chodzić spać głodny. A Nina opalała się od rana na plaży, gdzie były małe domki, z sypialnią i łazienką, no i znakomici masażyści. (...) Premier zawsze zatrzymywał się w ośrodku rządowym. Ciekawe, kto mu organizował smakołyki w szafce w sypialni. Bez Niny pewnie jadł, ile chciał”.

W styczniu 1962 pani Krystyna mieszka na ulicy Chopina, rzut beretem od Józefa i Niny, a w sierpniu pakuje walizki na krymskie wakacje ▶

► dla siebie i 10-letniej Ani. Pewnie razem jadą na wojskowe lotnisko rządowe przy Żwirki i Wigury. Zdjęcia z tych wakacji opisane są na odwrocie „Awgust 1962” cyrylicą, więc to musi być prezent od „towarzyszy radzieckich”.

Nina musiała już wtedy się zorientować, że coś definitywnie się skończyło. Była zbyt inteligentna, by nie wiedzieć, że nadchodzą zmiany, których nie brała pod uwagę. Przecież dotąd to ona spędzała sierpień z mężem. Ale co tam Sopot czy Krym... W jej paszporcie dyplomatycznym ostatni stempel wizowy nosi datę „wrzesień 1961 r.” To wtedy pani Józefowa Cyrankiewiczowa (miała też takie wizytówki) udała się w ostatnią służbową podróż u boku małżonka. Sprawdziała się w tej roli, jak

działo, był rok 1968). Skoro wysocy funkcjonariusze państwowi mają dawać przykład narodowi, a nie uciechę gawiedzi... Nie było brukowców, ale naród plotkował na całego, funkcjonowała poczta pantoflowa. Na dodatek Gomułka, świadek na ślubie, cenił Ninę jako dobro narodowe.

Naprawdę Gomułka nie godził się na rozwód J.C.? Prof. Jerzy Eisler: „Znając człowieka i epokę, bardzo mi się to wydaje prawdopodobne. Ze swoim purytyzmem, surową obyczajowością, bo dobiegały go informacje, że ten i ów tu i tam, że gdzieś »za dużo kobiet«. On ze swoją Zosią prezentowali się tak, że najmniej bym się ich czepiał. Tak, tak, wiem, słynna sekretarka Wanda. Ach, na tle swobody działaczy partyjno-państwowych nie ma o czym mówić...”.

11 listopada 1966 r. premier melduje się w alei Róż 7 z panią Krystyną, jej dzieci są dwa piętra niżej. To kamienica wielkiej urody, „styl paryski”, wykuszowe okna salonów, piękna klatka schodowa w marmurze, projekt Sigalina & Gelbarda na zlecenie Salomona Graffa. Rozwód będzie za dwa lata.

Wydłuża się staż małżeństwa z Niną, choć już wiemy, jak ono wygląda.

Stanisław Kłodziński jr przyjeżdżał do Warszawy na polecenie ojca, a to w sprawie pomocy dla oświęcimiaków, a to po przydział papieru na druk „Przeglądu Lekarskiego”, dokumentującego działalność bohater-skich lekarzy więźniów Auschwitz. „Raz czy drugi ojciec wrócił z Warszawy i mówi: »Cyrankiewicz był głodny, bo ta pani była w teatrze«.

Pozostaje zarzut, że małżeństwo było kiepskie. Prawdziwy. Ale Cyrankiewicz by w nim wytrwał, „gdyby urodziła mu choć wiewiórkę”. Nawet Nina po latach zdawała sobie z tego sprawę.

i wcześniej, znakomicie. Nienaganna prezencja, idealna do small-talków znajomość francuskiego, wtedy języka światowej dyplomacji, słowem, reprezentowała Polskę u boku premiera jak należy. W sumie zaliczyła kilkanaście wyjazdów służbowych u boku małżonka, łącznie z „cudowną miesięczną podróżą po Azji, gdzie jeździła z mężem na słoniach” w 1957, kolejną w 1960, sporo krótkich po Europie. Protokół dyplomatyczny obowiązuje. Jak w oficjalnym zaproszeniu jest „z małżonką”, to mus. Konkubina nie wchodzi w grę. Ważne oficjalne podróże pod ostrzałem kamer światowych mediów to nie prywatne wakacje na Krymie wśród wyrozumiałych towarzyszy obozu socjalistycznego (a Polska jest „najweselszym barakiem w obozie”). Wyrozumiały okazał się pryncypialny Gomułka, który oficjalnie mówił, co mówił, a tam stał z konkubiną premiera, która stanie się legalną żoną dopiero za sześć lat. (...)

Zgoda pierwszego

Według obiegowej opinii Józef rozwiódł się z Niną, gdy Gomułka się zgodził (skądinąd w kraju źle się

Krystyna Strzelecka: „Rzeczywiście w tamtych czasach rozwody nie były w modzie, ale myślę, że po pierwsze, premier nie był zainteresowany rozwodem. Wiesław pewnie mu powiedział: »Nie wygłupiaj się, to nie będzie dobrze widziane«, ale gdyby się postawił, zdecydowanie pokazał, że mu zależy, a potem wracał do tematu, nie musiałby czekać tyle lat. (...)”.

Wątpliwości są uzasadnione. Gdy Gomułka wraz z ekipą utracił władzę w wyniku wydarzeń grudniowych 1970 r., napisał długi list do następców, opublikowany w oficjalnych dokumentach. Wynika z niego, że jako I sekretarz KC PZPR już w 1964 r. chciał się definitywnie Cyrankiewicz pozbyć. Uważał, że zawala gospodarkę, chciał zastąpić go Gierkiem, ale ten kategorycznie odmówił. Zatrzęsło się w tym trójkącie, ale do opinii publicznej nie dotarło nic. Skoro Cyrankiewicz wiedział, że Gomułka chce się go pozbyć, z pewnością rozmowa o rozwodzie, dowodząca zaufania, nie wchodziła w grę. Jak władza wymyka się z rąk, prywatne kłopoty tracą na znaczeniu.

A potem kiedyś przyjechał ze stolicy i oznajmił: »Byłem u Cyrankiewicza. Gomułka i Biuro Polityczne wyraziło zgodę, żeby się mógł rozwieść“.

Ignacy Golik i Lucjan Motyka, oświęcimiaci, na zebraniach zbawidowskich ze współczuciem obgadywali ciężki los biednego Józka: „małżeństwo nieudane, lodówka pusta, on głodny, w domu cicho i ciemno”. To nieprawda, bo w lodówce zawsze było coś przygotowanego przez Sabcię, tylko że towarzyszki Józef wołał restaurację, bo co to za przyjemność jeść samemu. Także postura premiera nie świadczyła o tym, że chodził spać głodny. Ciemny, pusty dom? Dobre sobie. Wiedział, z kim się żeni. Gdzie aktorki teatralne są wieczorami? W teatrze. Widziały gały, co braty. Wiedział, co robi.

Pozostaje zarzut, że małżeństwo było kiepskie. Prawdziwy. Ale on by w nim wytrwał, „gdyby urodziła mu choć wiewiórkę”. Nawet Nina po latach zdawała sobie z tego sprawę.



Fragmenty książki Liliany Śnieg-Czaplewskiej *Nina i Józef. Szczyty z życia, które minęły*, Rebis, Poznań 2023

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Pożeracz sierot

Szczucie na Tuska ze strony PiS, krzyk zmienia się w wycie, a czerwień w purpurę. Te wszystkie podłe bzdury, pełne jadu ujadanie – to już przypomina wyzwiska, których używano w propagandzie stalinowskiej wobec klasowych wrogów. A przecież nadal mamy kilka miesięcy do wyborów. Ciekawe, co oni jeszcze wymyślą. Nienawiść była na początku taktyką, teraz zdają się nienawidzić szczerze i wierzyć we własne kłamstwa. Tusk jest agentem zarówno Merkel, jak i Putina. Rzeczywiście zdolny człowiek, że połączył te dwie sprzeczne opcje. Przy okazji wziął udział w zamachu smoleńskim i jest winny śmierci brata prezesa. Odpowiada też za inflację i za to, że Polska nie dostaje od tej przeklętej Brukseli pieniędzy, które jej się należą jak psu buda. Niewykluczone, że tuż przed wyborami dowiemy się, że Tusk zjadł na surowo dziecko, sierotę wykradzioną z sierocińca. Nawet za bardzo się nie zdziwię, jeśli miliony wyznawców PiS w to uwierzą.

**Dzisiaj bezwstyd stał się normą.
Jest tylko jedna największa intymność
– uczucie zawiści.**

Po latach znowu czytam „Rok myśliwego” Czesława Miłosza, dziennik jednego roku, od sierpnia 1987 do sierpnia 1988. Moja słaba pamięć ma chyba tylko jedną zaletę, czytam tę książkę jakby po raz pierwszy; liczne podkreślenia, oczywiście ołówkiem, przypominają, że kiedyś ją czytałem i przeżywałem. Miłosz pisze, że długo się wahał, czy ten dziennik opublikować. Wydawał mu się zbyt szczerzy, niemal bezwstydny. To myślenie artysty z ubiegłego stulecia. Dzisiaj bezwstyd stał się normą, a ujawnianie intymnych tajemnic oczywistością. Sam po sobie widzę, o ile odważniej piszę, odnosząc się do tematów i używając słów, na które kiedyś redaktorzy reagowaliby prośbą o usunięcie albo by je wykropkowali. Miłosz wspomina o swojej słabości do alkoholu, do kobiet, pisze o chorobie żony, o swoich małych depresjach. Dzisiaj ludzie ujawniają swoje choroby i szczegółowo o nich piszą. Jest tylko jedna największa intymność, najbardziej wstydlive uczucie – to uczucie zawiści. Tak obrzydliwe, że nadal skrzętnie przez wszystkich ukrywane. Zawiść, czyli jadowita zazdrość. Iluż polskich pisarzy miało atak zawiści, gdy przyszła wiadomość, że Miłosz dostał Nobla.

Jadę samochodem, włączam radio, nie wiem, jaka to stacja. Ale słyszę wiadomości i po kilku sekundach już wiem – to państwowe radio, poznaję po tonie głosu i zestawie informacji. Wypowiada się Maciej Świrski, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji,

oddany partyjny aparatczyk; mówi, że głównym problemem polskich mediów jest rosyjska dezinformacja. „Niektórzy dziennikarze i politycy w Polsce również mogą być źródłem dezinformacji, gdy fałszywie oskarżają Polskę o brak demokracji i naruszanie wolności mediów, porównując Polskę do najgorszych systemów autorytarnych”. Jego zdaniem „kreowanie nieprawdziwego obrazu sytuacji w Polsce może prowadzić do alienacji i osłabienia polskiej pozycji w NATO oraz obniżenia zaufania do sojuszników. (...) Od początku istnienia tzw. III RP obserwujemy systematyczne nagonki medialne. Organizatorzy tych nagonek wykorzystują kłamstwa i manipulacje w celu niszczenia reputacji i wizerunku osób, przedsiębiorstw czy organizacji społecznych”. Wraca więc czkawką motyw: opozycja skarży się światu, że w Polsce psuta jest demokracja, że jest zagrożona. I świat zaczyna mieć o Polsce złą opinię. Jaki łatwowierny, jaki naiwny jest ten demokratyczny świat. Podobnie niepokoi się o demokrację na Węgrzech i w Izraelu, i w Turcji.

Do Erdoğan i Netanjahu też pisowcom blisko, pisowska propaganda traktuje ich przyjaźnie, przecież to bliscy krewni, a proputinowski Orbán to jak wiadomo bratanek.

W Zachęcie niezwykle tkaniny Małgorzaty Mirgi-Tas, wielkie płótna zszywane z fragmentów ubrań i tkanin, kłada przedstawiające życie codzienne Romów i znaki zodiaku, Mirga-Tas ma romskie pochodzenie. Płótna wypełniają w całości salę wystawienniczą, jakby były specjalnie dla niej szyte, przedstawiają 12 miesięcy. Jest coś orientalnego w tych obrazach, trochę sztuki prymitywnej, trochę pierwotnego malarstwa Ameryki Południowej, z dodatkiem kultury Europy. Romskie korzenie dały tej sztuce walor niezwyklej oryginalności, od lat żadna wystawa nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Moje dzieci nawet za bardzo nie marudziły. Polsce brakuje ludzi z innych, odległych kultur, dlatego trochę mnie martwi, że imigrują do nas głównie Ukraińcy, bardzo nam pokrewni. To bezpieczne, ale nie ma tygla genów, z czego powstają czasami wielkie dzieła.

Jezioro Płaskie, między Sejnam i Suwałkami, pusto, ładnie. Drewniany domek na małym wzgórzu z dojściem do jeziora, pomost, łódka. Fruną żurawie. Wieczorem piekło komarów i czyściec rodziny. Raj zawsze sąsiaduje z czyścem i z piekłem.

Kino po swojemu

Problem zaczyna się po wyjściu ze szkoły filmowej, gdy okazuje się, że kobiety po prostu mniej reżyserują

Rozmawia Wojciech Tutaj

Czy nastał już w Polsce czas, gdy młode reżyserki mogą swobodnie realizować swoje autorskie projekty?

– Chcę wierzyć, że tak. Wiem jednak, że kino i serwisy streamingowe dynamicznie się zmieniają i muszą się adaptować do trudnej rzeczywistości postpandemicznej. Ja na pewno pracuję intensywnie i rozwijam autorskie projekty. Jednak moim zdaniem więcej przestrzeni, otwartości i pieniędzy na kino autorskie nadal znajdziemy za granicą.

Ludzie często wybierają komfort zamiast próby ujawnienia swojej tożsamości czy uczuć.

Na ile internetowy sukces serialu „Kontrola”, w którym sportretowałaś miłosną relację dwóch młodych kobiet, zmienił twoją sytuację zawodową?

– Dzięki moim staraniom i sukcesowi „Kontroli”, która doczekała się międzynarodowej dystrybucji, udało mi się powoli zaistnieć w świecie. Myślę jednak, że w Polsce idzie nowe i młodzi ludzie, a szczególnie kobiety, zaczynają dostawać lepsze propozycje pracy.

Zarówno w serialu „Kontrola”, jak i w filmie „Moje stare” opowiadasz o kobietach, choć dzieli je przepaść pokoleniowa i duża różnica doświadczeń. Co znaczy określenie „kino kobiece”, które można przypisać do twojej twórczości? Niektóre reżyserki drażni ta kategoria.

– Też tak mam, nie lubię szufladkowania. Rozumiem, że w sytuacji, w której była tylko garstka filmów wyreżyserowanych przez kobiety,

o kobietach, głównie dla kobiet, termin „kino kobiece” funkcjonuje tak samo jak nazwa „kino LGBT”. Czasami nie ma dla mnie żadnego znaczenia, że jestem kobietą w kinie, przecież idę po swoje i myślę: nie przesadzajmy. Z drugiej strony nie można udawać, że rzeczywistość wygląda idealnie. Problem zaczyna się po wyjściu ze szkoły filmowej, gdy okazuje się, że kobiety po prostu mniej reżyserują i nie ma do nich wystarczającego zaufania. Pokutuje tu stereotypowe, archaiczne wręcz myślenie, że reżyser to „męski” zawód, a duże, kasowe produkcje są filmami dla męskiej widowni,

uczucia? Doświadczenie starzenia się i choroby nie jest dla ciebie zbyt odległe?

– W ogóle nie miałam takich obaw, bo to świetnie, że młoda osoba bierze się za opowieść o starszych ludziach. Poczułam też, że specyfika relacji bohaterek sprawia, że one przeżywają swoją młodość na nowo. Pisząc scenariusz z Alicją Sokół, uzgodniłyśmy, że Ania i Zosia muszą się zachowywać tak, jakby znów miały po 20 lat. Wiedziałam, że my wniesiemy pierwiastek młodości, nowe spojrzenie, a aktorki zapewnią wiarygodność psychologiczną i naturalność swoich postaci. Pomysł na film zrodził się zresztą z moich osobistych doświadczeń. Moja babcia choruje na alzheimera i na co dzień obserwuję, jak mój tata i dziadek się nią zajmują. Czasami wydaje mi się, że miłość moich dziadków wznosi się ponad wszystkie problemy, nawet ponad chorobę, a kiedy zawodzi głowa, zostają czyste, piękne emocje. To mi się wydało bardzo filmowe. Kiedy mój kolega Ignacy Kietczewski przyszedł z prośbą o dyplom operatorski w Warszawskiej Szkole Filmowej, szybko narodził się pomysł na film o Ani i Zosi.

Myślisz, że takie filmy jak „Moje stare” wpłyną na światopogląd bardziej konserwatywnej części społeczeństwa?

– Wierzę, że kino wpływa na to, jak postrzegamy świat. Wiem, że „Kontrola” zmieniła myślenie wielu ludzi,

wypełnionymi scenami akcji i testosteronem. Na szczęście coś się zmienia, o czym świadczy obecność i pozycja wielu polskich reżyserek, które tworzą kino po swojemu i osiągają międzynarodowe sukcesy. Rośnie też liczba kobiet zajmujących się produkcją filmową. Sama stoję gdzieś pośrodku. Z jednej strony, chcę robić „kino kobiece”, a z drugiej – mam poczucie, że opowiadam o kobietach w sposób uniwersalny.

Dlaczego od historii o problemach swojego pokolenia przeskoczyłaś do opowieści o starszych bohaterkach, które wkrzeszają wzajemne

Natasza Parzymies – (ur. w 1999 r.) absolwentka Warszawskiej Szkoły Filmowej. Prestiżowy magazyn „Variety” umieścił ją na liście największych talentów świata filmu w 2022 r. Jej serial „Kontrola” (2018-2022) o miłości dwóch młodych kobiet zdobył ogromną popularność w internecie i został przetłumaczony przez fanów na kilkadziesiąt języków. Najnowszy film, „Moje stare” (2023), był pokazywany m.in. na toruńskim Toffest.



NATASZA PARZYMIES

– reżyserka, scenarzystka i producentka filmowa

bo widzowie pisali do mnie i dzielili się swoimi refleksjami w komentarzach. W „Moich starych” była dość precyzyjnie obmyślona „linia ataku” na osoby sceptycznie nastawione do jakiegokolwiek inności, związków jednopłciowych itd. Zaczęło się od obsady. Wiedziałam, że ten film będzie ważny i będzie się o nim mówiło, nie tylko przez pryzmat historii i tematu miłości starszych kobiet. Chodzi przede wszystkim o aktorki, Dorotę Pomykałą i Dorotę Stalińską, absolutne wzorce dla pokolenia naszych rodziców i dziadków. Mój tok rozumowania jest taki, że jeśli dwie uznane osoby zagrały role zakochanych kobiet, film skuteczniej trafi do ludzi. Trochę na podobieństwo zaangażowania Andrzeja Seweryna do serialu „Królowa”, co okazało się strzałem w dziesiątkę i zmieniło odbiór postaci drag queen. W przypadku krótkometrażowego filmu pokazywanego na festiwalach tylko przez rozmowy z publicznością mogę się dowiedzieć, jaki wpływ wywarły na nią „Moje stare”. Bardzo

mnie zaskoczyło, że film silnie oddziałuje na osoby, które opiekują się rodzicami lub dziadkami chorymi na alzheimera. I że tak mocno wzrusza widzów, bez względu na ich poglądy. **W przypadku Doroty Stalińskiej nasunął mi się kontekst feministyczny kina Barbary Sass, w którym**

Nie zależy mi na obmyślaniu szokujących zwrotów akcji. Widzę inne sposoby na bycie oryginalną.

aktorka zaistniała na początku lat 80. („Bez miłości”, „Krzyk”). Myślałaś o tym na etapie castingu?

– Przede wszystkim wiedziałam, że to muszą być ikony. Z Dorotą Stalińską pracowałam już wcześniej i wiedziałam, ile znaczy jej nazwisko. Widzę ogromną wartość w tym, że robiła coś przelomowego z Sass w latach 80., a teraz szuka nowych sposobów zabrania głosu. Podobna mi się, że idzie z duchem czasu. Z Dorotą Pomykałą było nieco inaczej. Kiedy kończyłam pisać

scenariusz, Dorota zdobyła na festiwalu Tribeca nagrodę dla najlepszej aktorki za rolę w „Kobiecie na dachu”. Wcześniej grała w nominowanej do Oscara „Sukience” Tadeusza Łysiaka i innych etiudach zrealizowanych w Warszawskiej Szkole Filmowej, wiedziałam więc, jakie projekty ją interesują. Na ekranie potrafi być jednocześnie wzruszająca i komiczna.

Rolą Doroty Pomykały pokazujesz agresję w zachowaniu osoby z chorobą Alzheimera. Od początku zależało ci na poruszeniu tego rzadko podejmowanego w kinie wątku?

– Oparłam scenariusz na bliskich mi doświadczeniach, ale w rozmowach wyszło, że Dorota Pomykała oglądała nagrania z ludźmi chorymi na alzheimera. Jeden materiał pokazywał kobietę, która aż kipiała od agresji. Kluczowy w tym stanie jest fakt, że nie wiesz, co się z tobą dzieje, nie wiesz, gdzie jesteś, więc to naturalny odruch. A prawda jest taka, że nic nie łamie serca bardziej niż agresywna reakcja osoby, którą darzysz miłością, a która nagle cię nie rozpoznaje. Ty niby wiesz, a raczej próbujesz sobie racjonalnie tłumaczyć, że bliski choruje, lecz emocje podpowiadają co innego. Podobne sytuacje są oczywiście strasznie bolesne, ale wydają się też szalenie atrakcyjne dla kina, bo opierają się na pojedynku głowa-serce, serce-głowa. Dochodzi tu do paradoksalnego odwrócenia: kiedy zdrowa

osoba patrzy na chorego, bardziej odczuwa, niż myśli, przejmując perspektywę cierpiącej jednostki. Tylko nam się wydaje, że więcej rozumiemy i umiemy zachować dystans, ale rządzić nami te same emocje. Trzeba się na nie otworzyć i nie obwiniać się, że tak mocno dotyka nas choroba krewnych, bo również przeżywamy koszmarnie doświadczenie.

Choć akcja „Moich starych” toczy się w polskiej rzeczywistości, nie eksponujesz przesadnie lokalnych elementów. Czy na etapie tworzenia



Dorota Pomykała i Dorota Stalińska w filmie „Moje stare”.

► **myślisz o uniwersalności historii i dotarciu do jak najszerzego grona odbiorców?**

– Częściowo przychodzi to do mnie naturalnie. Długo nie mogłam zrozumieć, co sprawia, że moja twórczość przemawia do tylu różnych osób. Zawsze przecież realizowałam projekty tak, jak chciałam. W przypadku „Moich starych” kontekst polskości narzuca się już przez miejsce akcji, język, którym mówią bohaterki, fakt, że grają je polskie aktorki, a muzykę skomponował Ralph Kamiński. Dodatkowo pojawiają się takie smaczki jak Mielno, polskie wesele, w tle disco polo. Nie trzeba więcej, aby uczynić filmową

historię bardziej lokalną. Zakłęte na ekranie emocje trafiają jednak dużo szerzej, przekraczają granice. Film jest ciepło przyjmowany poza Polską, właśnie przymierzamy się do premiery w Stanach Zjednoczonych.

Nic nie łamie serca bardziej niż agresywna reakcja osoby, którą darzysz miłością, a która nagle cię nie rozpoznaje.

Wielu obcokrajowców odbiera „Moje stare” inaczej, pomijając typowo polskie odniesienia. Historia zakochanych kobiet nadal jednak działa, bo motyw choroby czy miłości jest ponadczasowy.

Cieszę się, że moje filmy są odbierane intensywnie nie tylko w Polsce i poruszają ludzi bez względu na pochodzenie. Pewnie dzięki temu mogę rozwijać projekty za granicą. Międzynarodowy sukces „Kontroli” i zainteresowanie magazynu „Variety”, który umieścił mnie na liście najbardziej obiecujących talentów świata filmu, zaowocowały tym, że współpracuję z amerykańską agencją – i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Temat ukrywania swojego uczucia i konieczności dostosowywania się do wymogów społecznych jest obecny w kinie queerowym od dawna. Czy pisać scenariusz, zastanawiał się nad schematami tego kina i próbami ich ominięcia?

– Nie uważam, że wpadam w jakieś schematy narracyjne, bo na razie

opowiadałam bardzo osobiste historie. Tak jak je przeżyłam i poczułam. Jeśli ktoś dostrzega w moim filmie klisze, to powinien się martwić, że tak nadal wygląda nasze społeczeństwo. Ludzie często wybierają komfort zamiast próby ujawnienia swojej tożsamości czy uczuć. Chętnie zresztą opowiadałam historie par jedнопłciowych; w „Kontroli” te wątki stopniowo się rozrastają, bo śledzę tam losy kilku relacji. Ale w tym konkretnym serialu nie zaprzętałam sobie głowy takimi pytaniami. Opowiadałam w zgodzie ze sobą. W ogóle mam poczucie, że w moich filmach świeżość przejawia się nie w samej strukturze scenariusza, ale raczej w zniuansowaniu dialogów, odpowiednim dobraniu wątków czy stworzeniu niepowtarzalnej ekranowej atmosfery. Nie zależy mi na obmyślaniu szokujących zwrotów akcji czy opowiadaniu nazbyt skomplikowanych historii. Widzę inne sposoby na bycie oryginalną.

KSIAŻKI

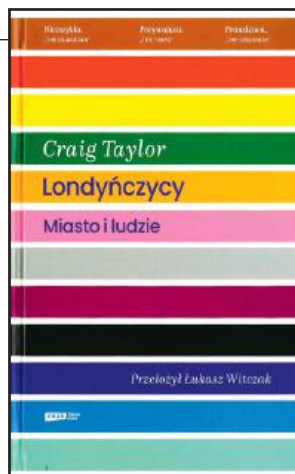
Craig Taylor

**Londyńczycy
Miasto i ludzie**

przeł. Łukasz Witczak

Znak Literanova, Kraków 2023

Co może łączyć właściciela galerii sztuki, krematora, pracownicę klubu nocnego i hydrauliczkę? To oni, wspólnie z milionami innych ludzi, tworzą jedno z największych miast świata. Dla jednych Londyn jest tylko tłem opowieści, dla drugich – głównym bohaterem. Tylko dzięki tej książce można dowiedzieć się, jak wygląda casting na głos londyńskiego metra, gdzie kupują peruki brytyjscy adwokaci i jakie najskrytsze fantazje spełnia kobieta pracująca jako domina. „Chciałem znaleźć ludzi, którzy śnili o Londynie, zmagali się z Londynem, zostali przez niego nagrodzeni albo skrzywdzeni. Ludzi, którzy spędzili w nim jeden dzień i wzięli nogi za pas. Ludzi, którzy nigdy nie wyjechali. A może również takich, którzy na co dzień zajmowali się miejskimi sprawami, wprawiali to miasto w ruch”, pisze autor.



MIĘDZY OKŁADKAMI

FESTIWAL



Camilla Läckberg,
Henrik Fexeus

Kult

tłum. Inga Sawicka

Czarna Owca, Warszawa 2023

W kąciaku kryminalnym spore porcje lektury – trylogie dwie. Läckberg i Fexeus w drugim tomie swojej skupiają się na choro-

broliwie bojącej się brudu Minie Dabiri i zawiślaniach rodzinnych, przez które ta policjantka z zespołu funkcjonariuszy „problematycznych” nie może kontaktować się z córką. Od mentalisty – znawcy iluzji i działania umysłu – Vincenta Waldera wbrew wzajemnemu pociągowi też trzymała się z daleka przez prawie dwa lata, ale jego pomoc znów okaże się konieczna. Ktoś porwya i morduje małe dzieci – i będzie to coraz bardziej szaleńczy wyścig z czasem. Niektóre pomysły, np. łamigłówka z samochodzikami, są wprawdzie naciągane, a to, że zwłoki użyźniają glebę, jest raczej mądrością obiegową i czytelnik szybciej od policji wie, gdzie kopać, ale ta ekipa – i policyjna, i pisarska – daje się lubić, a pułapka na Waldera dopiero się zatrzaskuje.



Juan Gómez-Jurado

**Reina Roja
Loba Negra**

tłum. Barbara Bardadyn

SQN, Kraków 2023

Niepospolite właściwości umysłu ma także bohaterka cyklu, który nie tak dawno u nas zadebiutował i błyskawicznie nadrobił dystans. Wokół Antonii Scott powstał ściśle tajny zespół do spraw wymagających specjalnego podejścia. Tyle że Antonia, tytułowa Czerwona Królowa, wypisała się z niego. Z życia w zasadzie też – bo za dużo już w nim straciła. Ale szef grupy desperacko potrzebuje krnąbrnej podopiecznej, a jego



emisariuszem zostaje zawieszony w obowiązkach baskijski policjant. I jemu udaje się wywabić Antonię. Ten duet będzie się docierał, jednak okaże się skuteczny – również w zdobyciu uwagi czytelnika, m.in. ze względu na ton narracji i coraz silniejszą więź między królową a jej nowym „giemkiem”. Ale to nie romans – inspektor Gutiérrez jest gejem. Porusza go swoista kruchość Antonii – do jakiego bowiem stopnia można w imię wyższego, ogólnego dobra zrobić z kogoś, nawet za jego zgodą, narzędzie. Bardzo poręczne, ale z życiem schrańnionym po całości.

Aleksandra Pańko

29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Krzysztof Dębski, String Connection Plus – jubileusz 50-lecia pracy artystycznej

Krzysztof Dębski to muzyczny wirtuoz, człowiek renesansu. Wybitny kompozytor, skrzypek, pianista, dyrygent i aranżer. W świecie jazzu i muzyki klasycznej porusza się równie swobodnie, a znany jest też z licznych kompozycji dla kina („Kingsajz”, „Ogniem i mieczem” czy „W pustyni i w puszczy”), telewizji („Klan”, „Złotopolscy” czy „Ranczo”), teatru i baletu. Lider legendarnego zespołu String Connection, jednej z najważniejszych formacji fusion lat 80. Grupa utworzona w 1981 r. natychmiast zyskała uznanie fanów i krytyków, koncertowała w Europie, USA i Kanadzie, wylansowała kilka hitów, które stały się jej muzycznymi wizytówkami. Koncerty zespołu przyciągają tłumy fanów – dawnych i nowych, a tym razem okazja jest wyjątkowa, bo świętować będziemy pół wieku działalności artysty.

(ap)



Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 29 LIPCA, GODZ. 19

NA EKRANACH



Indiana Jones i artefakt przeznaczenia

reż. James Mangold, prod. USA, już w kinach

Odrzeczany kotlet? Niby tak, a jednak ładnie wygląda i jeszcze lepiej smakuje. Nowa odsłona przygód Indiany Jonesa dobrze się wpisuje w serię. Jest nawet nieco staroświecka, lecz akurat ta staroświeckość jest plusem i wyróżnia film na tle tego, co dzieje się we współczesnym, wysokobudżetowym kinie rozrywkowym. Na przykład w produkcjach ze stajni Marvela chodzi o demolkę, do której wystarczy drobny nawet pretekst. Najważniejsza jest siła, zwłaszcza nadnaturalna. A w „Artefakcie przeznaczenia” hołubi się naukę – to od rozwiązania skomplikowanych zagadek, do których zrozumienia trzeba i sprytu, i rozległej wiedzy z fizyki, historii i matematyki, zależą losy bohaterów. Dr Jones ma w tej części kompankę – chrześniaczkę Helenę. Jego gra oczywiście Harrison Ford, który z różnym skutkiem stara się ukryć, że ma osiem dych na karku, a w nią wciela się gwiazda młodej komedii, Phoebe Waller-Bridge. Ta pyśkata i błyskotliwa postać sprawia, że wyjęta z lamusa seria ostatecznie przystaje do współczesności.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

Hejt?

Nie czytaj komentarzy

Przepis na życiową porażkę to żyć tak,
żeby wszyscy byli zadowoleni



Katarzyna Kucewicz – psycholożka, psychoterapeutka, autorka poradników i artykułów eksperckich. Prowadzi praktykę terapeutyczną w Warszawie, psychoedukuje na Instagramie: @psycholog_na_insta.

Rozmawia Anna Stachowiak

Ostatnio głośno było o filmie reklamowym, który nakręciła Katarzyna Nosowska, parodiując, jak niektórzy uważają, modelkę i celebrytkę Caroline Derpienski. Publiczność podzieliła się na dwa obozy, celebrytka stała się zaś obiektem hejtu, o rozpętanie którego oskarża się Nosowską. Dlaczego tak łatwo hejtować?

– Warto zacząć od tego, że mamy różne oblicza krytyki. Dawniej filmik Nosowskiej uznano by za parodię, ale dziś dla niektórych jest to już przekroczenie granicy dobrego smaku. Część osób ocenia, że to hejt, ponieważ wyśmiewana jest tam celebrytka za to, jaką ma osobowość, jakie ma wartości, styl mówienia i postrzegania rzeczywistości. Z drugiej strony obrońcy wskazują, że niekoniecznie jest to atak na nią, bardziej ogólne wyśmianie pewnego trendu w mediach na lansowanie osób, które reprezentują osobliwy wymiar konsumpcjonizmu i istnienia w show-biznesie. W związku z tym jedni hejtują celebrytkę za jej postawę życiową, drudzy Nosowską, że z tej postawy się śmieje. Moim zdaniem w tej historii wszyscy obrywają.

Po równo?

– W tej aferze każdy ma swoje zdanie. I dobrze, bo warto mieć własną opinię na temat różnych zjawisk społecznych. Zdecydowanie popieram publiczne wyrażanie swojego stanowiska, a nie myślenie: a kogo obchodzi moje zdanie. Kiedy człowiek wyrazi to, co czuje, często ma wrażenie, że jest społecznie istotny, że się podzielił. Czuje wspólnotowość, kiedy inni go lajkują, dając znać: myślę to samo co ty! To dobre dla wzmocnienia naszej samooceny. Gorzej, gdy na hejcie budujemy poczucie wspólnotowości oraz własnej wartości. Jeśli wypisujemy zjadliwe, nienawistne komentarze i raduje nas, że 200 osób ten pełen nienawiści hejt polubiło, możemy się wyuczyć, że im ostrzej, tym więcej aplauzu.

Niestety, w internecie nośny jest hejt, afery, zjadliwość. Każdy to czyta z wypiekami na twarzy, ludzie się ekscytują, a bezkompromisowi krytycy

stają się bohaterami. Kiedy posmakujemy, jak to jest dostać tysiące polubień, może nas kusić, by jeszcze ostrzej oceniać i mieć jeszcze więcej zasięgów, czyli pozytywnego odbioru społecznego. Takie są media społecznościowe – istniejesz tylko wtedy, kiedy masz radykalne, wyraziste poglądy i śmiało je wyrażasz. A poglądy bezkompromisowe zawsze balansują na granicy hejtu, albo nakręcając

Inna rzecz, że każdy internetowy twórca mierzy się ze spadkiem zasięgów i wie, że to, co je podbija, to kłótnie i polemiki. Polemiki ściągają obserwatorów, wpływają na rozrost kont internetowych, dlatego największym wygranym w całym sporze jest ten, kto dzięki niemu zdobędzie rozgłos, uznanie i nowych fanów.

Czym wytłumaczyć potrzebę takiego zaistnienia?

W sieci pada często wiele bardzo agresywnych słów, które nigdy by nie wyrzmiły w rozmowie w cztery oczy.

hejt, albo go na siebie ściągając. Trzeba pamiętać, że jesteśmy bardzo spolaryzowani, a wtedy łatwo o bardzo radykalne opinie.

Ale tutaj wydarzyło się coś innego – ci, którzy pokusili się o krytykę działania Nosowskiej, także dziennikarze, osoby publiczne, stali się obiektem hejtu ze strony własnej, lewicowo-liberalnej bańki.

– Generalnie krytyka we własnym środowisku jest zawsze lepsza i bardziej konstruktywna niż poklepywanie się po plecach tylko dlatego, że jesteśmy w jednym obozie. Lewicowo-liberalne środowiska często siebie nawzajem krytykują, co niektórzy uznają za słabe wizerunkowo, ale w moim odczuciu to jest właśnie autentyczność, lepsza niż tworzenie zamkniętych, nietykanych enklaw, gdzie nikt koledze nie patrzy na ręce. Jest jednak faktem, że brakuje nam kultury komentowania, a przede wszystkim – prowadzenia dialogu. Mam wrażenie, że w sieci pada często wiele bardzo agresywnych słów, które nigdy by nie wyrzmiły w rozmowie w cztery oczy.

Skąd to się bierze?

– Moim zdaniem człowiek, który z kimś polemizuje bezpośrednio, nie wirtualnie, staje się bardziej empatyczny. Rozmawiając twarzą w twarz z kimś, kto jest uprzejmy, kulturalny, kto patrzy nam w oczy i zwraca się bezpośrednio do nas, trudniej nam rzucić: „Dla mnie to, co pan mówi, to farmazony”. Ale jeśli oglądamy tę osobę w sieci, z większą łatwością surowo ją skrytykujemy, bo ta osoba jest obca, obojętna.

– Ludzie nie tylko żyją z bycia influencerami, ale też dzięki temu budują nowych siebie. Nierzadko w realu życie influencera jest dość rutynowe, ale w sieci można stworzyć swój wizerunek na nowo, można się wypromować wedle uznania. Dawniej twoja sława zależała od kogoś, ktoś musiał cię wyłowić z tłumu – zrobić z tobą wywiad, napisać o tobie. Dzisiaj ludzie wyławiają się sami, tworzą samodzielnie wielkie społeczności, można rzec – swoje media. Megawolne, ale też często przepelnione treściami, które w tradycyjnych mediach by się nie ukazały.

Sama działam w internecie i lubię media społecznościowe jako kanał

psychoedukacyjny. Mogłabym mieć o wiele bardziej rozkręcone zasięgi, gdybym angażowała się w internetowe awantury czy krytykowała np. kongresy szamanów. Nie robię tego jednak, bo myślę, że bardziej się przydam, jeśli ten czas spożytkuję na pokazywanie ludziom dobrych, sprawdzonych naukowo sposobów zatroszczenia się o siebie..

Jak się bronić przed hejtem?

– Kiedy spada na nas cios w rodzaju krytyki czy hejtu, łatwo zapomnieć, że jest to przede wszystkim wyraz uczuć nadawcy, a nie informacja o adresacie. Dlatego uważam, że błędem jest czytanie komentarzy i wchodzenie w dyskusje z hejterami. Hejter atakuje cię zawsze z poziomu swojego ego. Hejt to odbicie jego świata wewnętrznego. On cię jakoś widzi, jakoś cię zrozumiał i chce jakoś cię ukarać za to, co poczuł w reakcji na ciebie. To jest jego – hejtera – historia, a nie twoja. Dlatego niemal każda próba wyjaśnienia hejterowi, o co nam chodzi, kończy się awanturą i frustracją. Bo ty odpowiadasz mu ze swojego świata, a on, hejtując, jest zanurzony w swoich myślach. Mnie kiedyś hejtowała pani, która po trzech latach napisała mi, że dlatego tak mnie obrażała w sieci, bo mąż ją zdradził z kobietą podobną do mnie i ona nie mogła ▶



► na mnie patrzeć. A ja przez trzy lata nie mogłam pojąć, co zrobiłam tej kobiecie, że tak mnie nienawidzi, bo na to bym nie wpadła. Często nie wpadniemy na to, dlaczego tak irytujemy kogoś, więc zawsze zachęcam, by hejt ignorować.

Mam również taką zasadę: nie słuchaj komentarzy osób, których nie spytałabyś o radę. Dzięki temu oszczędzam sobie nerwów, bo przecież trudno się nie denerwować, nie

Co jeszcze jest istotne?

– Warto mieć świadomość, że jesteśmy różni, i nie oczekiwać, że ktoś zachowa się tak, jak ja bym się zachowała. Ponadto nigdy nie będzie tak, że nasze poglądy czy opinie będą się podobać wszystkim, nawet jeśli są wyważone i poparte wiedzą oraz doświadczeniem. Zawsze znajdzie się ktoś, komu nie będziemy się podobać, dlatego warto robić swoje. Ja często powtarzam

swojej aktywności w sieci, czasem wątpić w siebie.

Dlatego cały czas powtarzam, że aby nie stracić swojego poczucia wartości, trzeba mieć wdrukowane, że hejt jest przede wszystkim informacją o nadawcy, a nie o nas.

Jak to? Mam przed oczami komentarz: „Katarzyna Kucewicz, nieźle gada, ale czy każda psycholożka musi od razu pisać książki?”.

To nie o tobie?

– To jest o uczuciach nadawcy po zapoznaniu się z moimi książkami, o mojej pracy i działalności psychologicznej i medialnej. Widocznie ktoś przeczytał coś mojego, może gdzieś mnie zobaczył i moje słowa w nim w jakiś sposób zarezonowały. Te mówione – pozytywnie, a te pisane – negatywnie. Ktoś coś sobie przypomniał, coś poczuł, może się zezłościł, może wzruszył i postanowił to wyrazić, oceniając mnie.

Ludzie mają prawo do emocji i oceny, ale my mamy prawo do chronienia siebie i pamiętania, że nasze opinie, teksty czy nawet zdjęcia to nie my jako całość – to tylko jakiś wrywek. Część naszej pracy czy życia. Każdy z nas ma różne role. Jesteśmy przyjaciółkami, ekspertkami, dziennikarkami, podróżniczkami, pełniemy wiele różnych

Błędem jest wchodzenie w dyskusje z hejterami. Hejter atakuje cię zawsze z poziomu swojego ego.

przeżywać okrutnych komentarzy czy hejtów całkowicie niemerytorycznych. Zresztą te merytoryczne krytyki także trudno znieść. Jest taka narracja, że hejt boli, a konstruktywna krytyka poucza – owszem, ale jeśli ktoś umie ją udźwignąć, bo jeśli nie umie, to nawet subtelna porani do żywego jak hejt. To od nas zależy, czy potrafimy wytrzymać, że ktoś ma inne zdanie, że nas nie lubi, że uważa nas za idiotów. Ale wracając do tematu, jeśli nie poprosiłaś hejtera o radę w prawdziwym życiu, nie czytaj jego komentarzy, bo nic do twojego życia nie wniosą.

pacjentom: bierz pod uwagę opinie trzech zaufanych osób, a nie setek czy tysięcy internautów, którzy filtrują twoją pracę przez zupełnie ci obce filtry.

Z drugiej strony jesteśmy w sytuacji, kiedy dominuje poprawność polityczna, staramy się nikogo nie urazić, a jednocześnie jesteśmy bardzo wrażliwi na swoim punkcie. Mówi się o wyjątkowej wrażliwości „płatków śniegu”, osób, które można urazić nawet komplemtem. Nie tak dawno głośno było o słowach Krzysztofa Daukszewicza pod adresem Piotra Jaconia. Skończyło się odejściem Daukszewicza z TVN.

– Co do tej sytuacji z Jaconiem i Daukszewiczem, to myślę, że wyjątkowo nas boli, kiedy atak nadchodzi ze strony, z której się go nie spodziewamy. Przykładowo: piszę książki i teksty, publikuję w mediach liberalnych, więc na ataki ze strony prawicy jestem przygotowana, ponieważ wiem, że moje poglądy i wrażliwość są w kontrze do jej wizji świata. Ale kiedy dostaję po głowie od „mojej” strony – dziwi i boli podwójnie, bo tracę wtedy bardzo ważne w życiu poczucie przynależności. Identyfikowałam się z grupą, z jakąś ideą, z jakąś wspólną wizją świata i nagle ta grupa mnie wypłuwa – to przeraża, dezorganizuje, zaburza nas. Jakby oberwać obuchem w głowę. Ludzie są wtedy zdruzgotani nie tyle krytyką, ile tym, że nagle czują się niechciani, zaczynają wątpić w sens swojej pracy,

Nie słuchaj komentarzy osób, których nie spytałabyś o radę.

funkcji w życiu, o których hejterzy nie mają pojęcia. Oni zawsze oceniają jakiś wrywek, strzępek. To ciosy wymierzone w rolę, postawę, wycinek naszego życia, a nie w całą naszą osobę. Dlatego czytanie hejtu nie powinno nas niszczyć, tak jak słuchanie pochwał nie powinno nas budować. Jeśli chcemy budować samoocenę, to budujemy ją, opierając się na dobrych uczynkach na rzecz innych czy na pracy nad sobą, nad charakterem. Bądźmy dla siebie punktem odniesienia, wzorujmy się, ale nie porównujmy. I, jak to mówią, pamiętajmy, że przepis na życiową porażkę to żyć tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Anna Stachowiak





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zbudziła mnie szczekająca sarna. A ściślej: koziołek. Zachodzą pod dom, czasami czymś spłoszone uciekają w niewłaściwą stronę i trafiają pod ogrodzenie. No i masz ci los – stanie taki pod oknami i ogłupiały wzywa ziomeków o czwartej rano, trzeba tak się zakraść, żeby go wypłoszyć w stronę lasu. Wszelako tego rodzaju pobudkę zaliczam do wysokich, podobnie jak pianie koguta i ogólnie ptasie radio (choć drozdy z końcem lipca już nie takie skore do śpiewania o brzasku). Jeśli prześpię przedświt, bo natura mnie w porę nie zbudzi, słońce zza grzbietu góry wypelza i świeci mi prosto w pysk, trzeba wstawać, coś napisać na czczo, bo potem, kiedy przyjdą procesy trawienne, myśli już się przymulają, energia siada i twórczość z życiem przegrywa, jakiegokolwiek by ono było. Wewnętrzny pan ekonom z bacikiem nie dość chyży mnie smaga, ale dniówka do południa naprawdę

w wolnym zawodzie, czy mieć zapewniony spokojny byt w zamian za przesiedzenie połowy życia w firmowym boksie, teraz już ich nie mam. Wolności oddać nie umiem, nawet gdybym chciał, przez tych kilka godzin w biurowcu tęsknie spoglądałem przez okna na pobliskie chaszcze, marząc o tym, by móc się wytarzać w chwastach zaraz po wyjściu z tej szklanej pułapki.

Zetki jako pierwsze pokolenie przedkładają znaczenie swojej pracy nad zarobki – chcą zmieniać świat na lepsze. To nie jest li tylko młodzieńczy idealizm, lecz realny ogłód sytuacji – świat zmierza ku katastrofie z postępującą prędkością, zmiany są konieczne. Generacja Z też wołałaby pracować zdalnie, chociaż open space’y im nie straszne, ale jeśli wedle badań ponad połowa zetek zgłasza jakieś problemy psychiczne lub jest w terapii, coś jest ewidentnie nie tak. Są wyraźnie bardziej podatne na stres.

Dobra robota

robi dobrze, zaś pusty przedpołudniowy przelot zmiotnięty na śniadaniu, prześniadaniu i wyśniadywaniu, ergo prokrastynacyjnych rozmaitościach, daje poczucie kaca moralnego. W tym sensie zaiste praca jest wartością – róbstwo poprawia samopoczucie, nieróbstwo przygnębia i sprowadza na manowce. Ale tylko praca sensowna, dobra robota, taka, którą wykonujemy z przekonaniem i wiarą w to, że może mieć choć minimalny wpływ na bieg rzeczy.

Owóz zbiegiem okoliczności zawitałem po raz pierwszy w życiu do korporacyjnego open space’a, przy okazji gromadzenia materiałów do tekstu na temat zetek i ich stosunku do pracy. Ale i wiedziony poczuciem obowiązku poszerzania swojej wiedzy o społeczeństwie – gdyby mi bowiem przyszło do głowy napisać jeszcze jakąś prozę, nie chcę pisać wyłącznie o wyalienowanych lekoduchach. Statystyczny obywatel połowę dorosłego życia spędza w miejscu pracy, umowa etatowa zakłada, że przez osiem godzin dziennie oddaje swój czas pracodawcy, zaś wedle nowoczesnych korpotrendów czyni to w otwartej przestrzeni biurowej, ze wszystkich stron otoczony swoimi współtowarzyszami doli robotycznej. Wiedziałem o tym mniej więcej tyle, ile szeregowy mieszczuch o życiu w lesie. Dopiero spoglądając na tych kilkadziesiąt rozklikanych monad przy komputerach, zrozumiałem, że zaiste mamy tu do czynienia z „zasobami ludzkimi”. To określenie wydawało mi się od zawsze skrajnie niefortunne i dehumanizujące. Jako pasjonat speleologii nigdy dotąd nie miałem problemów z klaustrofobią, ale biurowy open space ją we mnie zbudził – jeśli miałem niejake wątpliwości, czy lepiej klepać biedę

Co gorsza, wedle badań socjologów „wymieniają brak dostępu do przystępnych cenowo usług w zakresie zdrowia psychicznego jako jedną z głównych barier dla ich dobrego samopoczucia. Stygmatyzacja związana z zaburzeniami psychicznymi i zaburzeniami związanymi z używaniem substancji psychoaktywnych oraz brak wsparcia ze strony rodziny mogą stanowić barierę w dostępie do opieki psychiatrycznej. 27% osób w wieku od 18 do 24 lat korzysta z ubezpieczenia rodziców lub szkoły. Pokolenie Z częściej zgłasza leczenie lub diagnozę choroby psychicznej, ale także najczęściej zgłasza, że nie stać ich na usługi w zakresie zdrowia psychicznego”. Być może to efekt wchodzenia na rynek pracy w warunkach pandemii, realnej wojny za wschodnią granicą i symbolicznej wojny domowej toczącej się za rządów PiS – na spolaryzowanej scenie politycznej toczy się propagandowa rzeź na hejt i dezinformację, młodzi ludzie wzrastają więc w atmosferze odgórnie podsycanej przemocy i wobec tego toksycznego koktajlu obiektywnych zagrożeń mają prawo odchodzić od zmysłów. Adam Leszczyński rozpisał niedawno wśród swoich studentów ankietę pod hasłem „Co ci się najbardziej kojarzy z byciem cringe’owym?”. Młode zetki wymieniały ileś zjawisk, począwszy od inwestowania w kryptowaluty, przez Esmeraldę Godlewską i Andrzeja Dudę, aż po pokolenie 40+ w internecie, humor milenialsów, humor boomerski oraz osoby dorosłe chcące się dopasować do kultury młodych. Można z tego wywnioskować, że zetki mają poważne ageistowskie uprzedzenia i trudno im się dziwić – dorośli kiepsko urządzili sobie świat, nie ma ich za co szanować.

Mafia, seks i honor

Gdy mężczyźni mafii siedzą w więzieniu, ich żonom i dziewczynom nie wolno się malować ani farbować włosów

Barbie Latza Nadeau

Bestsellerowa powieść Maria Puza z 1969 r., „Ojciec Chrzestny”, dała kanapowym fanom życia przestępczego i miłośnikom mafii zezwolenie na gloryfikację tej organizacji przy jednoczesnej próbie analizy, jak rzeczywistość wygląda życie w tym śmiertelnie groźnym półświatku. Puzo, który zmarł w 1999 r., często upierał się, że stworzony przez niego obraz sycylijskiej cosa nostra był „czysto fikcyjny”, a odtwarzając zdumiewająco wiernie realia, nie korzystał z żadnej pomocy „z wewnątrz”. Większość ludzi, którzy znają historię prawdziwej mafii, nie ma wątpliwości, że w ten sposób chronił swoje źródła i, najprawdopodobniej, własną skórę.

Większość z tego, o czym pisał (i co pomógł ożywić Francisowi Fordowi Coppoli w jego filmach), brzmi boleśnie prawdziwie, zwłaszcza to, jak sportretował kobiety: konserwatywne i w pewien sposób interesowne. Trylogia trafnie pokazuje, co wolno było kobietom w tamtych czasach, ale wiele późniejszych filmów zupełnie rozminęło się z rzeczywistością.

Jedną z najbardziej zafałszowanych cech kobiet mafii jest ich rozwiązłość. Zwykle przedstawia się żony i dziewczyny członków mafii jako prowokacyjnie ubrane, rażąco prostackie kobiety, jak dziwaczna bohaterka grana przez Michelle Pfeiffer w „Poślubionej mafii” czy żony i kochanki w „Chłopcach z ferajny”. Czego nie można powiedzieć o postaci Carmeli Soprano, która jest zwyczajną gospodynią z przedmieść New Jersey.

W rzeczywistości kobiety mafii podążają za tą samą modą, która obowiązuje w normalnym świecie, z jednym wyjątkiem: odbywając żałobę po mężu, ojcu lub bracie, pod czarny strój

– zwyczajowo noszony również przez kobiety spoza kręgu kultury przestępczej – wkładają czerwoną bieliznę.

W czasie żałoby nawet starsze kobiety mafii, które już nie tolerują drapiących koronkowych stringów i staników typu push-up, zmieniają codzienną bieliznę na czerwone sznu-reczki i gorsety. Nie jest to jednak manifestacja seksualności, jak sądziłam, gdy pierwszy raz zobaczyłam czerwony komplet na wystawie neapolitańskiego sklepu. Kobiety nie wkładają takiej bielizny, by kusić mężów lub kochanków. Zgodnie z wieloletnią tradycją jest ona symbolem obietnicy dokonania zemsty za zmarłych mężczyzn, przysięgą w kolorze krwi. (...)

Gdy mężczyźni mafii siedzą w więzieniu, ich żonom i dziewczynom nie wolno się malować ani nawet farbować włosów. Podobno wymaga się od nich, by nosiły niemodne ubrania, żeby nie sprawiały wrażenia, że stroją się dla innego mężczyzny lub interesują się kimkolwiek innym niż osadzony partner. Każde odstępstwo

podobno są dużo mniej wybredne w doborze kochanków. Roberto Saviano, który mówi, że obraz życia wewnątrz neapolitańskiej camorry, jaki przedstawił w książce „Gomorra” – oparty na informacjach pochodzących od członków klanów, do których dotarł – powieli mity dotyczące seksualności kobiet i przestępczości zorganizowanej.

Saviano uparcie twierdzi, że mafia nie rozwija się razem z resztą Zachodu, a już na pewno nie na tyle, by uznać kobiecą seksualność za siłę lub zaletę. Uważa, że w zorganizowanych grupach przestępczych nadal obowiązują surowe nakazy Kościoła katolickiego, których przestrzega tak wiele mafijnych rodzin.

Rozmawiałam jednak z wieloma kobietami, które żyją i działają na różnych poziomach przestępczości zorganizowanej – od przestępczyń i informaterek po oskarżycielki i badaczki – i mogę stwierdzić, że chociaż mężczyźni mafii lubią się żenić z niedoświadczonymi kobietami, to mit

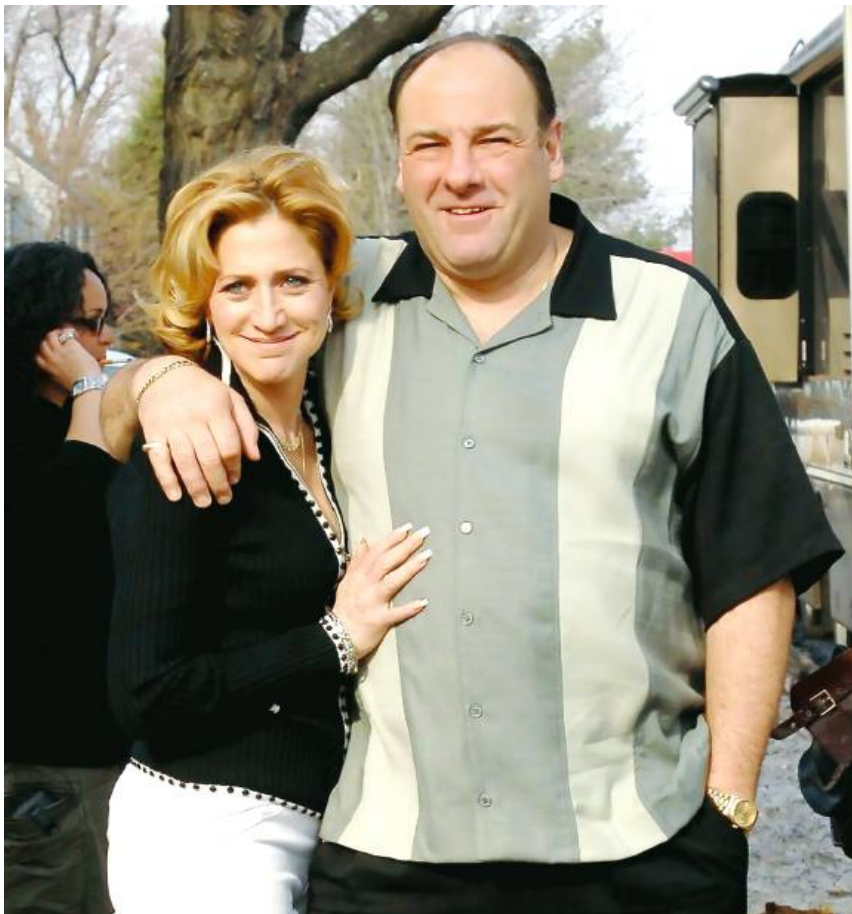
Jedną z najbardziej zafałszowanych cech kobiet mafii jest ich rozwiązłość.

uznawane jest za zdradę i zasługuje na karę śmierci, wymierzaną przez członków rodziny, którzy w imieniu osadzonego męża kontrolują żonę. Te zasady są ściśle przestrzegane w Kalabrii i w dużej mierze na Sycylii, ale kobiety camorry są o wiele bardziej wyzwolone i niezależne i często stroją się, nawet jeśli ich mężczyźni pozostają za kratami.

Nie wszystkie zwyczaje członków mafii wytrzymały próbę czasu. Nadal mówi się, że we wszystkich syndykatach mężczyźni mafii wolą się żenić z dziewczynami, które znają od dzieciństwa, lub z wdowami po zmarłych współpracownikach, chociaż te

dziewicy jest przestarzały. Świadomość, że w fantazjach seksualnych ich kobiet przewija się wspomnienie innego – żyjącego – mężczyzny, przewyższającego ich umiejętnościami lub hojniej obdarowanego przez naturę, dla wielu może być trudna do zaakceptowania. Ale w obecnych czasach znalezienie dziewczyny ani nie jest łatwe, ani nie wydaje się potrzebne.

Bez względu na to, czy kobieta jest dziewicą, czy nie, większość mężczyzn mafii wybiera żonę albo ze swojego klanu, albo z rodziny o tej samej lub wyższej pozycji. Praktycznie nie słyszy się, żeby członek jednej grupy mafijnej wziął ślub z osobą z innego



Kadr z serialu „Rodzina Soprano”.

syndykatu – chyba że małżeństwo stanowi element negocjacji dotyczących zawarcia pokoju lub strategii poszerzania terytorium wpływów. Wówczas niezwykle ważne jest, by młode kobiety w rodzinach mafijnych nie podążały za głosem serca. (...)

Jak wiele innych restrykcji, które ograniczają życie młodych kobiet w mafii, ochrona przed spontaniczną miłością należy do obowiązków rodziny dziewczyny, głównie matki, która niezmordowanie wygłasza kazania na temat moralnego obowiązku zachowania „dobrej” reputacji rodziny poprzez unikanie niezaakceptowanych związków i wpaja córce, że krew i chaos, nierozzerwalnie związane z życiem rodziny mafijnej, są moralnie dopuszczalne.

Na straży niewinności córek stoją również mafijni ojcowie, chcący zachować je dla odpowiedniego mężczyzny, którego wybiorą sami lub z pomocą rodziny. Wiele córek mafii spotkała śmierć za to, że ośmieliły się same wybrać sobie partnerów.

(...) Największa sprzeczność polega na tym, że synowie mafii mogą robić, co im się żywnie podoba. Młody mężczyzna może mieć tyle kochanek, ile zapragnie, zarówno przed zawarciem małżeństwa, jak i potem. Dziennikarz piszący na temat mafii powiedział mi kiedyś, że młode żony camorry i 'ndranghety nalegają, żeby ich mężowie wybierali zagraniczne kochanki – najlepiej Rosjanki, Mołdawianki lub Polki – ponieważ Włoszki mogą być powiązane z innym klanem lub w jakiś sposób przyczynić się do powstania komplikacji w szerszej społeczności przestępczej. Kobiety z zagranicy nigdy nie będą stanowiły dla mafijnych żon prawdziwej konkurencji, wyjaśnił, ponieważ są postrzegane jako niższa klasa społeczna i żaden prawdziwy mafioso nigdy nie splamiłby czystości rodowodu domieszką innej etnicznie krwi.

Kiedyś przeprowadziłam wywiad z kobietą 'ndranghety, która została kochanką kogoś „niezaaprobowanego” przez starszego mężczyznę z jej

rodziny i musiała ponieść za to karę, jaka jest przewidziana za tego rodzaju występki. Kobieta, którą nazwę Monica, spotkała się ze mną w bezpiecznym domu w Rzymie. Założono jej mnóstwo szwów po wyjątkowo brutalnym gwałcie zbiorowym. Ramiona Moniki pokrywały blizny w różnych odcieniach różu – zapewne przez długi czas była przypalana papierosami. Została przyłapana na romansie z największym wrogiem męża, podczas gdy ten siedział w więzieniu. Monica powiedziała mi wprost, że zasłużyła na to, co ją spotkało, i z perspektywy czasu zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie kochanek wykorzystał ją, by zhańbić jej męża. Taki brak poczucia własnej wartości jest powszechny nie tylko wśród kobiet mafii, ale także wśród wielu Włosek, które są strofowane, lekceważone i sprowadzane do roli obiektów seksualnych. To żadna tajemnica, że *machismo* jest obecne we Włoszech od pokoleń, ponieważ mężczyznom pokazuje się tam w mediach absurdalny portret kobiet. (...)

Największym źródłem seksizmu we włoskich mediach jest koncern telewizyjny należący do byłego premiera Silvia Berlusconi. W 2010 r. napisałam artykuł do „Newsweeka” na temat „problemu z kobietami” Berlusconi i o tym, że ze względu na sposób, w jaki przedstawiane są kobiety, Włochy plasują się na fatalnym miejscu w Global Gender Gap Report (raporcie na temat równości płci w minionym roku), opublikowanym przez Światowe Forum Ekonomiczne. Zaczęłam artykuł od opisu słynnego włoskiego programu telewizyjnego „Striscia la Notizia”. Prowadzi go dwóch mężczyzn, którzy poruszają poważne tematy, np. przeprowadzają wywiady z kryminalistami, ukazując funkcjonowanie przestępczości zorganizowanej lub demaskują korupcję w kraju. Prezenterom zawsze jednak towarzyszą dwie kobiety – blondynka i brunetka – których jedynym zadaniem jest bycie sexy. Napisałam w artykule, że program ich nie potrzebuje. Temat stał się głośny i podjęła go włoska prasa. Przez chwilę myślałam, że rozpoczęłam dyskusję, która może nawet coś zmienić. Byłam naiwna.

Pewnego wieczoru przygotowywałam w domu kolację dla synów, ►

► kiedy do moich drzwi zapukało dwóch umundurowanych policjantów z elitarnego Korpusu Karabinierów. Dostarczyli mi wezwanie do stawienia się przed sądem za zniesławienie Berlusconiego i twórców programu – była to odpowiedź na mój artykuł. (...) Rzekomo popełniłam błąd, który mógł mnie kosztować trzy lata więzienia, ponieważ we Włoszech zniesławienie jest karane pozbawieniem wolności. „Newsweek” zatrudnił adwokatów, zawarto ugodę poza sądem, a magazyn opublikował dosyć komiczny list jednego z producentów programu na temat tego, jak bardzo szanują kobiety. Dla mnie była to nie tyle lekcja, ile ostrzeżenie,

sobie sama. Dopiero po wielu latach zrozumiałam, że Monica po prostu nie wierzyła, że organa porządku publicznego będą w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo lub okazać się wystarczająco silne – i zdeterminowane – by przeciwstawić się organizacji przestępczej. Nie mam pojęcia, czy nadal żyje ani ile musiała poświęcić, by wrócić do rodziny, ale nie wykluczam, że ceną był kolejny gwałt. (...)

Gwałt jest również wykorzystywany jako kara wobec mężczyzn, którzy okazują się homoseksualistami, co jest niedopuszczalne – w teorii, ale nie zawsze w praktyce – w większości włoskich syndykatów przestępczych (i tu znowu neapolitańska

Na Sycylii nie tylko homoseksualiści są wykluczani; jeśli w rodzinie aspirującego do mafii jest gej, żaden jej członek nie może dołączyć do cosa nostry. To samo dotyczy kandydatów, których rodzice są rozwiedzeni. (...)

Niektórzy szefowie z mafii do dziś zachowują się za dnia jak porządni katolicy – cytują Biblię i wydają sądy – a w nocy dokonują krwawych zbrodni lub sprzedają narkotyki, które zabijają tysiące ludzi. Wsypują pieniądze do kościelnej kasy i przestrzegają nakazów Dekalogu, najwidoczniej z wyjątkiem „nie kradnij”, „nie zabijaj” i „nie cudzołóż”. W zamian dostają Boże błogosławieństwo od lokalnych księży, którzy chrzczą ich dzieci, modlą się na ich pogrzebach i odpuszczają im grzechy. Przeprowadzałam kiedyś wywiad z księdzem z zupełnie zapomnianego przez Boga Castel Volturno, gdzie camorra i mafia nigeryjska popełniają jedno z najgorszych przestępstw w całych Włoszech. Nadmorskie miasto zostało wyeksploatowane przez popieraną przez camorę rodzinę Coppola, próbującą po II wojnie światowej zrobić z niego włoskie Miami Beach. Szkielety wieżowców, najpierw skonfiskowanych, a potem porzuconych, stały się centrum nigeryjskiego handlu kobietami i heroiną.

Ksiądz, który zgłosił się na ochotnika do pomocy w organizacji próbującej zabierać sprzedawane Nigeryjki z ulicy, starał się jak najlepiej wytłumaczyć mi skomplikowane relacje łączące Kościół katolicki z grupami mafijnymi w południowych Włoszech. Jego zdaniem obie strony otrzymywały coś, czego nikt inny nie mógł im dać: mafiosi przebaczenie za wszystkie grzechy, a Kościół pieniądze, często splamione ludzką krwią.

„To delikatna równowaga – przyznał. – Wymaga głębokiego zastanowienia”. Pod koniec 2019 roku ksiądz został aresztowany za wspieranie prostytucji i nakłanianie do uprawiania nierządu; wymierzono mu karę suspensy. (...)

Wiele córek mafii spotkała śmierć za to, że ośmieliły się same wybrać sobie partnerów.

że wolność prasy w tym kraju, zwłaszcza w kwestii traktowania kobiet, znajduje się pod pełną kontrolą „nadrzędnych” mężczyzn. Cały epizod był równie szokujący, co przerażający.

Mniej więcej w tamtym czasie poznałam Monicę. Była podopieczną organizacji pomagającej ofiarom brutalnej przemocy domowej – gwałtu dokonali członkowie jej rodziny. Miałam zamiar opisać historie ekstremalnej przemocy seksualnej wobec kobiet, żeby przedstawić nie tylko brak równości w tym kraju, ale też niewydolność struktur państwowych, które nie potrafiły tego stanu zmienić. Dowiedziałam się od Moniki, że problem często leży w postawie samych kobiet i ich miejscu w społeczeństwie. „Byłam słaba i myślałam, że mogę po prostu mieć romans, tak jak mój mąż, zanim poszedł do więzienia”, wyznała mi. Zaszokowało mnie, że jeszcze nie podjęła decyzji, czy dostarczy dowodów przeciwko swojej rodzinie, czy tylko przez jakiś czas pozostanie z dala od domu, dopóki nie będzie mogła wynegocjować możliwości powrotu, co, jak się później dowiedziałam, ostatecznie zrobiła.

Gdyby złożyła zeznania, zostałaaby objęta włoskim programem ochrony świadków i rozpoczęłaby nowe życie. Gdyby nie zeznawała, w końcu zostałaby zwolniona i musiałaby radzić

camorra okazuje się najbardziej liberalna). W obecności wielu starszych mafiosów nie wolno nawet wymawiać słowa *omosessuale* (homoseksualny), jak gdyby samo usunięcie tego określenia ze słownika sprawiło, że pociąg do tej samej płci przestanie istnieć.

W 2007 r. 20-letni homoseksualista, odbywający karę za przestępstwa powiązane z mafią w więzieniu Piazzza Lanza w Katanii na Sycylii, został tak brutalnie zgwałcony przez ośmiu więźniów z cosa nostry, że trzeba mu było założyć na odbyty szwy. Jego prawnik, Antonio Fiumefreddo, powiedział mi podczas wywiadu, że wielu bossów jest gejami, ale nigdy by się do tego nie przyznali. „Mój klient był uczciwy i poniósł za to karę – dodał. – Pozostali prowadzą podwójne życie, dopóki nie zostaną przyłapani”.

Jest wiele podobnych przykładów przerażającej, a nawet śmiertelnej w skutkach homofobii. Pewien więzień z camorry, odbywający karę w więzieniu Santa Maria Capua Vetere w Neapolu, został powieszony na spacerniaku, ponieważ osadzonemu z celi obok wydawało się, że słyszał, jak mężczyzna uprawia seks oralny z dzielącym z nim celę Tunezyjczykiem.



Barbie Latza Nadeau, *Matki chrzestne. Kobiety mafii, które sięgnęły po władzę*, przeł. Xenia Wiśniewska, Albatros, Warszawa 2023



Dorsz, jak na symbol narodowy przystało, doczekał się muzeum w Lizbonie.

Bacalhau – symbol Portugalii

Niektórzy jedzą dorsza codziennie od ponad 30 lat

Tomasz Skowronek

Przemierzając strome, brukowane uliczki Lizbony czy spacerując wzdłuż rzeki Douro w Porto, stołując się zarówno w eleganckich, jak i podrzędnych knajpach w Algarve czy w studenckich jadłodajniach w Coimbrze, zawsze gdzieś natrafimy na dorsza. Znajdziemy go w curry lub sałatkach, serwowanego w cieście lub mleku, podawanego w całości, w płatach lub w formie przekąskowych krokietów *pastéis*. Innym razem będzie gulgotą w śmietanie, ułożony warstwami między smażonymi ziemniakami a pokrojoną w plasterki cebulą, doprawiony gałką muszkatołową.

Dorsz prosto ze ściany

W supermarketach na pewno możemy go znaleźć w lodówkach – zamrożonego, niesolonego i gotowego do ugotowania, lecz w małych

sklepikach dorsz wisi na ścianach bądź jest układany na blatach, przez co wokół roznosi się charakterystyczny zapach. Nie dajcie mu się zaskoczyć! Niezależnie bowiem od tego, w którym zakątku Portugalii wylądujemy, zawsze znajdzie się tam miejsce sprzedaży solonego dorsza, zwanego *bacalhau*. Wszystko dlatego, że jest to najpopularniejsza potrawa Portugalczyków.

„Dorsz jest zdecydowanie pierwszym symbolem naszej tożsamości narodowej. Wpływa to na sposób, w jaki obcokrajowcy nas widzą i identyfikują”, tłumaczy Álvaro Garrido, profesor na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu w Coimbrze, autor książki „Epopeja dorsza”.

W portugalskim menu niemal zawsze znajdziemy ryby. Widać to również w statystykach. W Unii Europejskiej nikt nie konsumuje tak dużo ryb jak Portugalczycy. Według „Diário de Notícias” roczne spożycie ryb na mieszkańca kraju

wynosi ok. 55-57 kg, co daje Portugalii trzecie miejsce na świecie, za Islandią i Japonią.

Kraj żeglarzy i rybaków

Poniekąd nie ma co się dziwić. Portugalia od zawsze była mocno związana z morzem. Przez wieki wysyłała swoich ludzi na dalekie rejsy po nieznanych wodach: od słynnych odkrywców, takich jak Ferdynand Magellan i Vasco da Gama, po zwykłych rybaków. W kraju istnieje kilka instytucji szkolnictwa zawodowego i wyższego zajmujących się nauczaniem biologii morskiej, oceanografii i ogólnie nauk o morzu oraz rybołówstwa. To ostatnie jest tu od wieków główną działalnością gospodarczą, a rybna tradycja jest naprawdę długa.

„Ryby są podstawą handlu i diety tego regionu od czasów rzymskich. To powszechnie dostępne zdrowe źródło białka i minerałów, no i są ▶

► bardzo smaczne”, wyjaśnia Nuno Rocha, dyrektor sprzedaży w fabryce konserw Pinhais.

Symbolami kuchni portugalskiej są dwie ryby. Pierwsza to sardynka – jeden ze znaków rozpoznawczych Lizbony i motyw przewodni tamtejszych pamiątek. W stolicy Portugalii pełno jest sklepików i straganów specjalizujących się w sardyńskich konserwach. Rybki podawane są w oliwie albo w pomidorach, w warzywach lub z ostrą papryczką, w czosnku i w cytrynie – do wyboru, do koloru, przy czym same etykiety na puszkach to małe arcydzieła.

Dorsza można grillować, gotować na parze, piec, smażyć w głębokim tłuszczu, zrobić z niego ciasto, a nawet jeść na surowo po namoczeniu w wodzie.

Drugą rybą, konsumowaną jeszcze częściej niż sardynki, jest dorsz. To dlatego, że *bacalhau*, czyli solony dorsz, będący sercem większości regionalnych potraw, głęboko wpisuje się w kulinarną tożsamość Portugalii. Kraj ten konsumuje aż 20% światowej podaży tej ryby.

Dorsz stał się podstawowym pożywieniem portugalskich żeglarzy i odkrywców nie tylko ze względu na wartości odżywcze, ale także dlatego, że był czymś, co mogli jeść podczas długich wypraw przez Ocean Atlantycki. Po wysuszeniu i zasoleniu *bacalhau* można przechowywać ponad rok bez konieczności umieszczania go w chłodzie. Oznaczało to, że żeglarze mogli wypływać znacznie dalej bez obawy, że zabraknie im jedzenia.

Gość z północy

W żadnym innym kraju dorsz nie cieszy się tak dużą popularnością jak w Portugalii. Co jednak ciekawe, o ile sardynki są łowione na portugalskich wodach, o tyle ta ryba nigdy w nich nie występowała. „Jest to zjawisko kulturowej nacjonalizacji, które można wytłumaczyć dwoma czynnikami. Po pierwsze, przez katolickie zalecenia dotyczące postu i wstrzemięźliwości. Dobrą odpowiedzią na nie było spożywanie dorsza. Po drugie,

stanowi tradycję kulinarną napędzaną przez angielski biznes – import dorsza”, wyjaśnia prof. Garrido.

Ta duża ryba może ważyć aż do 40 kg. Lubi chłodniejsze wody, m.in. północnej części Oceanu Atlantyckiego, Pacyfiku czy mórz północnej Europy. Nie ma dokładnych zapisów historycznych wskazujących, kiedy ludzie zaczęli jeść dorsze, ale wiemy na pewno, że już ok. IX w. wikingowie polegali na tej rybie podczas swoich morskich podróży. Chociaż dorsze można było łowić z pokładu ich statków podczas wypraw, wikingowie już wcześniej chętnie

konserwowali ryby, aby mieć zagwarantowaną żywność na dłuższy czas. W przeciwieństwie jednak do Portugalczyków wikingowie nie używali soli. Ryby były po prostu rozcinane, pozbawiane kości i pozostawiane do wyschnięcia na słońcu na drewnianych stojakach lub na skałach przy brzegu.

Pierwsze ślady związane z poławianiem dorszy w Portugalii oraz ich soleniem pochodzą z XIV w. W średniowieczu sól była bowiem dobrem, które Portugalczycy wykorzystywali jako walutę w handlu z krajami nordyckimi, skąd importowali dorsze, eksportując w zamian sól.

W połowie XVI w. Portugalczycy odkryli też bogate w dorsza wody wokół Kanady i Grenlandii. Jednak szybko portugalscy rybacy zostali stamtąd wyparci przez Francuzów i Anglików. W następnych stuleciach Portugalia, jak wspominał prof. Garrido, stała się silnie uzależniona od Anglii jako głównego eksportera dorsza, a do XIX w. ryba ta była dobrem luksusowym, którym mogła się cieszyć jedynie arystokracja.

Kampania dorszowa

W XX w., w szczytowym okresie dyktatury Antónia Salazara, rząd sponsorował wyprawy rybackie w ramach tzw. kampanii dorszowej,

której celem było zwiększenie krajowych zdolności produkcyjnych i zmniejszenie zależności od importerów dorsza. Dzięki temu spożycie tej ryby wzrosło trzykrotnie. Ze względu na zbyt drogie mięso i problemy z zaopatrzeniem w świeże ryby w głębi kraju dorsz stał się głównym pożywieniem Portugalczyków.

W 1937 r. poławiacze dorszy, znani jako *bacalhoeiros*, zorganizowali historyczny strajk, który doprowadził do ustanowienia lepiej zdefiniowanych zasad dla tego sektora, a także wprowadzenia środków ochronnych dla pracujących w nim osób. Całą kampanię dorszową kontrolowało państwo, które ustalało ceny, gwarantowało tanią i zdyscyplinowaną siłę roboczą (poprzez rekrutację w tzw. domach rybackich), zapewniało tanie finansowanie statkom i armatorom oraz warunkowało import. W 1942 r. wdrożono program odnowy floty dorszowej, która zwiększyła się z 34 statków w 1934 r. do 77 w roku 1958. Tym samym w ciągu zaledwie kilku dekad doprowadzono do tego, że ponad 80% zjadanych w Portugalii dorszy pochodziło z produkcji krajowej.

Bycie *bacalhoeiro* było tak ważne dla Portugalii, że mężczyzn tych uważano za bohaterów na skalę krajową, spadkobierców wcześniejszych odkrywców, byli nawet zwolnieni z obowiązkowej służby wojskowej. Jednak bycie *bacalhoeiro* oznaczało również ciężkie i ryzykowne życie. Chociaż na wyprawy wypływano na dużych statkach, sam połów odbywał się z małych łodzi o niewielkim zanurzeniu, zwanych właśnie *bacalhoeiro*, z których rybacy indywidualnie łowili na wędkę kilka ryb, po czym wracali na główną łódź, by je sprawić i zasolić.

Dzięki zachętom reżimu i ofiarnej pracy tych ludzi Portugalia stała się światowym liderem w produkcji solonego dorsza. Wyprawy portugalskich rybaków do Kanady zakończyły się po rewolucji goździków w 1974 r. i upadku dyktatury. W tym czasie pojawiło się zjawisko przeładowania, czyli nadmiernej eksploatacji morskich zasobów, na skutek czego na różnych akwenach wprowadza się zakazy połowu dorsza. Mimo to

nawyki żywieniowe Portugalczyków się nie zmieniły.

Ulubione danie Ronalda

Obecnie iberyjskie państwo importuje ok. 70% swojego dorsza z Norwegii, a Norweska Rada ds. Owoców Morza opisuje Portugalię jako „zdecydowanie największy rynek norweskiego dorsza”. Dodaje też, że ze 100 tys. ton norweskich ryb eksportowanych rocznie do Portugalii aż 95% jest solone.

Przysmak ten jest tak ważny dla portugalskich serc i żołądków, że mówi się, iż „istnieje 365 sposobów na przygotowanie solonego dorsza, po jednym na każdy dzień w roku”. Jedną z najśłynniejszych potraw jest *bacalhau à Brás*, składająca się z dorsza, ziemniaków, jajek i cebuli z dodatkiem oliwek. Uchodzi za posiłek, który ma wzmocnić Portugalczyka i utrzymać go przy życiu przez cały dzień.

Bacalhau było czymś do pożerania w domu: kawałki ryby polane oliwą z oliwek.

Legenda głosi, że potrawa została wynaleziona w *tasca* (rodzaju pubu) w Bairro Alto, której właścicielem był niejaki Braz (w czasach nowożytnych zmieniono pisownię na Brás), prawdopodobnie członek dużej społeczności, która wyemigrowała do Lizbony z hiszpańskiej Galicji pod koniec XIX w. Daty przybytu geniuszu tamtejszego kucharza nie można dokładnie określić, ale danie to znajduje się w przetomowej książce „*Culinária Portuguesa*”, którą opublikował w 1936 r. António Maria de Oliveira Bello, chociaż w niej nazwane jest po prostu solonym dorszem z jajecznicą.

Jako ciekawostkę podaje się, że jest to ulubione danie Cristiana Ronalda. W wywiadzie dla platformy Binance, udostępnionym w mediach społecznościowych 6 czerwca, najlepszy piłkarz w dziejach Portugalii odpowiada na kilka pytań, z których jedno dotyczy jego ulubionego dania. „Nie mam ulubionego, ale wspomnę o jednym, które lubię – jest to *bacalhau à Brás*”, powiedział. Dodał

też, że „ludzie powinni korzystać z Google’a, aby nauczyć się tej portugalskiej potrawy”. Polska restauratorka Magda Gessler pisała kiedyś, że choć danie nie wygląda zjawiskowo, to w smaku jest prawdziwą ambrozją.

Wybierając się dzisiaj do większości restauracji w kraju czy na targowiska, znajdziemy w tam solonego dorsza w takiej czy innej formie. Odgrywa on nawet główną rolę w menu modnej lizbońskiej restauracji Alma, która zdobyła swoją pierwszą gwiazdkę Michelin już po dziewięciu miesiącach od otwarcia (aktualnie ma dwie gwiazdki). Jej popisowym daniem jest właśnie to na bazie *bacalhau*. „Pracuję z dużą dbałością o inspiracje tradycyjną kuchnią portugalską. Portugalia i sama Lizbona to bardzo popularne kierunki turystyczne i uważam, że jeśli odwiedza nas zagraniczny klient, dużo bardziej sensowne jest dla niego spróbowanie dorsza niż np. *ceviche*

czy jakiegokolwiek innego dania, którego może spróbować w każdej europejskiej stolicy”, wyznaje Henrique Sá Pessoa, szef kuchni w tej restauracji, zaznaczając, że dorsza będzie miał zawsze w jadłospisie.

Bacalhau na emigracji

Popularność dorsza dotarła także do krajów, które dawniej były portugalskimi koloniami. Brazylia tylko w okresie wielkanocnym 2019 r. sprowadziła 8,6 tony solonych dorszy. Afrykańska Angola jest natomiast jednym z największych rynków suszonych solonych ryb z Norwegii i importuje rocznie ok. 2 tys. ton solonych dorszy czarniaków (*peixe-makayabu*) i suszonych solonych dorszy atlantyckich (*bacalhau*).

Suszony dorsz przyrządzany jest również przez portugalskich emigrantów. „Dorastałam w rodzinie portugalskich imigrantów w Toronto w latach 70., gdzie kilka razy w tygodniu jedliśmy *bacalhau*. Możesz

nie być podekscytowany pomysłem jedzenia solonego dorsza co drugi dzień, ale dla mojej rodziny było to przypomnienie, skąd pochodzimy. Od czasu do czasu jedliśmy *bacalhau* w portugalskich restauracjach, gdzie przygotowywano je w zapiekance z tartą marchewką i śmietaną, ale nie wydawało mi się to właściwe. *Bacalhau* było czymś do pożerania w domu: kawałki ryby polane oliwą z oliwek z karafki ze sztucznego kryształu, którą moi rodzice uzupełniali z dużej, żółtej puszki”, pisała na łamach „*The Economist*” Isabela Vincent, kanadyjska dziennikarka pochodzenia portugalskiego.

Z kolei portugalski ekspert kulinarny i szef kuchni Leandro Carreira poświęcił temu produktowi ponad 50 przepisów w książce kucharskiej „*Portugal: The Cookbook*”, która ukazała się w ubiegłym roku. W sumie zawiera ona ponad 550 tradycyjnych przepisów z całego kraju. „Gdybym w swojej książce nie uwzględnił solonego dorsza, miałbym duże kłopoty – powiedział BBC Carreira. – Dorsz tak mocno zakorzenił się w naszej kulturze, odkąd tylko zaczął się handel solą, że trudno było wybrać przepisy, które znalazłyby się w książce”.

Carreira został szefem kuchni w The Sea w londyńskim Chelsea, a w 2021 r. otworzył własne delikatesy rybne i bar z owocami morza. „Portugalia jest śpiącym gigantem gastronomii – oceniał. – Jesteśmy jednym z najstarszych narodów na świecie. Mamy wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o jedzenie”.

Ta miłość do solonego dorsza jest wciąż aktualna. „Znam ludzi, którzy codziennie jedzą dorsza od ponad 30 lat”, dodał szef kuchni. Według niego danie to łączy przeszłość z teraźniejszością, a do tego jest praktyczne. „Dorsz to produkt niezwykle elastyczny. Można go grillować, gotować na parze, piec, smażyć w głębokim tłuszczu, można z niego zrobić ciasto, a nawet jeść na surowo po namoczeniu w wodzie. Jeśli więc połączymy to z jego przystępną ceną i dostępnością, możemy zrozumieć i zobaczyć, dlaczego wciąż jest tak popularny”.

Tomasz Skowronek



Otwock, ulica Kościuszki

ŚWIDERMAJER

„Te wille, jak wójt podaje, są w stylu »świdermajer«. One stoją wśród sosen jak upiory w przedpieklu i mówią smutnym głosem o radościach fin de siècle’u”. Tym sposobem w wierszu „Wycieczka do Świdra” Konstanty Ildefons Gałczyński wprowadził wymyślone przez siebie żartobliwe określenie, które już na stałe przyłgnęło do wili i pensjonatów wybudowanych w drugiej połowie XIX w. wzdłuż linii otwockiej Kolei Nadwiślańskiej. Twórcą

świdermajera był Michał Elwiro Andriolli (1836-1893), polski malarz, rysownik, ilustrator, mąż rzeźbiarki Natalii Andriolli z d. Tarnowskiej. Stworzony przez niego styl był wypadkową tradycyjnego drewnianego budownictwa mazowieckiego oraz architektury alpejskiej i rosyjskich dacz, z których zaczerpnięto ażurowe zdobienia werand i przedsionków.

Fot. Krzysztof Żuczkowski



Otwock-Świder, ulica Pogodna



Otwock-Świder, ulica Adama Mickiewicza



Otwork, restauracja Nowy Gurewicz, mieszcząca się w zabytkowym pensjonacie Abrama Gurewicza



Otwork-Świder, ulica Zaciszna



Otwork-Świder, ulica Tysiąclecia

Arterra

— jak żyć razem

Ekowioski mogą być skuteczną odpowiedzią na problemy współczesnego świata

Anna Książek

Arterra Bizimodu, położona w Kraju Basków na północy Hiszpanii, nie wygląda jak typowa ekowioska. Nie ma tu osobnych, ekologicznie wybudowanych domów. Jest ogromny budynek, w którym wcześniej mieściły się kolejno seminarium, szkoła i luksusowy hotel. Do dziś przy przekopywaniu ogrodu znaleźć można piłeczki golfowe. Mieszka tu obecnie ok. 40 osób, w tym kilkoro dzieci. Mniej więcej połowa to stali członkowie i członkinie społeczności, reszta to międzynarodowi wolontariusze i wolontariuszki oraz osoby w okresie próbnym, które chcą się stać pełnoprawnymi *arterranos*. Nie jest to jednak ani krótki, ani łatwy proces – obecnie zajmuje co najmniej półtora roku, a kandydaci i kandydatki przechodzą przez różne etapy, zyskując coraz więcej praw i obowiązków. Okres próbny w ciągu 10 lat istnienia Arterry stopniowo się wydłużał. Potrzeba czasu, by zrozumieć, jak funkcjonuje społeczność, i podjąć świadomą decyzję, czy chcemy być jej częścią.

Na co dzień

Dołączenie do Arterry jest wciąż stosunkowo proste, w porównaniu z innymi dużymi społecznościami z Europy. Nie wymaga inwestowania znaczących sum w kursy przygotowawcze czy wcześniejszy wolontariat. Jedyne koszty wiążą się z wynajęciem apartamentu, jednego



Autorka z mężem Andreą Puccim.
W tle wioska, w której mieści się Arterra Bizimodu.

z kilkudziesięciu dostępnych na miejscu, w cenie znacząco niższej niż rynkowa. Każdy apartament składa się z dwóch-czterech pokoi, kuchni i łazienki, zapewniając całkowitą niezależność tym, którzy jej potrzebują. Do wspólnego użytku są pralnie, dwie duże i dobrze wyposażone kuchnie, dwie sale zabaw dla dzieci, *free shop*, gdzie można za darmo oddać lub wziąć potrzebne ubrania i sprzęty, dwie sale na szkolenia i spotkania, pub, ogromna jadalnia, patio, basen, warsztaty. Oprócz tego członkowie i członkinie społeczności uprawiają własny ogród, mają kilkadziesiąt kur i kilkanaście owiec. Na wynajem apartamentu i inne wydatki każda osoba czy rodzina zarabia samodzielnie. Wiele osób pracuje online dla okolicznych organizacji i firm zajmujących się np. recyklingiem czy ekologiczną energią, inne

prowadzą warsztaty i szkolenia, zarówno dla organizacji, społeczności, jak i samorządu czy biznesu. Jest też osoba, która naprawia windy w pobliskiej Pampelunie, inna pracuje w żłobku w Aoiz, kolejna uczy angielskiego. Arterra wspiera również działania przedsiębiorcze – na miejscu funkcjonuje sporo niewielkich biznesów, np. produkujących ekologiczny chleb i piwo, wydających magazyn o permakulturze czy oferujących pudła z ekologicznymi warzywami mieszkańcom okolicznych miast.

Poza pieniędzmi osoby mieszkające tu w danej chwili inwestują swój czas – oficjalna zasada mówi o 30 godzinach na rzecz społeczności w miesiącu, w praktyce jednak zawsze jest coś do zrobienia, a umiejętność mówienia nie i budowania równowagi między życiem zawodowym, prywatnym i udzielaniem





Arterra Bizimodu to ogromny budynek, w którym wcześniej mieściły się kolejno seminarium, szkoła i luksusowy hotel.

się w społeczności to jedna z pierwszych rzeczy, których trzeba tu się nauczyć. Kolejnymi będą efektywna komunikacja, przyjmowanie i udzielanie informacji zwrotnej oraz podejmowanie decyzji z punktu widzenia grupy, a nie indywidualnego interesu. To te kompetencje są podstawą socjokracji – systemu zarządzania grupami i podejmowania decyzji, który Arterra wybrała jako zasadę funkcjonowania.

Socjokracja

Zarządzanie i podejmowanie decyzji to jedno z głównych wyzwań w wielu społecznościach. Brak odpowiedniej struktury i systemu doprowadził niejedną świetnie zapowiadającą się grupę do rozpadu. Pomysły, jak temu zapobiec, są różne. Większość ekowiosek i społeczności dąży do płaskiej

struktury i wykorzystuje konsensus oraz zgromadzenia wszystkich członków i członkiń jako sposób na zarządzanie i podejmowanie decyzji. Oba wymagają jednak ogromnego zaangażowania czasowego, dużej

Oficjalna zasada mówi o 30 godzinach na rzecz społeczności w miesiącu, w praktyce jednak zawsze jest tu coś do zrobienia.

świadomości czy świetnie rozwiniętych umiejętności komunikacyjnych i łatwo mogą doprowadzić do frustracji lub zablokowania procesu przez jedno weto. Z drugiej strony istnieją grupy oparte na silnym przywództwie guru bądź założyciela albo założycielki, co wiele osób zainteresowanych życiem w społeczności odpycha, trzeba jednak przyznać, że zapewnia szybkość i efektywność w podejmowaniu decyzji,

a także zmniejsza liczbę konfliktów – decydując się dołączyć do danej społeczności, godzę się na zastaną sytuację i wartości, na których grupa się opiera.

Arterra od samego początku postawiła na socjokrację. Socjokracja, stworzona i rozwijana m.in. przez Keesa Boekego, Beatrice Boeke-Cadbury czy Gerarda Endenburga, próbuje odpowiedzieć na wyzwania innych, klasycznych sposobów podejmowania decyzji, takich jak głosowanie większościowe, autokracja czy konsensus. W socjokracji decyzje podejmowane są za pomocą konsentu – czyli wtedy, kiedy nikt nie wnosi sprzeciwu, co znacząco różni się od konsensusu, w którym wszystkie osoby muszą wyrazić zgodę. Praca danej grupy, społeczności, organizacji, szkoły czy firmy opiera się na kręgach – wszystkie zadania wykonywane są przez małe, kilkuosobowe grupy, które mają dużą niezależność w podejmowaniu decyzji dotyczących ich pracy, nawet tych, które potencjalnie wpłyną na całą grupę. Decyzje podejmowane są z myślą o celu danego kręgu czy grupy i nie muszą być najlepsze z możliwych, wystarczy, że są *good enough for now, safe enough to try* (wystarczająco dobre na ten moment, wystarczająco bezpieczne, by spróbować). Socjokracja stawia na elastyczność i efektywność, przy jednoczesnym włączaniu wszystkich w procesy podejmowania decyzji – każda osoba, bez względu na rolę w organizacji, ma takie samo

prawo głosu. Ma też dostęp do wszystkich informacji, w tym do raportów ze spotkań poszczególnych kręgów – obieg informacji, feedback i transparentność to kolejna z podstaw socjokracji. Dobrze prowadzona socjokracja przyczynia się do zwiększenia odpowiedzialności i zaangażowania wszystkich członków i członkiń grupy, potencjalnie przyspiesza proces decyzyjny i przekazuje prawo do decydowania tym, ►

► którzy na danym temacie znają się najlepiej.

Czy to może się udać?

Brzmi to wszystko dość bajkowo, czy może więc się udać? Jak słusznie zauważyła Urszula Jabłońska w książce „Światy wzniesiemy nowe”, za wieloma pięknymi historiami komun i społeczności kryje się mniej kolorowa rzeczywistość. Już życie w związku czy rodzinie dalekie jest od ideałów tworzonych przez romantyczne książki i filmy, a co dopiero życie w grupie składającej się z kilku, kilkudziesięciu, a w niektórych przypadkach nawet kilkuset osób. Do głównych i w miarę uniwersalnych wyzwań, poza wspomnianym zarządzaniem i podejmowaniem decyzji, należą przede wszystkim kwestie finansowe, w tym te związane z własnością, ilością pracy, którą poszczególne osoby gotowe są przeznaczyć na rzecz społeczności, przyjmowanie (i wyrzucanie) osób oraz dzieci.

Zacznijmy od pieniędzy i własności. To, ile realnie kosztuje życie w takiej grupie i skąd jej członkowie i członkinie biorą na to pieniądze, różni się znacząco pomiędzy poszczególnymi ekowioskami. Arterra opiera się na niezależnej ekonomii – każda osoba czy rodzina zarabia na siebie. W Lakabe, ekowiosce oddalonej pół godziny samochodem od Arterry, jednej z najbardziej znanych i najstarszych społeczności w Europie, ekonomia jest wspólna. Społeczność razem zarabia na swoje wydatki poprzez wypiek chleba oraz organizowanie szkoleń i z tych pieniędzy pokrywa wszystkie potrzeby. Nie ma tutaj własności prywatnej. Oczywiście model ten wiąże się z innymi wyzwaniami niż niezależna ekonomia, ma jednak znaczące zalety: cała uwaga skupia się na jednym zadaniu – rozwoju

Członkowie i członkinie społeczności uprawiają własny ogród.

społeczności, podczas gdy osoby zamieszkujące np. Arterrę starają się pogodzić życie zawodowe z życiem społeczności, co nieraz prowadzi do przeciążenia.

Często takie społeczności są zakładane przez jedną osobę albo rodzinę, która kupuje ziemię i zaprasza innych, by dołączyli. Taki model jednak niesie ze sobą sporo trudności. Od samego początku, poprzez własność, istnieje w nim hierarchia – oficjalna lub nie, ale wyczuwalna i dająca jasną odpowiedź, kto w razie konfliktu będzie musiał się wyprowadzić.

Zajmowane społeczności mogą mieć różne cele. Część została stworzona przede wszystkim po to, by dzielić się zasobami, i na tym skupia swoje działania. Inne, jak Arterra, zaangażowane są w projekty i działania społeczne, co znacząco zwiększa ilość pracy. A członkowie i członkinie społeczności niemal zawsze różnią się podejściem i gotowością do wykonywania dużej ilości pracy. Wśród mieszkańców Arterry jest spora grupa osób bardzo zaangażowanych w realizację misji i wizji, wkładająca mnóstwo czasu i energii w rozwój społeczności, i są osoby, które poświęcają dużo czasu i energii, ale nie chcą już więcej. Różnica w zaangażowaniu w oczywisty



Mieszkańcy sami dbają o wystrój wnętrz.

sposób prowadzi do frustracji i konfliktów, które istnieją, od kiedy społeczność została założona. Jedynym wyjściem z tej sytuacji wydaje się ufanie – ufam, że każda osoba daje z siebie tyle, ile może w tym momencie. I nie każda osoba musi odzwierciedlać moją hierarchię wartości.

Zdarza się jednak, że różnice są zbyt duże. Weryfikowanie, kto jest lub może być członkiem czy członkiną społeczności, a kto nie, to jeden z kluczowych procesów. Ekowioski i społeczności, szczególnie te, które zawierają w sobie element duchowości, niejednokrotnie przyciągają ludzi pogubionych życiowo i niestabilnych emocjonalnie. Część pewnie będzie w stanie odnaleźć w społeczności swoją drogę, ale część bez odpowiedniej pracy nad sobą, często wymagającej profesjonalnego wsparcia, może doprowadzić społeczność do upadku. Jak wyłowić takie osoby? Nie jest to proste i nie przez przypadek okres wchodzenia do społeczności trwa od kilku miesięcy do kilku lat i na każdym etapie może zostać przerwany, jeśli okaże się, że dana osoba destabilizuje społeczność, działa





Do wspólnego użytku są m.in. dwie sale na szkolenia i spotkania.

wbrew jej wartościom lub stwarza zagrożenie. W Arterze w zeszłym roku interwencji wymagała obecność jednej z wolontariuszek, która stała się źródłem wielu konfliktów i trudnych emocjonalnie sytuacji. Choć zajęło to kilka miesięcy, Arterra była w stanie pożegnać się z tą osobą i przywrócić równowagę, lecz do dziś wiele osób odczuwa silne emocje na myśl o całej sytuacji.

Ostatnim ze wspomnianych wyzwań są dzieci. Społeczność to wspaniałe miejsce do ich wychowywania – zawsze znajdzie się ktoś, kto na nie spojrzy, pomoże, pobawi się, zajmie, podwiezie do szkoły, nauczy czegoś nowego. Dzieci wychowywane w społeczności są niezwykle samodzielne, otwarte na różnorodność, świadome tego, czego chcą, i pewne siebie. Nie oznacza to, że wszyscy rodzice mają zawsze tę samą wizję tego, jak wychowywać czy edukować dzieci. Dzieci w społeczności spędzają ze sobą mnóstwo czasu i zbyt duże różnice w tym, co im wolno, a czego nie wolno, mogą wprowadzić zamieszanie i frustrację. Proces negocjacji pomiędzy rodzicami, gdzie są granice dla ich dzieci, może być długi i niełatwy, szczególnie jeśli społeczność zdecyduje się na edukację domową czy założenie

alternatywnej szkoły, co wydarzyło się w Arterze na początku jej działania. Z czasem jednak sporo rodzin opuściło społeczność, a te dzieci, które zostały, dołączyły do pobliskich szkół publicznych.

Czy to może się nie udać?

Mimo wszystkich wyzwań i trudności liczba ekowiosek wciąż rośnie. Wiele wchodzi w skład sieci GEN – Global Ecovillage Network (Global-

Okres wchodzenia do społeczności trwa od kilku miesięcy do kilku lat i na każdym etapie może zostać przerwany.

na Sieć Ekowiosek), która prężnie działa w całej Europie, a siedzibę ma właśnie w Arterze. GEN dba o jakość poszczególnych ekowiosek, pomaga rozwijać się nowym, tworzy projekty sprzyjające integracji i wymianie doświadczeń, a raz w roku organizuje Gathering – spotkanie osób zainteresowanych życiem w społeczności i ruchem ekowiosek.

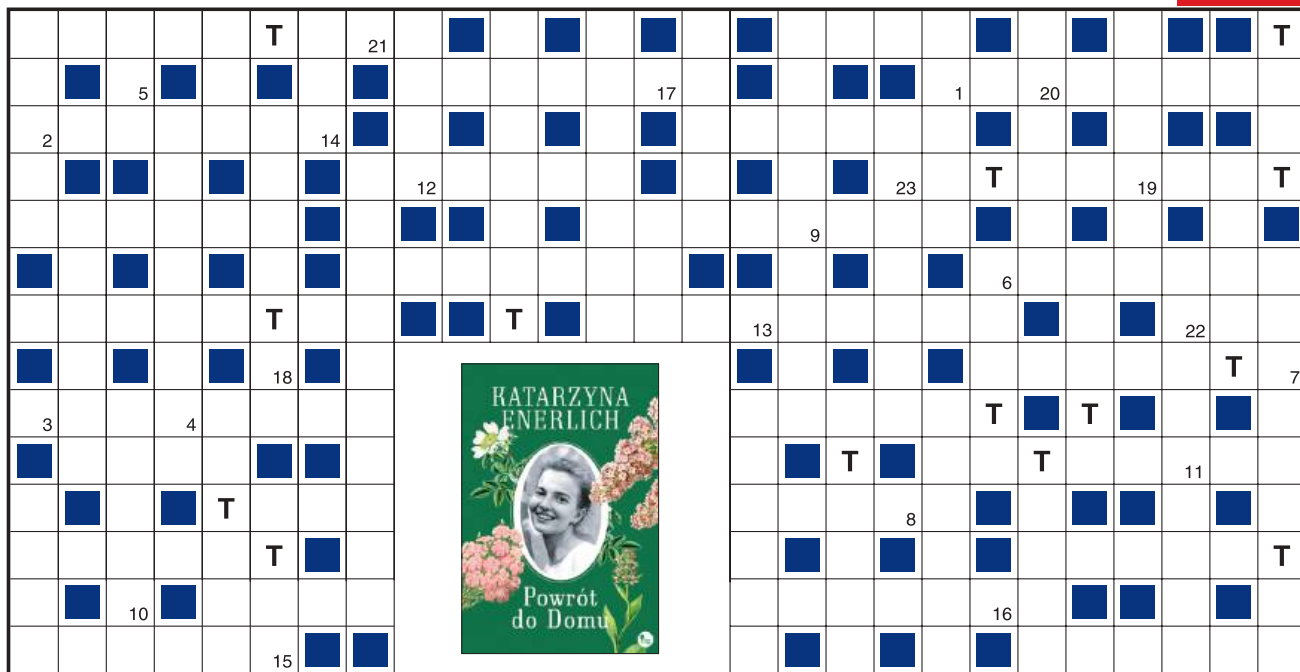
A osób tych jest coraz więcej. Bo czy mimo wszystkich wyzwań życia razem nie jest to jedyna droga do naszej wspólnej przyszłości? Ekowioski i społeczności mogą być

skuteczną, jeśli nie jedyną właśnie odpowiedzią na zmniejszanie się zasobów, nasilanie problemów ze zdrowiem psychicznym wynikające m.in. z osamotnienia, starzenie się społeczeństwa, zmianę klimatu. To ekowioski działają czynnie (i skutecznie) na rzecz zrównoważonych, ekologicznych rozwiązań, jednocześnie zapewniając poczucie przynależności i wzajemne wsparcie osobom, które są ich częścią. Nie przebiega to bez problemów, konfliktów, rozczarowań i dramatycznych błędów, bo wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, w dodatku ludźmi wychowanymi w kulturze stawiającej na indywidualizm, konsumpcję, hierarchiczne struktury.

Zanim nauczymy się czegoś nowego, potrzeba wielu lat, a może i pokoleń, by najpierw oduczyć się tego, co wydaje się nam jedyną możliwą drogą. Zmiana jednak już trwa. I nie musi oznaczać, że teraz wszyscy porzucimy wygodne życie w mieście i zaczniemy wspólnie uprawiać pola na wsi. Może wystarczy zapukać do sąsiadów i sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy? Przygotować wymienialnię na wspólnym parapecie w bloku – każdy może zostawić to, co już mu niepotrzebne, i zabrać to, czego w danej chwili potrzebuje. Zorganizować wspólną podwózkę do szkoły dla dzieci z okolicznych domów. Dodać w pobliskiej bibliotece sekcję wypożyczania zabawek lub narzędzi – czy naprawdę każdy z nas

potrzebuje osobnej wiertarki, skanera, piły, których często używamy zaledwie parę razy w roku? Wszystkie te rzeczy już się dzieją, zmniejszając ilość wykorzystywanych przez nas zasobów i odbudowując więzi społeczne. Pojedyncze inicjatywy jednak nie wystarczą. Jak ty możesz się zaangażować?

Anna Książek jest podróżniczką, aktywistką, opowiadaczką historii. Od 2015 r. podróżuje dookoła świata, poszukując światozmieniaczy/ek i opisując ich historie. Obecnie przebywa w ekowiosce Arterra Bizimodu na północy Hiszpanii



1 2 3 4 5 6 7 8 9

10 11 12

13 14 15 16 17 18

19 20 21 22 23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- potłuczony alfabet
- niedorzeczność, nonsens
- o gramofonie
- tojad
- odmiana gipsu stosowana w rzeźbiarstwie
- kłopot, kram, trudności
- na niej książka lub myśliwy

- szal lub zapamiętanie się
- dowódca kozacki
- tam w 1768 r. zawiązana konfederacja
- dzielimy z nią Puszczę Białowieską
- nauka o roślinach
- błyszczące drobiny do ozdoby

- placówka badań opinii w skrócie
- rozdęte u niespokojnego konia
- właśnie go wypełniasz
- szczapka
- ...wiadomości dobrego i złego
- standaryzowane elementy do budowy scenografii
- wbicie piłki do bramki
- zaopatrzeniowiec
- siostra Antygony
- dąsalska, grymaśnica
- sos z pomidorów
- ozdobny stolik pod lustro
- czyste... – brak przerw, obciążen
- imię autora „Snów o potęgde”

- ściągnięte brwi, groźna mina
- chodzi z głową w chmurach
- „Policjanci z...”, serial z Donem Johnsonem
- niechętny ludziom bohater Moliera
- warstewka czegoś na powierzchni
- ...wodna – deska do jazdy za motorówką
- kapa na kanapę
- ptak wodny lub dawany do wody
- margines, skraj, krawędź
- skrawek, odcięta reszka
- opony kół pojazdu
- okres ośmiu dni
- taśma wokół czapki, kapelusza
- pianino sterowane przez taśmę perforowaną
- lukrowane serce
- praca autorstwa Świeżego, Starowieyskiego

- można w nie kogoś wyprowadzić
- dawniej fundament, podstawa
- odpakowywany po otrzymaniu
- dłużej klasztoru niż jego
- Lech, Czech i...
- pokaz dla kinomana
- kraina w Szwecji z Malmö i Lund
- zając jak szlachcic z zaścianka
- podrzędna restauracja
- umiejętność zachowania się
- zaloty niektórych ptaków
- wędrowiec, włóczykij
- rodzaj diody pojemnościowej
- ostatnia... to testament
- rodzaj hiszpańskiej opery lub dania
- ani w... – wcale
- składacz w drukarni

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1127”. Do rozlosowania książki „Powrót do Domu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 lipca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1124” z nr. 27: O dobrym prędko się zapomina.
Nagrody otrzymują: Zofia Bartnik z Ryczówka, Daniel Jąłoszewski z Warszawy, Bogdan Kaźmierski z Karbowa.

Chwała Raua

Co potrafią minister Rau i jego ekipa? Ile są warci? Oto osiągnięcia z ostatnich tygodni.

• Szczyt NATO w Wilnie.

Polska zabiegała o jasną deklarację, że Ukraina zostanie do NATO przyjęta i wytyczona będzie ścieżka, która ją do pełnego członkostwa doprowadzi. Bardzo przejmował się tym prezydent Andrzej Duda. Wyszło tak, że w Wilnie przyjęto w tej sprawie ogólną deklarację, taką, jakiej chciały Stany Zjednoczone i Niemcy. Duda mógł udawać, że się cieszy.

• Ambasador Mark Brzezinski.

Polska prawica go nie znosi i najchętniej by się go z kraju pozbyła. Ale rączki ma za krótkie. Za to Mark Brzezinski... Oto jego ostatnie wypowiedzi: „Polsko-amerykańskie relacje są oparte na wspólnie wyznawanych wartościach, takich jak równość, prawa człowieka, praworządność, demokracja. (...) W praktyce oznacza to respektowanie przez oba nasze kraje takich samych zasad przejrzystej konkurencji, zarówno w przypadku konkurencji gospodarczej, jak i przeprowadzenia uczciwych wyborów. Do tego konieczne są wolne media, wspieranie integralności instytucji demokratycznych, utrzymywanie pełnej wolności wypowiedzi i stronięcie od jakiejkolwiek mowy nienawiści”. Jaśniej nie trzeba, prawda?

• Ukraina.

Tu mieliśmy rocznicę Wołynia i pełne upokorzenie, bo nasi sąsiedzi nawet nie zająknęli się, by powiedzieć, kto Polaków mordował, nie i zgody na ekshumacje ciał z dołów śmierci też nie dostaliśmy.

• Niemcy.

Partia rządząca i MSZ miesiącami atakowały Berlin za niedostateczną pomoc dla walczącej Ukrainy. Oskarżano także kanclerza Scholza o prorosyjskie sympatie. Że my za Kijowem, a oni za Moskwą. No to ostatnie tygodnie pokazują, że było to jak kulą w plot.

Zelenski był w Berlinie, spotkał się z prezydentem Frankiem-Walterem Steinmeierem i deklarował: „W najtrudniejszym momencie współczesnej historii Ukrainy Niemcy okazały się prawdziwym przyjacielem i sojusznikiem, na którym można polegać, który w walce o obronę wolności i demokratycznych wartości stoi zdecydowanie po stronie narodu ukraińskiego”. Podziękował też niemieckiemu społeczeństwu za, jak napisał, fantastyczną solidarność. „Danke Deutschland!”, dodał po niemiecku.

• Unia Europejska.

Swego czasu premier Morawiecki obwiesił Polskę plakatami, chwalać się miliardami, które załatwił w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Do tej pory tych pieniędzy nie ma i nadzieje na nie są dość mgliste. A walcząc z Unią, pisowska ekipa naraziła kraj na kary, wynoszą one już ponad 2,5 mld zł. Tyle musimy sobie odjąć. Wiemy, wiemy, UE to domena ministra Szynkowskiego vel Sęka. Ale i MSZ odgrywa tu swoją rolę – jak widać, zupełnie bezproduktywnie.

• Imigranci.

O tym sukcesie już pisaliśmy. W kwietniu minister Rau uroczyście podpisywał w Łodzi umowę o wynajmie powierzchni dla Centrum Decyzji Wizowych i mówił, że docelowo będzie ono zatrudniać 160 osób. Puszyl się, że takie coś organizuje. W swojej Łodzi! Centrum miało rozpatrywać wnioski napływające z 20 państw Azji i wydawać 400 tys. wiz rocznie. Teraz to zostało zatrzymane. Mamy więc dwa pytania. Kto zapłaci choćby za wynajętą już powierzchnię? No i kogo w MSZ obciąża się odpowiedzialnością za „urzędniczą inicjatywę”?

Tak to jest, gdy polityka zagraniczna staje się niewolnikiem partyjnego bełkotu.

Attaché

Reprezentacja Meksyku podczas finałowego występu na pływackich mistrzostwach świata w Fukuoce w Japonii, 18 lipca 2023 r.



PENETRACJE

WOLNA
SOBOTA

ADAM MICHNIK,
REDAKTOR NACZELNY

A co jest dobrego w endecji poza wkładem Dmowskiego w proces odzyskiwania niepodległości?

– Myślenie geopolityczne, analiza sytuacji pod kątem interesów Polski. W tradycji polskiej było pewne napięcie, a mianowicie przeciwstawianie sobie dwóch postaw: praca organiczna kontra powstanie zbrojne. Endecja wymyśliła trzecią drogę: politykę czynną, tzn. rezygnację z koncepcji insurekcyjnej, budowanie szerokiego obozu na rzecz realizacji interesu narodowego. Politykę, która dostosowywała się do okoliczności, stawiała na najbardziej optymalny scenariusz w danym momencie. Jeżeli przeanalizować wszystko, co pisali starzy endecy: Rybarski, Konopczyński, Stroński, Grabski, widać, jakiego formatu to byli ludzie, ile ważnych rzeczy mieli nam do powiedzenia. Kto był konsekwentnym uczniem tej trzeciej drogi endeckiej? Komitet Obrony Robotników!

POLITYKA

MARIUSZ JANICKI,
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Oprócz bezwarunkowego poparcia Kościoła Prawo i Sprawiedliwość liczy też bardzo na referendum w sprawie migrantów. Krąży informacja o tajnym badaniu, według którego zmobilizuje to milion dodatkowych wyborców prawicy. Temu ma służyć referendalne pytanie, które – jeśli utrzyma się wersja podana przez Jarosława Kaczyńskiego – będzie brzmieć: czy akceptujesz politykę rządu, który odrzuca przymusową relokację nielegalnych imigrantów? Ma to związać poglądy elektoratu na kwestię przybywających do Europy cudzoziemców, w domyśle muzułmańskich, z poparciem dla Zjednoczonej Prawicy. Słowem, jeśli odpowiedź w referendum będzie na „tak”, to naturalne się wydaje, aby zarazem zagłosować na partię i rząd, którego politykę się „akceptuje”, i to w tak ważnym aspekcie.

TYGODNIK
POWSZECHNY

MARCIN DUMA,
PREZES IBRiS

Wielu z nas uważa, że musimy przyhamować z rozdawnictwem rozumianym jako zabieranie nam pieniędzy poprzez podatki, by potem je nam oddawać. Zwłaszcza że państwo oddaje tylko część, bo z tej sumy wspiera również takich, którym sami byśmy dać nie chcieli. Coraz więcej Polaków jest zdania, także w elektoracie Prawa i Sprawiedliwości, że państwo zabiera aktywnym i pracowitym, a daje wszystkim, także cwaniakom i nierobom. Gdyby jeszcze to 800+ było obietnicą powrotu na ścieżkę wzrostu kraju, zapowiedzią nowego początku, ale nie – nie wierzymy, że będzie lepiej, co najwyżej dołożą nam do zapomogi, byśmy jakoś przetrwali.

Twoj
STYL

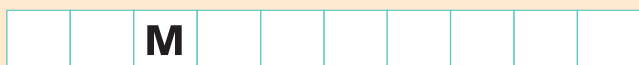
MIROSŁAW BAKA,
AKTOR

Kawa na różne sposoby. Latte macchiato rano, espresso po obiedzie. Piłem kawę parzoną na różne sposoby w Kolumbii, spróbowałem kawy luwak w Indonezji, piłem wietnamską kawę z czekoladą i najsmaczniejsze trzecie parzenie kawy z tygielka u ulicznych sprzedawców w Etiopii. Ale żadna z nich nie dorówna espresso wypitemu w tokańskiej kafejce w przerwie spaceru.



UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



* ujawnia niecelne zamiary

ROZWIĄZANIA: ARTYSTA, MARAKAS, DEMASKATOR



Aby język giętki...

ANNA BIKONT

O WISŁAWIE SZYMBORSKIEJ

Była kompletnie niekonwencjonalna. To, co umiała zmieszać w jednym wątku rozmowy – żart i powaga – było zachwycające.

DANIEL SZCZECURA

O ZBIGNIEWIE CYBULSKIM

Ludzie się w nim zakochali. Wszyscy chcieli z nim wypić. A on był koleżeński.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

O ZBIGNIEWIE GIRZYŃSKIM

Nielojalny nałogowo. Był w grupie połów, którzy kombinowali na rozliczeniach.

KRZYSZTOF SKIBA

O POLITYKACH PIŚ NIE JASNEJ GÓRZE

Zawiódł kostiumolog, bo zarówno Sasin, jak i Kaczyński wystąpili w garniturach, a powinni w bogato złożonych ornatkach.

ANDRZEJ SKWORZ

O DEBACIE POLITYCZNEJ

Nikt już nie chce wiecznego niuansowania, kiedy z drugiej strony jest walenie cieniem w głowę.

NINA KOWALEWSKA-MOTLIK

O PRZESOWANIU HARLEQUINOWI

Dostałam carte blanche i trzy lata na to, żeby zacząć przynosić zyski. Zyski przyniosłam w pierwszym półroczu.

OLAF LUBASZENKO

O WŁADYSŁAWIE ŻMUDZIE

Wybrałem sobie idola, który zupełnie nie był efekciarski, mimo że grał świetnie w piłkę. Był małomówny. Olimpijski spokój.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząka

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

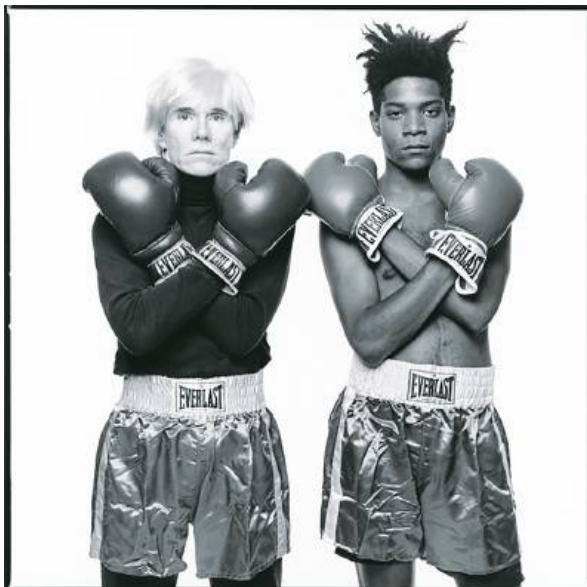




Jean-Michel Basquiat i Andy Warhol, 1984-1985



Jean-Michel Basquiat i Andy Warhol, 6,99, 1984



Michael Halsband, Andy Warhol & Jean-Michel Basquiat
#143 New York City, 10 lipca 1985



Jean-Michel Basquiat, Dos Cabezas, 1982

Basquiat x Warhol Painting 4 Hands

Jedna z najważniejszych wystaw tego sezonu, „Basquiat x Warhol. Malarstwo na cztery ręce”, nie tylko opowiada o współpracy ikon sztuki, ale też przywołuje energię nowojorskiej sceny artystycznej lat 80. Reklamuje ją plakat wykorzystujący zdjęcie obu twórców w strojach bokserów, pochodzące ze słynnej sesji z 1985 r., autorstwa topowego fotografa reklamowego i modowego Michaela Halsbanda. Kiedy Halsband fotografował Warhola i Basquiata w pozach pięściarzy, szykowali się akurat do pierwszej – i za ich życia jedynej – wystawy wspólnie stworzonych prac. Artyści należący obecnie do kanonu sztuki współczesnej w latach 1984-1985 namalowali razem ok. 160 obrazów.

Fundacja Louis Vuitton
Paryż, Bois de Boulogne,
Avenue du Mahatma Gandhi 8
do 28 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TONI
SERVILLO

VALERIO
MASTANDREA

MARGHERITA
BUY

SARA
SERRAIOCCO

NOWY FILM REŻYSERA WIELKIEGO PRZEBOJU

„Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”

PIERWSZY.DZIEŃ MOJEGO ŻYCIA

REŻYSERIA PAOLO GENOVESE



w kinach od 21 lipca



TOMMY EMMANUEL

CGP

13 LISTOPADA – **BIELSKO BIAŁA** | CAVATINA HALL

14 LISTOPADA – **KRAKÓW** | KLUB STUDIO

15 LISTOPADA – **WARSZAWA** | KLUB STODOŁA

16 LISTOPADA – **GDAŃSK** | FILHARMONIA BAŁTYCKA



BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

 [@KLUB.STODOLA](https://www.facebook.com/klub.stodola)  [@KLUB.STODOLA](https://www.instagram.com/klub.stodola)